Ks. Dr. Ildefons Bobicz

W ŚLADY MARJI

REV. I. A. WOJCIECHOWSKI

FRANCISCAN FATHERS, O.M.C.
MISSION
HOUSE
ELLICOTT CITY, MD.

W ŚLADY MARJI

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/wsladymarji0000ksdr

REV. T. A. WOJCIECHOWSKI

KS. DR. ILDEFONS BOBICZ

W ŚLADY MARJI

NAUKI MAJOWE

O OBOWIĄZKACH CHRZEŚCIJAŃSKICH

„Kto mnie słucha, nie będzie zawstydzon; a którzy przeze mnie sprawują, nie zgrzeszą. Którzy mię objaśniają, będą mieć żywot wieczny". *(Ekkle. 24, 30 31).*

KRAKÓW 1927
NAKŁADEM WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW

Nihil obstat
Ks. St. Komorowski T. J.
15/I 1927.

Można drukować
Ks. Władysław Jankiewicz T. J.
Prow. Małopolski.
Starawieś, 22 lutego 1927.

L. 1636/27.

POZWALAMY DRUKOWAĆ
Z Książęco-Metropolitalnej Kurji
Kraków, dnia 27 lutego 1927.

† Adam Stefan

L. S.

Drukarnia „Przeglądu Powszechnego".

NAUKA WSTĘPNA.

O nabożeństwie majowem.

»Ten miesiąc wam początkiem miesiąców; pierwszym będzie między miesiącami roku« *(Exod. 12, 2).*

Nie dlatego, iżby na maj przypadał początek roku w znaczeniu literalnem, przytoczyliśmy słowa powyższe; ale dlatego maj nazwać chcemy »początkiem miesiąców« i »pierwszym między miesiącami roku«, że to miesiąc poświęcony szczególniejszej czci naszej Matki w niebie, że to — miesiąc Marji.

Zaledwo w blaskach zorzy porannej ujrzeliśmy dziś nastanie maja i usłyszeliśmy głos dzwonu, wieszczący nam początek majowego nabożeństwa, wnet nam żywiej zabiły serca, radością zapłonęły lica i odłożywszy wszystko na stronę, pospieszyliśmy do kościoła, aby czemprędzej przypaść do stóp ukochanej Matuchny.

Co czynimy my, grono wiernych Marji służebników, tu, w tym kościele, to samo na całym świecie czynią tysiące i miljony Jej dzieci. Wspaniałe świątynie, zarówno jak zapomniane kapliczki, toną w powodzi zieleni; rzęsiste światła płoną na ołtarzach;

wdzięczne głosy śpiewają chwałę Bogarodzicy; pobożne ręce stroją w kwiaty Jej obrazy i posągi. — Budząca się ze snu przyroda ściele zielone kobierce pod stopy Pani nieba i ziemi; poszumem drzew w świeży liść odzianych, szmerem wezbranych strumyków, rozśpiewanych ptasząt świegotem Jej uroczystość wita majową. Wszystko się weseli; wszystko, co piękne, czyste a szlachetne, śpiewa: »Cześć Marji, cześć i chwała; Pani naszej cześć!...«

Cel. — Cześć Marji jest celem majowego nabożeństwa. Rozważanie Jej cnót niezrównanych, Jej świętego żywota, Jej dobroci, mocy i słodyczy, Jej poniżenia na ziemi a chwały w niebiesiech — oto co stanowi przedmiot tego nabożeństwa. To zaś rozważanie o ile będzie pobożnem, o tyle też obfitem w zbawienne dla dusz naszych owoce; ono nas doprowadzi do zgłębienia prawd wiary św., wskaże nam nasze obowiązki, nasunie niejedną myśl zbożną, utwierdzi w dobrych zamiarach; słowem, zbliży nas do Marji, a przez Nią do Boga.

Skołatani niedolą, złamani trudami doczesnego żywota, tak mało, niestety, myślimy o duszy i wieczności. Zresztą świadomość naszej nędzy i ułomności i ciężar grzechów, co kamieniem na sercu nam leży, tak bardzo nas upokarza i obezwładnia, że niełatwo nam zdobyć się na odwagę, ażeby Bogu samemu swe serca otworzyć i Jemu samemu swe troski opowiedzieć, i u Niego samego szukać przebaczenia i pociechy. Oglądamy się więc za kimś, ktoby, będąc nam bliższym, zechciał nas w tem wyręczyć. Niedługo nam szukać potrzeba; jest ktoś, kto u Boga zawsze najmilej widziany, czyje prośby u Boga

zawsze będą przyjęte; to — Marja, Matka Boga i Matka nasza. Sama się ofiarowuje nam za Pośredniczkę u Ojca i Syna, ta zawsze dobra, zawsze czuła, zawsze miłosierna Opiekunka nasza, ta *Advocata* nasza. Zawsze jest z nami, a w miesiącu maju wprost oderwać się od nas nie może: tak Jej miłe są prośby nasze, tak smutną wydaje się Jej dola nasza.

Początek nabożeństwa. — Zgórą sto lat upłynęło już od zaprowadzenia tego nabożeństwa w Kościele. Zrodziło się ono w sercu katolickiego świata, pod błękitnem niebem Włoch, tam, gdzie najsilniej pobożność pulsuje, ale też gdzie najpotężniej panoszą się złe namiętności.

Gdy niewiara coraz szersze zataczała kręgi, a powódź zepsucia poczęła zalewać świat cały, nieliczne grono czcicieli Marji powzięło zamiar ofiarowania Niepokalanej Dziewicy miesiąca maja w szczególniejszem ku Niej nabożeństwie. I gdy pod wpływem budzącej się natury, pod odurzającem tchnieniem wiosny potężniej zawrzały namiętności i znalazły ujście w rozpasanych tańcach, śpiewach i swawoli; gdy ulice miast i wiosek rozbrzmiewały od bluźnierstw i mów bezecnych — w tym to czasie rozchodziły się szepty modlitewne, zginały się kolana przed obrazami Marji i wznosiły się ku niebu pokorne błagania, ażeby Bóg nie raczył pamiętać na niezbożność swojego stworzenia. Z domów i kaplic prywatnych nabożeństwo to przeszło do kościołów rzymskich, gdzie się spotkało z uznaniem i poparciem władzy duchownej, a z Rzymu przeszło na cały świat tak, że wkrótce nie było kraju, gdzieby to nabożeństwo

nie było znane. A dziś, ile narodów, ile serc chwali Boga, tyle narodów, tyle serc wielbi Jego Matkę.

Maj odpowiednio obrany. — Uważmy, jak stosownie obrano na to nabożeństwo miesiąc maj. Na ten miesiąc głównie przypada okres wielkanocny, tj. czas między Zmartwychwstaniem Pańskiem a Zesłaniem Ducha św. Wesele i oczekiwanie stanowią wybitne jego cechy. Wesele po zmartwychwstaniu Pańskiem z powodu triumfu, odniesionego nad śmiercią i piekłem; oczekiwanie zaś Zstąpienia Ducha Św., który ten triumf umacnia w sercach chrześcijańskich. Apostołowie, wolni od prac misyjnych, cały miesiąc maj spędzili w towarzystwie Jezusa i Marji, a po Wniebowstąpieniu Pańskiem — w towarzystwie samej tylko Marji. Ona to przysposobiła Apostołów na przyjęcie Ducha Św. i modłami swemi wyjednała obfitość Jego darów. — A co Marja uczyniła dla Apostołów, to samo i dla nas chce uczynić. A ponieważ dary Ducha Św. są nam niezbędne, przeto Kościół św. usiłuje w maju ściślej nas z Marją zjednoczyć, a przez Nią ubogacić dusze obfitością łask Boskich. Łączmy się zatem z Marją, szukajmy Jej towarzystwa, garnijmy się pod płaszcz Jej opieki, boć Ona Oblubienicą Ducha Św. i szafarką łask Boskich, a w ten sposób maj stanie się nam »początkiem miesiąców«, bo źródłem łask i błogosławieństwa.

Jak obchodzić miesiąc maj? — Wiekowa praktyka Kościoła dała już nam odpowiedź na pytanie, jak godnie obchodzić miesiąc Marji.

1. Jeżeli możemy, bierzmy udział w kościelnem nabożeństwie majowem. Zwykle odbywa się ono

w godzinach najdogodniejszych i nie zabiera wiele czasu tak, że przy dobrych chęciach z łatwością mogą się stawić na nie ci przynajmniej, którzy mieszkają bliżej kościoła.

2. W miejscowościach, dalej od kościoła położonych, mieszkańcy wsi lub folwarku o oznaczonej godzinie idą gromadnie na cmentarz lub pod krzyż przydrożny, gdzie się przyrządza kapliczkę z obrazem Marji, i tam pod przewodnictwem męża zacnego odprawiają nabożeństwo. Porządek ma być zachowany ten sam, co i w kościele. Naprzód należy odśpiewać krótką pieśń do Matki Bożej, potem odmówić 3 Zdrowaś, polecając Matce Bożej szczególne potrzeby Kościoła, diecezji, parafji, swej wioski lub poszczególnych rodzin czy osób. Potem należy odczytać z książki majowej naukę na przypadający dzień miesiąca, odmówić wspólnie litanję, »Pod Twoją obronę« i zakończyć nabożeństwo jakąś pieśnią pobożną. Gdyby ktoś dla poważnych przeszkód nie mógł uczestniczyć we wspólnych modłach, niech w domu, prywatnie, westchnie do Marji, odmawiając krótką modlitwę lub choćby kilka »Zdrowaś Marja«.

3. Wspólne modły stanowią jednak zewnętrzną tylko szatę czci Marji. Naśladowanie cnót Bogarodzicy — oto fundament, oto najbardziej istotny tej czci pierwiastek. Z tego względu wierny czciciel Marji zwróci w ciągu maja szczególniejszą uwagę na stan swego sumienia i, oczyściwszy się z grzechów w trybunale pokuty, wyda walkę złym namiętnościom, oraz dołoży wszelkich starań, aby wyniszczyć jedną po drugiej swe wady i niedoskonałości. Obok

tego ćwiczyć się będzie w cnotach i postępować w doskonałości chrześcijańskiej, naśladując w tem, o ile mu nikłe siły pozwolą, wzniosły przykład Marji. Nie opuści też żadnej sposobności do czynnej miłości bliźniego. Bądź radą, bądź wskazówką, bądź modlitwą, bądź wreszcie jałmużną przyjdzie na pomoc cierpiącym braciom i szerzyć będzie dokoła siebie tę iście chrześcijańską atmosferę, która płaczącym łzy osusza, cierpiącym tłumi jęki bolesne, szemrzącym zamyka usta, a wszystkich z twardą godzi rzeczywistością i do Boga pociąga.

Idźmyż w ślady Marji!

Ażeby zaś to tak ważne zadanie sobie ułatwić, rozpatrzymy na tegorocznych majowych naukach w świetle cnót Marji nasze codzienne obowiązki chrześcijańskie, a mianowicie zbadamy pokolei główne nasze

1) obowiązki względem Boga,

2) obowiązki względem bliźniego i

3) obowiązki względem siebie samych.

Oto, Bracia drodzy, nasz program majowy. Złotemi głoskami kreśli go ręka Marji w sercach swych dzieci i obiecuje pomoc w jego urzeczywistnieniu. Z całą tedy powagą i gorliwością zabierzmy się do pracy; rozpoczynajmy i kończmy ją u stóp Marji.

Smutno dziś na świecie. Ludzkość trapiona różnorodnemi klęskami, rzekłbyś, ostatnich dobywa sił na walkę ze złą dolą i z obawą patrzy w przyszłość. Niecna robota wywrotowców uczyniła wielki wyłom w szeregach katolickich, nadwątliła wiarę, zgasiła nadzieję, osłabiła miłość, złamała niejedno serce. Społeczeństwa stanęły nad przepaścią; jeszcze

krok na bezdrożach występku i niewiary, a zginiemy. Ratować się trzeba! Ale za słabe mamy siły, byśmy się sami mogli z upadku podźwignąć. Uciekajmy się więc do Marji. Tyle razy ratowała Ona kraj nasz od zagłady; tak była Ona miłościwą ojcom naszym! Pod płaszczem Jej opieki zebrani, obejmujmy Jej stopy matczyne i całą duszy potęgą wołajmy: Pocieszycielko strapionych, Wspomożycielko wiernych, Królowo Pokoju, Królowo Korony Polskiej, módl się za nami! Marja zaś, litością ku dzieciom swym zdjęta, wstawi się za nami do Boga i wybłaga nam u Niego i chleba i nieba. Amen.

NAUKA I.

Wiara.

»Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła, bo spełni się, co Ci powiedziano od Pana« *(Łuk. 1, 45).*

I.

Temi słowy witała św. Elżbieta Przeczystą Dziewicę Marję na progu swego domostwa wkrótce po Zwiastowaniu; temi słowy i my witamy Marję, rozpoczynając Jej miesiąc majowy: Błogosławiona jesteś, o Marjo, iżeś uwierzyła!

Niewiele nam mówi Pismo św. o Marji. Kilka szczegółów z Jej życia, kilkanaście Jej słów — to i wszystko, co mamy od natchnionych autorów; resztę wiadomości o Marji czerpiemy z nauki Kościoła, z podania, albo sami sobie dopowiadamy, opierając się na pobożnem przeczuciu i nieomylnych wskazówkach serca. Lecz i z tych niewielu szczegółów, wziętych z Pisma św., możemy napewno poznać d u c h a, który Marję ożywiał i kierował Jej czynami. Otóż przedewszystkiem duch Marji jest duchem wiary.

Od najwcześniejszej młodości aż do zgonu Marja

wierzyła niezachwianie we wszystko, co Bóg objawił; nadewszystko zaś wierzyła mocno w obiecanego Mesjasza i w bliskie odkupienie ludzkości. Ta Jej wiara uwidocznia się w sposób najbardziej jaskrawy w chwili Zwiastowania. Gdy do pokornej Dziewicy wszedł Archanioł Gabrjel, aby Jej oznajmić Boską Nowinę, Marja zatrwożyła się wprawdzie, czując się niegodną zaszczytu Boskiego Macierzyństwa, ale odrazu uwierzyła słowom Archanioła, bo wiedziała, że »niemasz nic niemożliwego u Boga« (Łk 1, 37); że ten, który z niczego świat stworzył, może też do zbawienia świata użyć Jej nicości. Tyle tajemnic naraz, a takich głębokich, niezbadanych, mieściło się w tem jednem oznajmieniu Archanioła: »Oto poczniesz w łonie i porodzisz Syna, którego nazwiesz imieniem Jezus. Będzie On wielkim i Synem Najwyższego zwany« (Łk 1, 31—32) — tyle tajemnic! Ona, stworzenie, ma stać się Matką swego Stworzyciela; Dziecię Jej, zrodzone w czasie, jest Przedwiecznym Bogiem; zostanie Matką, nie przestając być Dziewicą — cóż trudniejszego do uwierzenia nad te prawdy! A jednak ani cienia wątpliwości nie spostrzegamy u Marji; Jej wiara ma jedną tylko odpowiedź: »Otom ja służebnica Pańska; niech mi się stanie według słowa Twego«.

»Niech mi się stanie« — te słowa Marji wskazują też i na to, że Jej wiara żywą była. Żywą wiara jest wtedy, gdy za nią idą uczynki odpowiednie. Do wiary trzeba koniecznie dostroić, dostosować życie. I Marja to czyniła nieustannie. Słowo Boże, które poznała przez wiarę, kazało Jej iść do betlejemskiej stajenki — i Ona szła bez wahania,

i w tem Dziecięciu słabem, ubożuchnem, przez się wydanem na świat, widziała Pana świata i Odkupiciela. Bóg kazał Jej szukać z Dziecięciem schronienia w Egipcie — i Ona poddała się natychmiast rozkazowi Bożemu: niech się stanie według słowa Bożego. — Wola Boża prowadziła Ją przed pałac niesprawiedliwego sędziego, pod krzyż, wreszcie na grób umiłowanego Syna — i Ona szła bez szemrania: niech się stanie! Nikt i nic nie zachwiało w Niej wiary: Ona przetrwała wszystkie katusze Synaczka, przebolała wszystkie Jego bóle, wypiła z Nim razem do dna kielich goryczy... Na Jej oczach chwiali się silni, pierzchali uczniowie, — ci, małej wiary... a Ona stała do końca, zawsze mężna, zawsze wierząca, niezachwiana zawsze... Toteż słusznie nazwał Ją Kościół Panną wierną; to też słusznie wołamy i my do Niej: Panno wierna, módl się za nami!

II.

Ach, módl się za nami, o Marjo, aby wiara w nas się pomnażała. Bo wiara nasza, jeżeli ją porównamy z wiarą Marji, okaże się taką słabą, taką nędzną!...

Wiara wprawdzie miała po wszystkie wieki przeciwników; zawsze bowiem byli tacy, którzy uważali wiarę za wroga rozumu, za czynnik krępujący jego działalność i nie umiejąc pogodzić pewników wiary z wymaganiami rozumu, napastowali wiarę, nadmiernie ufając rozumowi. Tak było zawsze; ale dawniej zwalczano pojedyńcze prawdy wiary, ten lub ów dogmat; przeciwko wierze powstawały jednostki, ale ogół wierzył tem mocniej. Z biegiem

czasu walka przybrała szersze rozmiary, a dziś już doszło do tego, że wiarę napastują ze wszech stron. Niedowiarkowie nie tylko odrzucają właściwe tajemnice wiary, ale schodzą do jej podstaw i — wbrew rozumowi, wbrew nauce — śmią podawać w wątpliwość takie prawdy, jak istnienie P. Boga, nieśmiertelność duszy, życie pozagrobowe, a nawet zgoła nie przypuszczają nic nadprzyrodzonego. Niewiara szerzy się w sposób zastraszający. Znaleźli się ludzie, którym bardzo zależy na tem, żeby społeczeństwa ludzkie pozbawić wszelkiej wiary religijnej. Rozwinęli więc straszliwą propagandę niewiary i, niestety, z niemałym skutkiem. Dziś hasła antyreligijne są znane nie tylko w większych miastach, ale i po wsiach i po drobnych osadach. — Dość otworzyć oczy, ażeby się przekonać, że i nasze społeczeństwo nie uszło temu smutnemu losowi. Coraz częściej spotykamy się z zarzutami przeciwko wierze nawet tam, gdzieby się tego najmniej można było spodziewać: coraz więcej słyszymy bluźnierstw i szykan, wymierzonych przeciw Bogu, Kościołowi i duchowieństwu. Natomiast coraz mniej widzimy praktykujących katolików; uczęszczanie do sakramentów św. zanika, liczba modlących się zmniejsza, cnota upada. I nic w tem dziwnego: gdzie podkopano wiarę, tam z konieczności chwieje się i upada moralność.

A tymczasem jednym z najpierwszych naszych obowiązków jest obowiązek wiary. »Bez wiary niepodobna podobać się Bogu« (Żyd 11, 6) — mówi Apostoł — i »sprawiedliwy z wiary żyje« (ib. 10, 38). Niedość wierzyć — trzeba żyć z wiary, czyli tak, jak

wiara naucza. Prawdziwem nieszczęściem jest to w czasach obecnych, że mamy wielu katolików z imienia, a tak straszliwie mało katolików z czynu, z życia. To też każdy, kto głębiej patrzy w istotę rzeczy, nie może nie widzieć, że społeczeństwo nasze, o ile nie zbudzi w sobie dawnego ducha wiary, musi dojść wkońcu do zupełnej ruiny. Trzeba czemprędzej zaradzić złemu. Niech każdy od siebie rozpocznie, a rozpocznie natychmiast, tu u stóp Panny Wiernej. Nie dawajmy posłuchu głosom niedowiarstwa, odpędzajmy wszelkie wątpliwości, poznawajmy wiarę coraz lepiej, coraz gruntowniej, wzbudzajmy w sobie akty wiary, a nadewszystko módlmy się gorąco do Boga, tak, jak Apostołowie się modlili: »Panie, przymnóż nam wiary!« (Łk 17, 5).

Wiara Marji nie została bez nagrody. Św. Elżbieta, jak słyszeliśmy, zowie ją błogosławioną, iż uwierzyła słowom Bożym; sam Bóg usty Archanioła mówi do Niej: »Błogosławionaś ty między niewiastami«. Ona sama śpiewa o sobie w natchnionym kantyku: »Odtąd zwana będę błogosławioną przez wszystkie narody« (Łk 1, 48). Wiara ściąga na duszę błogosławieństwo niebios i narodów. — Wierzmyż zatem mocno, pomnażajmyż się w wierze z dniem każdym, bo wiara i nam zapewni błogosławieństwo Boże.

Ty zaś, o Panno Wierna, módl się za nami! Amen.

NAUKA II.

Nadzieja.

»Ja — matka... nadziei świętej«
(Ekkli 24, 24).

I.

Tak śpiewa Mędrzec Pański, a natchniony śpiew jego Kościół do Marji stosuje. Marja jest matką świętej nadziei; sama tę nadzieję posiada w stopniu najwyższym i rodzi ją w sercach wiernych sług swoich. Nadzieja, której Marja jest matką, jest świętą — nie tą czysto ludzką, na zimnem wyrachowaniu rozumu lub na naturalnym serca popędzie osnutą, ale biorącą początek z wiary, opartą na obietnicach Bożych i zmierzających do celu nadprzyrodzonego. Taką właśnie nadzieję ma na myśli Psalmista Pański, gdy mówi: »Lepiej jest ufać w Panu, niźli ufać w człowieku« (Ps 117, 8). Taka też nadzieja jest wypływem i uzupełnieniem wiary. Gdzie więc wiara żywa, tam i nadzieja niezachwiana; gdzie wiary brak, tam niema i nadziei. W Marji obok wiary żywem tętnem bije nadzieja; w nas upadek wiary pociąga za sobą straszny zanik nadziei.

Nie nikłym ognikiem, nie drobną gwiazdką, ale

słońcem potężnem przyświecała nadzieja w życiu Marji. Poprzez radosne i smutne Jej życia koleje obok wiary niby nić złota przewija się niezachwiana ufność w rządy Opatrzności. Uprzytomnijmy sobie raz jeszcze chwilę Zwiastowania. Widzimy Marję zatopioną w pobożnych rozmyślaniach. Przed wzrokiem Jej duszy przesuwają się dzieje wybranego narodu. Widzi tam wiele kart smutnych, na których się zapisały bałwochwalstwo, przeniewierstwo i inne występki żydów; wszelako te karty czarne nie zasłaniają przed Jej wzrokiem kart innych, świetlanych, na których palec Boży wypisał radosną Odkupiciela zapowiedź. I Marja niezachwianą żywi w duszy nadzieję, że pomimo wszystko Mesjasz przyjdzie i odkupi Izraela. Ukazanie się Archanioła trwoży Jej pokorę, ale Przeczysta Dziewica, mająca zostać Matką Bożą, ma niezłomną nadzieję, że zachowane będzie Jej dziewictwo. Ufa bowiem, że Bóg raczej cud sprawi, a czystości Jej nie naruszy. Gdy Józef, nie wiedząc nic o Zwiastowaniu, chciał Ją opuścić potajemnie, Marja nie zdradza przed nim tajemnicy Wcielenia, bo ma nadzieję, że Bóg sam to uczyni i oświeci Józefa. Gdy przyszła chwila Narodzenia Bożego w okolicznościach tak niesprzyjających, Marja nie upada bynajmniej na duchu, bo ma nadzieję, że Bóg Jej nie opuści. I nie opuścił: aniołów Jej posłał dla posługi, pasterzy i mędrców dla hołdu i pokłonów. Wkrótce potem wypadło z rozkazu Bożego uchodzić do Egiptu. Była zima, droga daleka, nieznana; należało obawiać się zasadzek, złych przygód, a u celu podróży, w kraju obcym — nędzy, nieprzyjaźni i głodu; a Ona taka słaba, a Dziecię ta-

kie małe... Ale niéma miejsca w duszy Marji na zwątpienie; tam żyje nadzieja, że Bóg wszystkiemu zaradzi. I Bóg zaradził: od złych przygód chronił i ponownie przywiódł św. Rodzinę do ojczyzny. Potem — długie lata szarej, ciężkiej pracy i biedy niemałej; niejedenby się zniechęcił do życia, począł szemrać na los i Boga. Ale Marja choć królewskiego była rodu, nie zniechęca się bynajmniej. Święta nadzieja Ją krzepi, więc pogoda bije od Niej i wesele, co się udziela otoczeniu. Synaczek Jej zaginął w Jeruzalem; choć boleje, nie rozpacza jednak. Nadzieja Ją prowadzi do świątyni, gdzie i znajduje Jezusa. Nadzieja też Marji spowodowała to, że Jezus uczynił swój pierwszy cud — przemienił wodę w wino w galilejskiej Kanie. Choć słowa Chrystusa napozór były odmowne, Marja jednak ufała w Jego dobroć i moc i kazała sługom być w pogotowiu. I cud się stał. — A wkrótce potem rozpoczęły się prześladowania Chrystusa ze strony żydów. Drżało Jej serce na myśl o niebezpieczeństwie dla najukochańszego Syna, ale niemniejszą od bojaźni nadzieja była. Wreszcie przyszło najokropniejsze: Kalwarja, krzyż, grób... Współcierpienie, współukrzyżowanie, współobumarcie... Kres wszystkiemu, tylko nie nadziei... Upadek ducha i zwątpienie dla wszystkich, tylko nie dla Marji. Gdy inni się chwieją i pierzchają mało dusznie, Ona stoi niewzruszona, z niezachwianą w duszy nadzieją, że przyjdzie przecież godzina, i Syn zmartwychwstanie i większe jeszcze niż przedtem będzie święcił triumfy. Nadzieja, zda się, wbrew wszelkiej nadziei... A jednak stało się tak, jak Marja ufała, bo »nadzieja nie pohańbia« (Rz 3, 5). Sze-

reg lat następnych, to jedno pasmo nadziei połączenia się z Chrystusem w niebiesiech — pasmo uwieńczone Wniebowzięciem i Ukoronowaniem.

II.

Z wyżyn, na jakie się wzbiła Marja, skierujmy wzrok na niziny, na których my stoimy. U nas inaczej. Z upadkiem wiary w Boga upadła też i święta nadzieja. Miast uznania całkowitej swej zależności od Stwórcy panoszy się w duszy współczesnej pycha i zarozumiałość. Człowiek, dumny ze zdobyczy rozumu, tylko swemu rozumowi ufa; zaślepiony chwilowem powodzeniem, tylko na własne rachuje siły; niepomny celu ostatecznego, tem mocniej przywiązuje się do celów doczesnych. Ale jakże rychło dochodzi do przekonania, że rozum zawodzi, że siły jego są zbyt nikłe, że te cele — liche i znikome! Stąd powstaje wewnętrzna rozterka i zwątpienie; w sercu rodzi się gorycz zawodu; na usta wymyka się skarga bolesna i złorzeczenie; resztki sił opadają, i człowiek taki wlecze swój nędzny żywot bez zamiłowania do życia i czuje się niezdolnym do wyższych wzlotów, do szlachetnych pragnień, do wielkich czynów. Każdy przyzna, że taki stan duszy wzbudza poważne obawy; dusza taka jest wykolejona, chora — zabija ją brak nadziei!...

Rozejrzyjmy się dokoła — co widzimy? Gdzie dziś ta święta nadzieja, ta dźwignia najpotężniejsza prawdziwego postępu, trwałego dobrobytu i wielkich czynów? Gdzie dziś ci wielcy, niezłomni, coby umieli walczyć o święte ideały, coby chcieli iść w zapasy

z przeciwnościami, coby śmiało wypowiadali wojnę występkom i gnuśności? Do tego sił potrzeba, a skądże weźmie siły ten, w kim nadzieja obumarła? Zwyż, z nieba przychodzi siła... Gdzie dziś ci, co chcą i umieją się modlić, co w modlitwie znajdują otuchę? Modlitwa przecież to córa nadziei. Dobrze modli się ten tylko, kto ufa, że wszechmoc Boża własną jego słabość umocni. Natomiast przed oczyma naszemi często przesuwają się postacie zgnębione, smutne, ze wzrokiem w ziemię utkwionym, z sercem wystygłem i obojętnem na wszystko. Nieufność ku bliźniemu, podejrzliwość, brak wytrwałości w pracy, zniechęcenie do życia, wkońcu nieraz całkowite zwątpienie i rozpacz — oto objawy, z któremi się spotykamy bardzo często. Dzienniki zaś raz po raz przynoszą nam wieści o młodych desperatach, o złamanem życiu rodzin, o przerażających samobójstwach. Mówimy, że świat się psuje, że życie z dniem każdym staje się trudniejsze. I tak jest, niestety! A dlaczego? Bo nadzieja zanika i ufność w nas słabnie.

Smutno... Straszno... Ale ratunek blisko: Marja — Matką nadziei świętej. Do Niej idźmy. Jej nadzieja udzielała się Apostołom — i z małodusznych wielkimi się stali; Jej nadzieja krzepiła Męczenników — i z weselem w duszy rozstawali się z życiem doczesnem; Jej nadzieją żyli święci Wyznawcy i święte Dziewice — i wiekopomnych dokonali czynów. Nadzieja Marji — nadzieją Kościoła i wiernych po wszystkie wieki; dlatego wołamy do Marji: Nadziejo nasza, witaj!

»Nadzieją jesteśmy zbawieni« (Rz 8, 24), mówi Apostoł, a zarazem wskazuje źródło, skąd nadzieję

czerpać mamy. »Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia« (Fil. 4, 13). Umacnia nas Chrystus przez Marję. Prośmyż ich zatem o łaskę świętej nadziei, a otrzymamy. Wróci wesele do duszy, wróci chęć do pracy i walki, wzmocnią się siły, a wówczas doświadczymy na sobie prawdziwości słów Psalmisty: »W Tobiem, Panie, nadzieję położył; nie będę zawstydzony na wieki« (Ps 30). Amen.

NAUKA III.

Miłość Boga.

»Ja — Matka pięknej miłości« *(Ekkli 24, 24)*

I.

Żeby godnie mówić o miłości Boga, na toby chyba trzeba być serafinem. Największy mówca z pośród synów ziemi, gdy ten wzniosły porusza przedmiot, zaledwo nieudolnem jąkaniem się potrafi wyrazić swoje zachwyty. Ale co nam tak trudnem jest do pojęcia i wysłowienia, to Marja z łatwością spełniła czynem. Marja jest Królową miłości. Kto zmierzy Jej wiarę? Kto zgłębi nadzieję? A któż Jej miłość nie już zgłębić, ale choćby tylko w przybliżeniu zrozumieć i odczuć zdoła? »Poprzysięgam was, córki jerozolimskie, jeśli znajdziecie miłego mojego, abyście mu oznajmiły, iż mdleję od miłości« (P. n. P. 5, 8). Marja mdleje od miłości ku Bogu. Gorliwy Jej czciciel, św. Bernard, powiada, że należy za cud uważać, że Marja, wśród płomieni miłości, jakiemi Jej serce pałało, żyć mogła. I czyż mogło być inaczej? Przecież »Bóg jest miłość« (I Jn 4, 8), a Marja Matką Boga była, Boga nosiła pod sercem, z Bogiem ciągle przestawała, z Bogiem i dla Boga tylko żyła.

Wyrazem Jej miłości ku Bogu był przecudowny kantyk: »Uwielbia Pana dusza ma«, czyli *Magnificat*, wyśpiewany podczas Nawiedzenia św. Elżbiety. Ten kantyk to hymn zachwytu i uniesienia, to echo duszy za życia już wniebowziętej. Aniołowie, zasłuchani w przecudną pieśń miłości, schylili kornie swe głowy i Marję Królową swą obwołali, bo zrozumieli, że więcej od nich Boga miłowała.

»Miły mój mnie, a ja jemu« (P. n. P. 2, 16). Prawdziwa miłość przenika wszystkie władze duszy: myśl, pragnienie, serce i wolę. Kto miłuje, ten ciągle myśli o umiłowanym, nieustannie go pożąda, sercem wyrywa się ku niemu, wolę swą z wolą jego spaja i jednoczy. Taką właśnie była miłość Marji.

Myśl Marji należała wyłącznie do Boga: w Nim była zatopiona, Nim tylko zajęta. Rozmyślanie i modlitwa ustna — oto dwa złote łańcuchy, które przykuwały Marję do Stwórcy zawsze i na zawsze. Nie odrywało to Jej jednak od zwykłych, codziennych zajęć, tylko te zajęcia uszlachetniały i nadawały im wyższą wartość.

Pragnienie Marji było przy Bogu. Wołał niegdyś Król-Pokutnik w psalmie do Boga: »Jako jeleń spragniony wzdycha do źródeł wodnych, tak dusza moja wzdycha do Ciebie, o Boże« (Ps 41, 2). Potężniejszym bez porównania akordem to samo wołanie wyrywało się z przeczystej duszy Marji i znajdowało natychmiastowy oddźwięk w sercu Boga: »Miły mój mnie, a ja jemu«.

Serce Marji spoczywało przy sercu Bożem. Serce Marji było dziełem trzech Osób Boskich: Bóg-Ojciec je stworzył, Bóg-Syn uświęcił swą obecnością, Bóg-

Duch ukształtował zeń człowieczeństwo Chrystusowe. Jestże drugie takie arcydzieło na świecie?!... Było to serce niepokalane, przeczyste, tkliwe i święte. Jakąż więc musiało pałać ku Bogu miłością! Uczeni i pobożni pisarze twierdzą, że Marja nawet we śnie była zajęta Bogiem i dlatego stosują do Niej słowa Pieśni nad Pieśniami: »Ja śpię, a serce moje czuwa« (5, 2).

Wola Marji była odzwierciedleniem woli Bożej. Czego Bóg chciał, to Marja spełniała. Bóg chciał, by żyła z pracy rąk, w ubóstwie, zdala od świata — i Marja stała się mistrzynią życia ukrytego, wzorem dla pracujących i ubogich. Bóg przeznaczył Jej św. Józefa na męża — i Marja stała się wzorem najlepszej małżonki. Bóg chciał, by cierpiała za cały rodzaj ludzki, i oto Marja bez wahania nadstawia swe serce, a dłoń Boża wtłacza w nie jeden po drugim siedm mieczów boleści. Tu kres. Dalej już niczyja miłość sięgnąć nie może.

»Miły mój mnie, a ja jemu«... Miłość tylko w miłości znajduje spokój i zapłatę. I Marja tą zapłatę otrzymała: za miłość Bóg oddał miłością, albowiem »przejrzał Ją Bóg i wybrał Ją sobie i wziął Ją na mieszkanie do przybytków swoich«. Posłuchajmy, co mówi św. Bernard: »Jeśli oko nie widziało i ucho nie słyszało i w serce człowieka nie wstąpiło, co Bóg nagotował tym, którzy Go miłują; któż zdoła wysłowić, co Bóg nagotował tej, która Go zrodziła i więcej niż wszyscy umiłowała!«

II.

Naczelną ustawą prawodawstwa Bożego jest: »Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego, i z całej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej. To jest największe i pierwsze przykazanie« (Mt 22, 37). A więc miłość Boga jest największym i najpierwszym naszym obowiązkiem; kto go spełni, ten spełni cały zakon Boży (Rz 13, 10). Niema chyba na całej kuli ziemskiej chrześcijanina, któryby o tym obowiązku nie słyszał, któryby w głębi duszy nie odczuwał, że Bóg ma prawo żądać od nas najwyższej miłości. Przecież miłość stanowi w chrystjanizmie wszystko: jego treść, jego piękno, jego wzniosłość i jego potęgę.

Serce człowieka tak jest stworzone, że koniecznie musi coś umiłować. Chodzi tylko o to, do czego człowiek swą miłość skieruje. Właściwy dla miłości naszej kierunek został wytknięty na górze Synaj w przytoczonem wyżej przykazaniu miłości Boga. Kierunek ten zresztą nie jest nam narzucony dowolnie, nie stoi bynajmniej w sprzeczności z dążeniami ducha ludzkiego, owszem, zgadza się z niemi najzupełniej i jest całkiem naturalny. Miłować bowiem prawdziwie to tylko można, co jest istotnie pięknem, istotnie dobrem, istotnie trwałem. Jedynym więc przedmiotem, godnym miłości naszej, jest Bóg, albowiem Jego Istota jest samem pięknem, samem dobrem i to takiem, które nie przemija, ale trwa wiecznie. W Bogu zaś miłujemy siebie samych i swoich bliźnich, ponieważ w nich się ujawnia cząstka Bożej Istoty, gdyż wszyscyśmy zostali stworzeni na obraz

i podobieństwo Boże. A zatem właściwy porządek, zgodny z wolą Bożą i naszym rozumem, wymaga, abyśmy oddawali Bogu całą naszą miłość bez wszelkich zastrzeżeń, niepodzielnie; bliźniemu zaś i wogóle stworzeniu o tyle tylko, o ile nosi na sobie cechy boskości; innemi słowy: każdego człowieka winniśmy uważać za bliźniego i miłować w nim to, co z Boga jest, odwracając się ze wstrętem od wszystkiego, co w nim obraz Boży zaciera, czyli od grzechu. Grzech jest negacją, zaprzeczeniem miłości Boga. Wypaczenie zaś właściwego kierunku w nieuniknionem następstwie sprowadza do duszy zamęt i niedomagania.

Dziś właśnie z trwogą patrzymy na wzrastający nieład i zamieszanie w stosunkach ludzkich; możemy więc zgóry przypuszczać, że wrodzone ludziom uczucie miłości nie zawsze właściwem płynie łożyskiem. I rzeczywiście: widzimy, że ludzkość współczesna zamiast do Boga, serce swe do ziemi przykuwa i że zamiast Stwórcę, miłuje stworzenie. Na ziemi chce raj dla siebie uczynić i do tego celu kieruje wszystkie swe wysiłki. Co ludzkość dziś miłuje? Najczęściej — sławę, pieniądze, wygody, używanie, brudne, zmysłowe rozkosze. Są wprawdzie natury głębsze i szlachetniejsze, które sięgają wyżej i miłują ojczyznę, przyjaciół, swój uczciwy zawód, wielkie hasła i idee, a nawet są gotowe ponosić znaczne nieraz ofiary dla dobra ogółu i cierpiących współbraci, ale robią to najczęściej bez myśli o Bogu, nieraz pomimo Boga. A teraz zapytajmy, iluż jest takich, co prawdziwie, ze wszystkich sił i z całego serca miłują Boga i Jego św. Kościół, co śmiało zaciągają się

pod sztandar Chrystusowy i mężnie bronią wiary, co z miłości dla Boga nie boją się krzyżów i cierpienia? Nieliczni są, ach jakże bardzo nieliczni! Dziś umiemy o sobie tylko myśleć, dla siebie tylko pracować, własne tylko powiększać mienie; dla Boga nie mamy nic, prócz narzekań. Egoizm i zbytnie przywiązanie do dóbr tego świata zabiły w nas szlachetniejsze uczucia, skaleczyły nam serca, wykoleiły dusze; jesteśmy chorzy, a chorobie naszej na imię — brak miłości.

Trzeba zatem lekarza. Lekarzem tym — Marja, Matka pięknej miłości. Ona nas i może i chce uleczyć, ale my czy pragniemy tego uleczenia? Zapytajmy siebie i o to, i kto tego pragnienia nie czuje w sobie, niech odejdzie stąd precz: tu nie dla niego miejsce! Ale w kim pragnienie to żyje, niech się zbliży do stóp Marji, niech się w Jej serce wpatruje, według Jej serca żyje, a odejdzie uleczony po sowitą w wieczności zapłatę. Amen.

NAUKA IV.

Pamięć na obecność Bożą.

»Uwielbia Pana dusza ma i w Bogu, mym Zbawicielu, duch mój się raduje« *(Łk 1, 46—47).*

I.

Wczoraj rozważaliśmy obowiązek miłości Boga w najogólniejszych zarysach; na tem wszelako poprzestać nie możemy. Obowiązek ten łącznie z obowiązkiem miłości bliźniego stanowi podwaliny i streszczenie prawa Bożego. Sam Chrystus nas o tem poucza; mówi bowiem: »Na tych dwóch przykazaniach zasadza się cały zakon i prorocy« (Mt 22, 40). Miłość — to drzewo potężne, mające nieprzeliczone wprost rozgałęzienia, w których cieniu winno upływać życie chrześcijańskie we wszystkich swych przejawach. W dalszych naukach majowych przyjrzymy się głównym naszym obowiązkom, wypływającym z naczelnego obowiązku miłości. Dziś chcemy mówić o obowiązku pamięci na obecność Bożą.

Kto miłuje, ten umiłowanego wciąż ma w pamięci. Wiemy już, jak bardzo Marja miłowała Boga; wiemy, że całą swą istotą była w Nim zatopiona.

Nie zdziwię was przeto, gdy powiem, że i Jej pamięć nieustannie Bogiem tylko była zajęta.

Z lubością rozczytywała się Marja w księgach św. Starego Testamentu, a w nich na każdej niemal karcie znajdowała wezwanie i zachętę do pamięci na Bożą wśród nas obecność. — Oto czyta Marja, co Bóg wyrzekł do Abrahama: »Chodź przede mną, a bądź doskonałym« (Gn 17, 1), i wnet pojmuje, że najdzielniejszym środkiem do zdobycia doskonałości jest duchowe z Bogiem przebywanie, czyli właśnie pamięć o Nim. Bo Bóg — to sama doskonałość. Chodzić przed Nim, ciągle Go mieć w pamięci i nie postępować pomimo to w doskonałości — niepodobna, jak niepodobna stać przy wielkim ogniu i nie czuć gorąca. Szczególniejszą uwagę poświęca Marja słowom Króla Dawida, bo z jego rodu wywodzi się sama. Dawid zaś nawołuje: »Szukajcie Pana i krzepcie się, szukajcie oblicza Jego zawsze« (Ps 104, 4). Z tych słów Marja poznaje, że w strapieniach i uciskach najdzielniejszą pociechą jest pamięć o Bogu. Kto przed obliczem Jego chodzi, znajduje umocnienie. Więc Marja szuka Pana, szuka Go myślą, uczuciem i pragnieniem, szuka Go nieustannie — w pracy i wypoczynku, w modlitwie i rozmowie, w domu i świątyni — szuka i znajduje. Pamięć Jej w Bogu, a Bóg w Jej pamięci. — O kilka kart dalej napotyka Marja słowa tegoż Psalmisty, zachwytu pełne: »Dokądże pójdę od Ducha twego i dokąd ucieknę od oblicza twego? Wstąpię na niebo, tameś ty, zstąpię do piekła, i tameś ty! Wezmę skrzydła moje z zorzą ranną i osiądę na ostatnim krańcu morza: i tam mię poprowadzi ręka twoja, i trzymać mię będzie

prawica twoja« (Ps 138, 7—10). Czytając to miejsce święte, Marja nie mogła nie podziwiać Boga i nie dziękować Mu, że wszystko sobą napełnia i o wszystkiem pamięta. Stąd nowa dla Niej pobudka pamięcią płacić za pamięć i jeszcze głębiej wyryć w duszy obraz Pana swego. — I tak wciąż: im więcej zagłębiała się w Księgach św., tem ściślej jednoczyła się z Bogiem, tem bardziej wzrastała w cnoty i łaski, aż przyszła wreszcie chwila, jedyna w dziejach duszy ludzkiej, że sam Bóg oznajmił, iż jest łaski pełną, a On jest z Nią nieustannie: »Zdrowaś Marjo, łaski pełna! Pan z tobą...« Ta, która dotychczas przebywała z Bogiem pamięcią, od tej chwili będzie z Nim przebywała cieleśnie, całą swą najświętszą Istotą. Bóg wciela się w Niej, z Niej się rodzi, z Nią mieszka w ciągu lat trzydziestu, na Jej oczach umiera, ukazuje się Jej po Zmartwychwstaniu, a wkońcu bierze Ją do nieba i umieszcza na tronie chwały po prawicy swojej.

»Z obfitości serca usta mówią« (Mt 12, 34). Na myśl o szczęściu ciągłego obcowania z Bogiem przemówiła Marja. Ta, tak zawsze skromna, cicha, pokorna Dziewica, tak nisko trzymająca o sobie, nie mogła już dłużej ukryć swojego zachwytu i poczęła mówić o swej wielkości: »Uwielbia Pana dusza ma, i w Bogu, mym Zbawicielu, duch mój się raduje... gdyż wielkie dzieła spełnił mi Wszechmocny« (Łk 1, 46, 49). Uwielbienie Pana — celem pamięci na Bożą obecność, radość zaś ducha i wyniesienie — tej pamięci zapłatą.

II.

»Szukajcie Pana i krzepcie się; szukajcie oblicza Jego zawsze« — tak za Królem Dawidem woła nasza Królowa Marja. Jeżeli chcemy iść Jej śladem, powinniśmy jak Ona ćwiczyć się w pamięci na Bożą wśród nas obecność.

Ale najpierw, czy zdajemy sobie dobrze sprawę, czem właściwie jest pamięć na obecność Bożą? Jest to wiara żywa i niezachwiana w tę wielką prawdę, że Bóg napełnia sobą niebo i ziemię i że wszystko, co jest na niebie i na ziemi, ma ciągle przed oczyma; że nie tylko twory wielkie i doskonałe nie mogą się ukryć przed Jego wzrokiem, ale i najlichszy robaczek nie znajdzie takiej kryjówki, dokądby nie dotarło wszechwidzące oko Stworzyciela. A więc i nas ludzi ma Bóg ciągle na oku: widzi nas w ciemnościach nocy i w blasku dnia; spogląda na każdą czynność naszą i czyta niby w księdze otwartej najtajniejsze myśli nasze; ogarnia nas swoją Istotą, przenika nas, jak woda morska gąbkę tak, że w Nim żyjemy, w Nim się poruszamy i więcej należymy do Niego, niż do samych siebie (Hamon, »Rozmyślania«, II, 382).

Z tego określenia łatwo zrozumieć, jakie znaczenie pamięć na obecność Bożą ma w życiu chrześcijanina. Przedewszystkiem, strzeże go od upadku w grzech. Powiadają, że pewien bogobojny człowiek, gdy go namawiano do grzechu, odrzekł: »Wskażcie mi miejsce, gdziebym się mógł ukryć przed Bogiem, a spełnię zły uczynek, do którego mię kusicie«. — Starcy babilońscy, kusząc do grzechu cnotliwą Zu-

zannę, spuścili oczy, żeby nie widzieć nieba, bo ono im przypominało, że Bóg na nich patrzy. Bóg jest sprawiedliwym i wszędzie obecnym Sędzią; kto o tem pamięta, nie będzie się dopuszczał wobec swego sędziego karygodnych uczynków i podpisywał na samego siebie wyroku potępienia. Powiedźcież, proszę, czy pamiętając o Bogu, będziecie mieli odwagę popełnić jakiś występek. Nic go przecież przed Bogiem nie ukryje: ani ciemna noc, ani bezpieczne schronisko, ani wasza samotność. Ludzi oszukać możemy, czasem zdołamy uśpić własne sumienie, uniknąć grożących nam kar doczesnych; ale Boga oszukać, ale ukryć się przed Jego karami — nie! tego dopiąć nie zdołamy nigdy!

Pamięć na obecność Bożą pomaga nam, następnie, w nabywaniu cnót. Bóg jest nieskończenie doskonałym; a więc kto Go ma ciągle w pamięci, dołoży wszelkich starań, by własne życie uczynić możliwie najcnotliwszem. Żołnierz gdy czuje na sobie wzrok umiłowanego wodza, mężnie potyka się z nieprzyjacielem; sługa w obecności pana spełnia swe czynności lepiej i dokładniej. »Jeżeli chcesz wszystko czynić dobrze, o chrześcijaninie — woła św. Bazyli — wystaw sobie, że Bóg patrzy na ciebie«.

Jeżeli zapytamy siebie, jak dotychczas wywiązywaliśmy się z tego obowiązku, będziemy zmuszeni wyznać, żeśmy go bardzo lekceważyli. Smutnem tego świadectwem jest chociażby nasze zachowanie się w kościele. Jeżeli co, to już przedewszystkiem kościół winien nam przypominać Boga i usposabiać do skromności, skupienia i uszanowania. A tymczasem po tych naszych kościołach odbywają się nieraz nie-

potrzebne spacery, toczą się rozmowy, przeplatane śmiechem i żartami. Dworzanie króla z jaknajwiększą powagą zachowują się w królewskim pałacu; wierny sługa otacza głębokim szacunkiem przybytek pana swego; tylko katolicy nie umieją nieraz uszanować domu Bożego, bo za mało pamiętają o Bogu.

Zechciejmyż, Bracia drodzy, usunąć ze swego życia najpierw tę niewłaściwość. Przedewszystkiem w kościele, gdzie nas wszystko do tego usposabia, uczmy się uobecniać sobie Boga, potem łatwiej nam to przyjdzie w domu, w biurze, przy warsztacie, w polu, w odwiedzinach i t. d. Niech każda rzecz, którą widzimy, której dotykamy, przywodzi nam Boga na pamięć; On bowiem Stwórcą jest i Panem wszechrzeczy, a cały świat i my sami dziełem rąk Jego. I ten świat — Kościołem Jego. W tym kościele nieustannie płoną światła ku czci Boga; to słońca i gwiazdy na firmamencie niebieskim! Ziemia w całej swej krasie nakształt przepysznego kobierca ściele się Panu nad pany pod stopy. Świergoty ptasząt i drzew poszumy; łagodne strumyków szemranie i groźny ryk nawałnic morskich — to ustawiczne chóry przyrody, wysławiające majestat i potęgę Boga. Sam człowiek zaś jest w tej świątyni przyrody jakby kapłanem; serce jego — to ołtarz, z którego winien wznosić się ku Stwórcy wonny dym ofiary; dusza jego — to obraz i podobieństwo Boże. Niechże zatem i pamięć jego ciągle będzie przy Bogu. Gdy patrząc na piękno, rozlane w przyrodzie, a pochodzące jedynie z nieprzebranej hojności i potęgi Stwórcy, będziemy nieustannie ćwiczyć się

w pamięci na Jego we wszechświecie obecność, wówczas, o Bracia, zbliżymy się do Boga, a Bóg się zbliży do nas i napełni nas radością niewysłowioną, i będziemy mogli śpiewać z Przeczystą Dziewicą: »Uwielbia Pana dusza ma i w Bogu, mym Zbawicielu, duch mój się raduje«. Amen.

— —

NAUKA V.

Modlitwa.

»Uwielbia Pana dusza ma i w Bogu, mym Zbawicielu, duch mój się raduje« *(Łk 1, 46—47).*

I.

Miłość Boga wkłada na nas słodki obowiązek czci i uwielbienia. Nisko stoimy my ludzie tu na ziemi, wysoko nad nami panuje Bóg w niebiesiech. Bóg jest Stwórcą, my — stworzeniem; Bóg Panem, myśmy sługami. Ale pomiędzy nami a Bogiem ciągła być musi łączność: Bóg nas obsypuje przeróżnemi dobrodziejstwy i daje nam swe przykazania, my zaś Mu ulegamy i czcimy Go. W ten tylko sposób może być zachowany trwały na ziemi porządek. Bóg chce, abyśmy Go czcili, i nie chcieć tego nie może, nie może się wyrzec czci Jemu należnej. Cześć zaś ta bywa albo prywatną, albo publiczną. Dziś pomówmy o pierwszej, którą stanowią głównie nasze prywatne modlitwy i praktyki pobożne.

Jak we wszystkiem, tak i w modlitwie Mistrzynią naszą jest Marja. Nikt lepiej od Niej nie ocenił dobrodziejstw modlitwy; nikt lepiej od Niej nie speł-

nił rozkazu Zbawiciela: »Należy zawsze się modlić i nie zniechęcać się« (Łk 18, 1). Modlitwa w życiu Marji była wszystkiem: jego treścią, jego pogłębieniem, jego osłodą, jego ozdobą. Marja lepiej od aniołów i świętych rozumiała, kim jest Bóg, a kim człowiek, bo była łaski pełną i w szczególniejszy sposób przez Ducha Św. oświeconą; toteż dusza Jej nieustannie wyrywała się ku Bogu w uwielbieniu, dziękczynieniu, przebłaganiu i prośbie. Modlitwa Marji — to nie poruszanie się w kole utartych, nudnych, a nieraz ckliwych formułek, to nie gnuśna bierność myśli i woli; modlitwa Jej to najszlachetniejsza i najżywsza czynność Jej ducha, poruszająca wszystkie jego władze. Pamięcią i wyobraźnią Marja uprzytomniała sobie prawdy i doskonałości Boże, rozumem je rozważała, sercem wzbudzała odpowiednie uczucia, wolą zaś czyniła święte a skuteczne postanowienia. Cała Jej istota oddawała cześć Bogu i z Nim się spajała tak, że życie Marji było najdoskonalszą i nieustanną modlitwą.

Nieustanną, mówię — bo Marja rzeczywiście całe życie spędziła na modlitwie bądź ustnej, bądź myślnej, czyli na rozmyślaniu. W najwcześniejszej młodości — tak niesie pobożna tradycja — bo w trzecim roku życia, rodzice Marji na Jej własne żądanie oddali Ją na wychowanie do świątyni Jerozolimskiej. Poza godzinami, przeznaczonemi na naukę i wspólne nabożeństwa, Marja nie mało czasu spędziła na modlitwach prywatnych, udając się codzień o północy do świątyni. Później, gdy już była w Nazarecie, modliła się przy pracy, co Jej przychodziło tem łatwiej, że nieustannie miała przed oczyma Bo-

skie Dziecię-Jezusa. A gdy Jezus rozpoczął swe publiczne nauczanie, Marja do zwykłych swych modlitw dołączyła nowe — prosiła bowiem Boga, by słowom Chrystusowym dawał wzrost i skuteczność w duszach ludzkich. Podczas krwawej Synaczka męki, w chwili Jego skonu, modlitwa Marji była jednym aktem przebłagania za zbrodnie ludzkie, oraz prośbą, aby krew Syna nie nadarmo była przelaną. Gdy zaś Chrystus wstąpił do nieba, Marja modliła się wespół z Apostołami i pobożnemi niewiastami, jak o tem czytamy w Dziejach Apostolskich (1, 14): »Wszyscy oni — t. zn. Apostołowie — trwali jednomyślnie na modlitwie wraz z niewiastami i z Marją, Matką Jezusa, i z braćmi Jego« (tj. z krewnymi Jezusa). Św. Łukasz wyszczególnia tu Marję, bo też szczególniejszą musiała być Jej modlitwa. Pewien pobożny pisarz (św. Odylon), mówi o Marji, że po Wniebowstąpieniu Chrystusa z nadzwyczajną pobożnością i zamiłowaniem obchodziła miejsca, uświęcone pobytem Zbawiciela w Ziemi św., rozważając przytem wypadki z Jego życia i męki. Mamy więc wzór i zachętę do tak pięknego nabożeństwa, jakiem jest obchód Drogi Krzyżowej — nabożeństwa, które, niestety, ostatniemi laty zaczęliśmy bardzo zaniedbywać.

Taką była Marja za życia — Mistrzynią doskonałej modlitwy. A w niebie czy przestała się modlić? Nie! I w niebie Jej modlitwa trwa nieustannie. Wiedzą o tem nawróceni za Jej wstawiennictwem grzesznicy; wiedzą o tem strapieni, którym Ona łzy otarła; wiedzą chorzy, którym Ona uzdrowienie wyjednała u Boga; wiemy o tem my wszyscy,

którzyśmy już nieraz za Jej przyczyną doznali miłosierdzia Bożego. Ach, Bracia! Nieustannie »uwielbia dusza Jej Pana, i w Bogu Zbawicielu duch Jej się raduje«.

II.

A teraz spytajmy się siebie samych: Jakże wygląda nasza modlitwa? Nieświetny przedstawi się widok oczom naszym! Jedni nie modlą się wcale; inni modlą się mało i źle. I jedni i drudzy nie wiedzą, czem jest modlitwa i nie oceniają jej doniosłości. Modlitwa jest to podniesienie myśli i serca do Boga; jest to poprostu rozmowa miłującego acz wyrodnego syna, z najlepszym, nieskończenie doskonałym ojcem.

Są tacy, którzy sądzą, że do modlitwy nieodzownie jest potrzebna jakaś tkliwość, nastrój słodki i uczuciowy. Takie zdanie jest mylne. Modlić się powinniśmy nie samym tylko uczuciem, ale całą istotą naszą: i pamięcią, i rozumem, i wolą. Milej nam wprawdzie modlić się gdy dusza w nieziemskiej tonie słodyczy, ale rozmawiać z Bogiem możemy i powinniśmy i wówczas nawet, gdy na duszę spada oschłość i zniechęcenie.

Inny znowuż powiada, że modlić się nie może i nie chce, gdyż modlitwa — to rzecz taka nudna. Wstydź się, Bracie, przyznawać się do tego, bo tem sobie złe wystawiasz świadectwo! Nudy nie w modlitwie się kryją, ale w tobie samym, i pochodzą stąd, że zmysłowość w tobie nad duchem przeważa. Uważno tylko! Nudzi zazwyczaj człowieka to, co

jest za wysokie dla jego pojęcia, do czego człowiek nie umie podnieść swego ducha. Dziecko nudzą poważne i zajmujące rozmowy starszych; prostaczek się nudzi, słuchając uczonej rozprawy. Nie w tych rozmowach i nie w tej rozprawie dopatrywać się należy nudów, ale w dziecku i prostaczku; dajcie ich umysłowi odpowiedni rozwój i wykształcenie, a nudy znikną. A więc i ty, Bracie, dlatego się nudzisz na modlitwie, że nie umiesz się wzbić duchem ponad poziom zmysłowości: przedmiot modlitwy taki wzniosły, a twój duch pełza tak nisko, tak nisko... Modlitwa jest przywilejem aniołów i ludzi; zwierzęta modlić się nie mogą, z ludzi zaś najlepiej modlą się ci, którzy najbardziej są uduchowieni.

Inni wreszcie twierdzą, że modlitwa dobrą jest może dla istot słabych i tkliwych; duchy zaś silne, męskie nie mają na modlitwę czasu i mogą się obchodzić bez niej. A więc, powiadają, pozostawmy modlitwę kobietom i zakonnikom! Oto nowy dowód, jak fałszywie nieraz pojmujemy istotę i znaczenie modlitwy. Istota modlitwy i jej tajemnicze w duszy działanie polega na połączeniu człowieka z Bogiem. Na ziemi, wyjąwszy komunję św., nic tak ściśle nie spaja nas z Bogiem, jak właśnie modlitwa. A czy to połączenie tylko słabym jest potrzebne? Któż z nas — powiedzcie — jest silnym o tyle, by nie potrzebował pomocy Bożej? Czego to już nie zdoła uczynić człowiek, pozostawiony sobie samemu! Rzeczy podziwu godne z jego rąk wychodzą! A cóż dopiero uczyni, gdy z Bogiem się połączy, z Bogiem będzie pracował, na Bogu się oprze całą siłą swego ducha! Któż zdoła wówczas zakreślić granice jego

potędze? I któż się zdziwi, jeśli nawet cud się stanie naówczas? »Moc moja i chwała moja — Pan« (Iz 12, 2). W modlitwie siła, w modlitwie moc! Nie wie o tem ten tylko, kto nigdy dobrze się nie modlił.

Ojcowie nasi lepiej modlili się od nas, toteż i lepiej się mieli. Dla nich modlitwa nie była ani trudną ani nudną. Ojcowie nasi kościoły wznosili, a my do kościołów uczęszczać nie chcemy. Ojcowie nasi życie swe na podwalinach wiary opierali, my zaś własnem życiem wierze kłam zadajemy. Ojcowie nasi zamykali się co roku w klasztorach, aby długie nieraz tygodnie spędzać na modlitwie i rozmyślaniu, my zaś sądzimy, że zrobiliśmy bardzo wiele, jeżeli nawpół uważnie przeczytaliśmy z książki do nabożeństwa jakąś litanję czy modlitewkę, lub chodziliśmy z nudów do kościoła na krótkie nabożeństwo. A o rozmyślaniu, czyli modlitwie ustnej, w której biorą udział wszystkie bez wyjątku władze ducha naszego, niewiele kto i słyszał nawet. Przy tem wszystkiem zdaje się nam, że swą modlitwą łaskę Pan Bogu świadczymy.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, że wśród nas zupełnie niema modlących się dobrze. Na szczęście tu i ówdzie znajdą się jeszcze dusze prawdziwie pobożne, których modlitwa niebiosa przebija. Może to im mamy do zawdzięczenia, że dotychczas nie zginęliśmy. Może to oni obłokiem swych modłów zasłaniają od oka Bożego nieprawości reszty współbraci, którzy tylko grzeszyć umieją? Jak wonny kwiat wśród spalonych stepów weseli oko wędrowca, tak te dusze pobożne, świetlane, cieszą oko Boże, gdy spocznie na tem szarem, bezbarwnem mrowisku, jakiem jest

ludzkość współczesna, co po ziemi tylko pełza i nie chce i nie umie podnieść się na skrzydłach modlitwy do swojego Stwórcy!

Bracia! Bądźmyż naprawdę dziećmi Marji, dziećmi Jej ducha, ducha modlitwy! Uczmy się od Niej wielbić Pana, aż rozraduje się duch nasz w Bogu Zbawicielu naszym, aż będziem mogli śpiewać z Psalmistą: »Błogosławiony Bóg, który nie odrzucił modlitwy mojej i nie odwrócił miłosierdzia swego ode mnie« (Ps 65, 20). Amen.

NAUKA VI.

Marja w Kanie Galilejskiej uczy nas modlitwy.

»Odbywały się w Kanie Galilejskiej gody weselne, i była tam Matka Jezusowa« *(Jn 2, 1).*

W Kanie Galilejskiej odbywa się uczta weselna. Jezus i Marja — w gronie biesiadników. Snać ktoś z krewnych lub przyjaciół św. Rodziny zawierał związki małżeńskie, skoro Najśw. Matka z Synem wzięli udział w godach. Dopiero co odbył się obrzęd zaślubin, uświęcony obecnością i błogosławieństwem Chrystusa. Goście zajęli miejsca przy stołach biesiadnych; rozpoczęła się uczta. Nastrój panował swobodny i wesoły; po wszystkich twarzach znać było ożywienie, ale i powagę zarazem, która się udzielała obecnym od Osoby najdostojniejszego Gościa-Jezusa.

Marji nie było wśród ucztujących. Zawsze uczynna, zawsze gospodarna, nienawykła do odpoczynku i obfitych poczęstunków, krzątała się pilnie około posługi. Jej wprawne oko wszystko spostrzegło, mądra rada i wskazówka niejeden brak naprawiła, Jej zręczność i doświadczenie niejednej zapobiegły szkodzie. Marja była duszą zebrania i nawpół

Panią domu. — Wszystko szło jak najlepiej, gdy naraz stała się rzecz bardzo przykra: zabrakło wina w naczyniach. Marja w jednej chwili oceniła doniosłość tej przygody: wesele będzie zepsute, a gospodarze wystawieni na niemiłe docinki i upokorzenia. I żal zrobiło się Jej tej pary młodej, tak szczęśliwej przed chwilą, tak pewnej, że wszystko w porządku. Z żalu zrodziła się chęć zaradzenia biedzie. Ale jak tu zaradzić? Na zakupno wina niema pieniędzy, bo oblubieńcy nie byli zamożni, zresztą czas nagli, a w pobliżu dostać niesposób.

Wzrok Marji pada na Syna. O, Syn Jej mógłby dopomóc. Wszak On wszechmocny; wszak to On daje wzrost winnym jagodom... Ale tu cudu potrzeba; a czy do cudu wystarczy ta taka nieznaczna okazja, ta prywatna, niewielkiej wagi okoliczność? Czy to nie będzie nadużyciem cudotwórczej mocy Zbawiciela? Marja się waha, ale niedługo; Jej serce, takie tkliwe, takie czułe na biedę ludzką, rozpraszа wszelkie wątpliwości. Idzie więc do Chrystusa i pocichu oznajmia Mu: »Wina nie mają«. Tylko tyle — tylko to proste wyjawienie biedy ludzkiej... Żadnych nalegań, żadnych utyskiwań. Marja zdaje się na wolę Syna, bo wie, że On sam najlepiej wszystko rozrządzi.

Ileż to razy my doznawaliśmy podobnych i większych jeszcze braków i niedostatków w swem życiu! Jedni chleba nie mają; inni — zdrowia; a jeszcze inni — przyjaznego serca, życzliwego słowa!... I któż policzy wszystkie dolegliwości i kolce, jakiemi są najeżone ścieżki życiowe każdego z nas, biednych

ziemi synów! I któż nie pragnąłby się uwolnić od tych krzyżyków i przykrości! Któż z nas nie modlił się do Boga o to, kto nie opowiadał Mu o swych troskach, kto nie wyjawiał Mu swych potrzeb?... Czy jednak pamiętaliśmy wówczas o Marji? Czy uczyliśmy się od Niej, jak mamy prosić Boga o zaspokojenie naszych potrzeb doczesnych? Modlitwa nasza koniecznie winna być połączona z ufnością i zdaniem się na wolę Bożą. To jeden z najistotniejszych warunków jej skuteczności. A tymczasem jakże często ten właśnie warunek puszczamy w niepamięć! Prosimy Boga o dobra doczesne bezwzględnie, natarczywie, jakby się one nam należały; te dobra nieraz wyżej stawiamy, niż dobra duszne, a potem gniewamy się na Boga, jeżeli modlitwa nie znajduje rychłego wysłuchania. Pamiętajmy, że o dobra doczesne prosić nam wolno tylko warunkowo: o ile nie staną nam na przeszkodzie do zbawienia. A to samemu tylko Bogu wiadomo. Poprzestawajmy zatem na prostem oznajmieniu w gorącej modlitwie naszych potrzeb, a resztę pozostawmy Opatrzności. »Zrzuć na Pana troski twoje, a On będzie miał pieczę o tobie: nie dopuści, by sprawiedliwy zachwiał się na wieki« (Ps 54, 23).

Jezus rzekł do Marji: »Mnie to zostaw, Niewiasto; nie nadeszłaż jeszcze godzina moja?« (ib. v. 4). Tak brzmiała odpowiedź Chrystusowa, brzmiała napozór nieprzychylnie, prawie szorstko. Ale tylko napozór. Czuły Syn, jakim był Jezus, nie mógł żadnej, by najmniejszej, wyrządzić Matce przykrości. Nie odmawiał, tylko zwlekał do sposobniejszej chwili

spełnienie cudu. Marja to zrozumiała odrazu i dlatego rozkazała sługom: »Zróbcie, cokolwiek wam poleci« (ib., v. 5). — I oto na prośbę Marji stał się cud — pierwszy w długim łańcuchu cudów Chrystusowych. Woda została przemieniona w najdoskonalsze wino...

Ach, bo prośba Marji jest dla Chrystusa niemal rozkazem! Chrystus i w niebie nie przestał być Synem Marji i nie odmawia Jej posłuszeństwa, a Marja i w niebie nie przestała opiekować się nami, — owszem, tam jeszcze podwaja swe czuwanie nad biednymi tułaczami po ziemskim padole. — W Kanie Galilejskiej Marja sama nieproszona wstawiła się do Syna; cóż dopiero, gdy Ją o wstawiennictwo prosić będziemy! Bądźmyż pewni, że nie doznamy zawodu, bo prawdą jest, co Jej czciciel wyrzekł, że od wieków nie słyszano, aby Marja opuściła tego, kto się oddaje pod Jej opiekę.

W szczególności grzesznicy powinni się tulić pod Jej płaszcz matczyny. Bo jeżeli doczesna bieda oblubieńców z Kany Galilejskiej tak wzruszyła Marję, jakże Ją wzrusza zawsze duszne nieszczęście grzeszników! I jeżeli wielkie współczucie i prośba brzmiały w tem takiem zwyczajnem Jej oznajmieniu: »Wina nie mają«, jakże się wzruszy Jezus, gdy usłyszy bolesne z Jej ust o grzesznikach wyznanie: »Łaski nie mają!« O, napewno pospieszy grzesznikom z pomocą i łaskę im da, a oni niechże ją przyjmą i zechcą z niej należycie skorzystać. Amen.

NAUKA VII.

Nabożeństwo kościelne.

»Rodzice Jezusa rok rocznie chodzili do Jerozolimy na uroczystość Paschy« *(Łk 2, 41).*

I.

Do Boga należy, jako Jego wyłączna i niezaprzeczona własność, cały wszechświat ze wszystkiem, co jest w niebie i na ziemi. I wszechświat chwali Pana i na swój sposób cześć Mu oddaje. Człowiek, co pyłkiem jest we wszechświecie, miałżeby być wolny od obowiązku składania Bogu swych hołdów i uwielbienia? Jako najbardziej obdarowany ze wszystkich istot cielesnych, jako król widzialnego świata, człowiek winien oddawać Bogu cześć najdoskonalszą, na jaką go tylko stać. A do tego nie wystarczają wewnętrzne tylko akty czci i uwielbienia, nie wystarcza modlitwa prywatna, choćby najlepiej odbyta, — do tego potrzeba koniecznie zewnętrznych hołdów i modłów publicznych. Człowiek bowiem nie tylko duszę, ale i ciało wziął od Boga, więc też i ciałem musi ukorzyć się przed Nim; nie tylko jest samoistną i odrębną jednostką ludzką, ale też człon-

kiem społeczeństwa ludzkiego, więc też razem z nim i w jego imieniu winien chwalić Boga publicznie. Publiczna i zewnętrzna cześć Boga znajduje swój wyraz głównie w nabożeństwach kościelnych, wierni zaś są obowiązani do brania w tych nabożeństwach udziału.

Oprócz publicznego uczczenia Boga, nabożeństwa kościelne inny nie mniej ważny mają cel na względzie: podtrzymywać i rozwijać w nas życie modlitwy, życie łaski. Cel zaś ten osiągają przywodząc nam na pamięć w modłach i ceremonjach kolejno ważniejsze tajemnice wiary św., dając nam coraz to nowy impuls do praktykowania szczerej, wewnętrznej pobożności. Życie modlitwy przez nie się pogłębia, urozmaica i staje bardziej powabnem. Kościół w szacie swych przecudnych, a tak różnorodnych nabożeństw nabiera iście królewskiego uroku i powagi, i słusznie możemy stosować doń słowa psalmisty: »Po prawicy twej stoi królowa w złotogłowiu: w stroju różnobarwnym« (Ps 44, 10). Usuńmy z Kościoła nabożeństwa — ten wieniec spleciony z uroczystości Najśw. Marji Panny, świętych Pańskich, z obrzędów i zwyczajów religijnych, — a pozostawmy w nim tylko Ofiarę mszy św. i komunję; będziemy mieli wprawdzie serce, ale nie będziemy mieli żywego, a tak pięknego organizmu. Życie kościelne straciłoby wówczas ogromnie na powabie i rozmaitości, życie modlitwy skurczyłoby się i zmalało, aż wkońcu zanikłoby zupełnie. Rozumieją to dobrze wrogowie wiary. Niecną robotę wydarcia wiary z serc ludzkich rozpoczynają zwykle od wyszydzania i prześladowania nabożeństw kościelnych,

a przytem tłumaczą naopak słowa Chrystusa: »Bóg jest Duchem; a przeto i czciciele Jego winni Mu cześć oddawać w duchu i prawdzie« (Jn 4, 24). Wiedzą bowiem, że gdy istota cielesna tylko duchem zechce chwalić Boga, wkrótce przestanie Go chwalić zupełnie.

My choć może i nie słuchamy niedowiarków, jednak częstokroć ułatwiamy im dopięcie ich niegodziwych celów przez swe lenistwo i obojętność na nabożeństwa kościelne. Naogół biorąc, uczęszczanie do kościoła się zmniejsza, bo ceremonje religijne już nam spowszedniały. Patrzymy na nie ze znudzeniem; już nam one nic nie mówią, a dlaczego? Bo nie umiemy z zewnętrznych obrzędów wyczytać ducha uroczystości. A duch przecież jest treścią, istotą obrządku — jest wszystkiem. I Chrystus Pan w przytoczonych powyżej słowach tego właśnie ducha ma na myśli.

Współczesny człowiek tak się zagrzebał w doczesności, że to, co nadprzyrodzone, wyższe, już go nie pociąga. Wynajduje przeróżne wymówki, byle tylko nie wychodzić ze stanu bierności i zobojętnienia. I oto nieraz lata mijają, a człowiek taki do kościoła nie zajrzy. Chyba się zdarzy jakiś obchód narodowy, połączony z nabożeństwem, wówczas oczywiście w kościele będzie w pierwszych szeregach. Ale i naówczas nie dla nabożeństwa przychodzi, a dlatego tylko, że tego program obchodu wymaga, że nie pójść nie wypada. Z miną znudzoną, z miną męczennika doczeka się jakoś końca nabożeństwa i czemprędzej wychodzi, by nic z programu nie opuścić. A gdzie dziękczynienie Bogu za wyświadczone

narodowi dobrodziejstwo, gdzie prośba o nowe łaski, gdzie modlitwa, gdzie duch? Nie, stanowczo nawet w swych wielkich obchodach bywamy nieraz tacy płytcy, tacy powierzchowni i tacy, tacy mali!... I jeszcze jedno ściąga zazwyczaj do kościołów liczne tłumy: to wystawne śluby lub pogrzeby. Są ludzie, którzy latami całemi nie bywają na mszy św., ale wystawniejszych ślubów nie opuszczą nigdy. Nie mówię już o pogrzebach kościelnych, ale przecież i obrządek ślubny, jak wszystko, co z religją się łączy, powinien wiernych nastrajać poważnie i zbliżać do Boga. Tymczasem co się dzieje? Oto całe tłumy widzów pchają się i tłoczą; wypatrują sobie oczy na toalety, weselną świtę, na całą paradę... Ile przytem uwag, śmiechu, żartów! Ze świętego obrzędu robimy sobie zabawne widowisko i ledwo pamiętamy, że jesteśmy w przybytku Boga Najwyższego. Nowy to, smutny dowód, jak słabem tętnem bije w nas życie religijne, życie modlitwy.

II.

Tak u nas, na nizinach; zupełnie inaczej wygląda ono u naszej Matki Marji.

»Rodzice Jezusa rok rocznie chodzili do Jerozolimy na uroczystość Paschy«. Był rozkaz w prawie Mojżeszowem, aby każdy dorosły mężczyzna stawił się trzy razy do roku w świątyni Pańskiej i złożył ofiarę ze swego dobytku. Tak bowiem napisano w Księdze Wyjścia: »Trzech czasów roku ukaże się wszelki mężczyzna twój przed oblicznością wszechmogącego Pana, Boga Izraelskiego« (34, 23). Ten

przepis prawa miała na względzie św. Rodzina, gdy pospołu z innymi wiernymi udawała się rok rocznie do świętego miasta Jeruzalem na główniejsze święta kościelne. I chociaż ten przepis obowiązywał samych tylko dorosłych mężczyzn, to jednak i Najświętsza Marja Panna chętnie go spełniała, ze skwapliwością spiesząc »przed oblicznośc wszechmogącego Pana«. Dlaczego to czyniła, każdy sam sobie z łatwością dopowie: Bo czas spędzony na modlitwie, zwłaszcza w miejscu Bogu poświęconem, był dla Niej najmilszym. — Niełatwe to było zadanie trzy razy do roku odwiedzać kościół jerozolimski! Nazaret, gdzie mieszkała Marja, było odległe od Jeruzalem o kilkanaście mil; podróż była bardzo uciążliwa, bo trwała dni trzy, a iść trzeba było najczęściej wąskiemi ścieżynami, wijącemi się poprzez pasma gór i wąwozów; sam pobyt w świętem mieście był połączony z trudnościami skutkiem przeludnienia, zwłaszcza dla uboższych, a do takich przecież należała Marja. Tyle trudności naraz i to nie urojonych, a rzeczywistych! Ale Marja na nic nie zważała; ożywiała Ją gorąca miłość ku Bogu i duch szczerej pobożności, a wobec tego wszystkie przeszkody musiały ustąpić! Brała zatem Dzieciątko na ręce i szła. Z radością witała Marja widok wspaniałej świątyni, ze czcią i bojaźnią wstępowała w jej progi. Na usta Jej cisnęły się słowa natchnionego Piewcy: »Jakże miłe są przybytki Twoje, Panie Zastępów! Tęskni i usycha dusza moja do przedsieni Pańskich« (Ps 83, 1). Ach, bo w tych przedsieniach było Jej najlepiej! Nie świetna budowa, nie szczerozłote ozdoby, nie bogate szaty kapłanów, nie wystawność ofiar pociągały Ją

głównie, chociaż i to podnosiło Jej ducha, przywodząc na pamięć nieskończoną wielkość Boga. Duch, który się krył pod świetną zewnętrzną powłoką, — duch uwielbienia, dziękczynienia, prośby i przebłagania, — oto co dla Marji największy miało urok, co było dla Niej główną atrakcją nabożeństw! Dnie mijały — bo siedm dni trwały wielkanocne obchody; kapłani ustawali w składaniu ofiar; światła się zapalały i gasły na ołtarzu; milkły pienia pobożne; ale dusza Marji nie ustawała w pobożności i ciągle była z Bogiem. Koło Niej tysiączne przesuwały się tłumy, coraz nowe toczyły się rozmowy, ale Marja zwracała na nie uwagę o tyle, o ile to było koniecznem. Poza tem obcowała tylko z Bogiem. A gdy dzień siódmy dobiegał końca, i trzeba było wracać do domu, Marja z trudem tylko mogła się oderwać od świątyni, albowiem dla Niej »lepszy jest dzień jeden w przedsionkach Pańskich, niż tysiące« poza niemi (Ps 83, 11).

Podobnemi uczuciami była ożywiona Marja podczas Obrzezania Pańskiego i oczyszczenia. Wszędzie i zawsze duch Jej sięgał głębin i przenikał treść i istotę zewnętrznego obrzędu, czerpiąc stąd dla siebie największe pożytki. Uważmy jeszcze, że obrzędy i ceremonje Starego Zakonu, na których była obecną Marja, nie miały tej mocy i doniosłości, jaką mają nabożeństwa nasze. Do naszych są przywiązane rozmaite łaski, obrzędy zaś dawne łaski nie sprowadzały, a były tylko figurą i przygotowaniem do obrzędów Nowego Testamentu. Z jakiemże zatem uczuciem, z jakąż pobożnością uczestniczyłaby Marja w nabożeństwach Kościoła katolickiego!...

Jakże mało myślimy o tem my, co chcemy być dziećmi Marji! Jakże mało wpatrujemy się w Jej przykład, jak niechętnie, jak ociążale za Nią podążamy! Wielki czas otrząsnąć się z duchowego uśpienia!« Jest godzina, abyśmy już ze snu powstali« (Rz 13, 11). To — godzina Marji. Ona nas budzi. W swym miesiącu szczególniejszą ma nad nami władzę i szczególniejszą nas otacza miłością. Prośmyż Ją, aby nas ożywiła duchem szczerej pobożności, abyśmy się stali godnymi błogosławieństwa Bożego, o którem śpiewa Psalmista: »Szczęśliwi, którzy mieszkają w domu Twoim, Panie! Wiecznie chwalą oni Ciebie!« (Ps 83, 5). Amen.

NAUKA VIII.

Msza św.

»Jak bolesna Matka Boża
Stała u krzyża podnóża,
Kiedy cierpiał Syn katusze«...
(»Stabat Mater«, przekład X. Hołowińskiego).

I.

Najwyższym wyrazem zewnętrznej czci Bożej oraz szczytem kościelnego nabożeństwa jest msza św. Stanowi ona łącznie z komunją św. serce religji chrześcijańskiej, ośrodek, do którego zmierza, dokoła którego się obraca całe życie kościelne we wszystkich swych przejawach. Co do istoty swej msza św. jest tą samą ofiarą, którą Zbawiciel spełnił na krzyżu, bo zarówno na ołtarzu, jak na Kalwarji sam Chrystus Pan ofiarowuje siebie Bogu-Ojcu za grzechy całej ludzkości. Różnica zachodzi jedynie co do sposobu, w jaki się ta ofiara dokonywa: na krzyżu Chrystus cierpiał i umierał, na ołtarzach zaś naszych Zbawiciel ani cierpi ani krwi nie przelewa; dlatego mszę św. nazywamy Niekrwawą Ofiarą. Powtarzamy: sposób różny, ale istota, ale wartość i zasługa jednaka.

Najświętsza Marja Panna uczestniczyła w krwawej ofierze Syna. To Jej uczestnictwo nie było tylko zewnętrznem, ale najbardziej istotnem: gdy Chrystus cierpiał, Ona współcierpiała, gdy Chrystus umierał, Ona współumierała. Z siedmiu mieczów boleści, na Kalwarji ugodził Jej serce miecz ostatni, najstraszliwszy. W Jej zatem szkole winniśmy się nauczyć, z jakiem usposobieniem należy uczestniczyć w niekrwawej mszy św. Ofierze. Jej Syn, a nasz Zbawiciel Jezus Chrystus w objawieniu się bł. Małgorzacie Marji Alacoque wyraźnie stawia swą Matkę Marję za wzór dla wszystkich wiernych także i pod względem słuchania mszy św.

Uczże nas, Matko! My słuchać będziemy...

Marja była obecną przy krwawej Ofierze Syna — była nią tylko zajęta — uczestniczyła w niej od początku do końca. Tych trzech rzeczy i od nas Bóg wymaga podczas mszy św.

Matki nie bywają obecne przy straceniu ich dzieci, bo niema takiej siły, któraby je do tego zmusiła. Ale Marja nadludzką wiedziona mocą szła za Synem aż na Kalwarję. Moc tę dała Jej wiara i miłość. Marja chciała ulżyć Synowi w najstraszniejszą cierpień godzinę. Nie mogąc umrzeć zamiast Niego, chciała przynajmniej z Nim współboleć, więc aż na Kalwarję dotarła, aż pod krzyżem stanęła, aż mogła zbierać Przenajdroższej Krwi kropelki: niech Syn widzi, że Ona — Matka Jego i Jego wierna służebnica — tuż-tuż przy Nim, że nie opuszcza Go w chwili, gdy wszyscy Go odbiegli, że tem więcej Go miłuje, im więcej ludzie nad Nim się znęcają.

I Chrystus to zrozumiał i ocenił; obecność Matki, Jej wiara i miłość były dla Chrystusa ostatnią, a więc tem droższą pociechą i wynagrodzeniem i za złośliwość katów i za małoduszność Apostołów, i za niewierność późniejszych pokoleń.

Stojąc zaś pod krzyżem, Marja była zajęta wyłącznie tem, co się dokonywało na krzyżu — Ofiarą Syna. Dokoła Niej panował ruch niezwykły, rozlegały się przekleństwa, bluźnierstwa i naigrawania; popychano Ją i wyśmiewano, grożono Jej. Zaćmiło się słońce, pękały skały, ziemia drżała — Ona to ledwie dostrzegła, bo oczy miała w krzyż utkwione, myślą rozważała niedościgłą tajemnicę Odkupienia, a sercem mierzyła bezmiar męki, sromoty i poniżenia Synaczka. Jej ciało stało pod krzyżem, ale dusza tam w górze obok Syna zawisła, z Nim razem cierpiała, z Nim konała. I dlatego woła św. Bernard: »Marjo! gdzieś była? Czy pod krzyżem? Owszem — i na krzyżu!«

Wreszcie Marja uczestniczyła w kalwaryjskiej Ofierze od początku aż do końca. Od chwili pojmania aż do złożenia w grobie żaden szczegół krwawej męki Jezusa Chrystusa nie uszedł Jej uwagi. Widziała niesprawiedliwych sędziów, widziała biczowanie, koronowanie cierniem, znęcanie się żołdactwa, widziała Jezusa, gdy dźwigał krzyż, widziała Go, gdy na krzyżu umierał. Ani jednej kropelki goryczy nie oszczędziła sobie — kielich boleści wypiła z Jezusem aż do dna! Pierwsza przy Chrystusie stanęła, ostatnia z Nim się rozstała.

Taką była Marja na Kalwarji; takąby Ona była

dziś u stóp naszych ołtarzy. Tak Ona nas uczy słuchać mszy św.

II.

Dla tego, kto wie, czem jest msza św. i jakie są jej owoce, nie wyda się dziwnem, że Kościół tak zawsze dbały o większą chwałę Bożą i większy dusz naszych pożytek, wkłada na nas obowiązek słuchania mszy św. we wszystkie niedziele i święta. Przykazanie słuchania mszy św. obowiązuje wszystkich wiernych od chwili, gdy dojdą do używania rozumu, pod grzechem ciężkim, o ile niema poważnych przyczyn, od obowiązku tego zwalniających. Właściwie słuchanie mszy św. dla oświeconego a dobrego katolika nie tyle jest obowiązkiem, ile raczej szczęściem i zaszczytem. Dusza jego sama się wyrywa do stóp ołtarza, do Boga, »który uwesela młodość jego« (Ps 42, 4) i tam chętnie przebywa nie tylko w niedziele i święta, ale o ile można, codziennie, chwile zaś spędzone przed ołtarzem uważa za najpiękniejsze w ciągu dnia całego. Ale, niestety, dusz takich coraz mniej; toteż coraz częściej trzeba przypominać katolikom o wielkim obowiązku uczestniczenia w Najśw. Ofierze. Na czemże ma polegać to uczestnictwo? Powtarzamy, że Kościół wymaga od nas trzech aktów, co do istoty tych samych, jakie wykonała Marja pod krzyżem, a mianowicie: 1) obecności w świątyni; 2) uwagi zwróconej na Najśw. Ofiarę i 3) wzięcia udziału w całej mszy św.

Obecność w świątyni polega na tem, że słuchamy mszy św. w miejscu publicznem, a więc w ko-

ściele czy w kaplicy, przeznaczonej dla publicznego użytku. Msza św. bowiem jest aktem czci publicznej, Bogu należnej, nie zaś nabożeństwem prywatnem. Słuszną zatem jest rzeczą, aby w dzień niedzielny czy święty, przeznaczony dla publicznej czci Bożej, w publicznem też miejscu jej słuchano. Świątynia może być za szczupła na pomieszczenie wszystkich modlących się; wówczas obowiązkowi zadośćczynią i ci, którzy są daleko od ołtarza, poza kościołem, byleby z tymi, co są w kościele, jedną stanowili gromadę. — My tu na brak świątyń narzekać nie możemy; mamy daleko idące udogodnienia; więc byleby tylko chęci były, a wszyscybyśmy mogli mszy św. wysłuchać. A jednak czy wszyscy słuchamy? Nie! Nie mówię oczywiście o chorych i mających inne prawne przeszkody. Ale dlaczego zdrowi i wolni od tych przeszkód do kościoła nie zawsze spieszą? Jedni czują się zmęczeni, bo w przeddzień zawiele tańczyli; inni chcą dłużej wypocząć, bo wieczorem dnia tego czeka ich bal i zmęczenie. Inni znowuż mają dyżur niedzielny w biurze czy zakładzie, więc całemi tygodniami na mszy św. nie bywają. Tym powiem, że gdyby więcej miłowali Pana Boga i dbali o spełnienie swych religijnych obowiązków, radaby się i na to znalazła. Są msze wcześniejsze, są późniejsze; możnaby zawsze znaleźć pół godziny czasu; zresztą trzeba się postarać o kolejną zmianę osób przy dyżurach, aby przynajmniej od czasu do czasu każdy mógł bywać na mszy św. To samo należy powiedzieć o sługach; mają przy wstępnej umowie zapewnić sobie możność bywania na mszy św. w nie-

dziele i święta, a w razie niespełnienia umowy niech się postarają o zmianę miejsca.

Druga rzecz, której Kościół od nas wymaga, to uwaga, z jaką mszy św. słuchać należy. Dla spełnienia obowiązku wystarczyłoby nie zajmować się podczas mszy św. żadną czynnością, któraby się nie dała pogodzić ze słuchaniem mszy św.; z tego względu mszy nie słucha ten, kto w ciągu jej śpi, rozmawia, czyta rzeczy świeckie, uważnie przygląda się architekturze świątyni lub obrazom i t. d. Podobnych karygodnych wykroczeń my naogół unikamy. Trzeba jednak i wewnętrzną uwagę zwracać na ołtarz, a znaczy to, że duchem łączyć się musimy z kapłanem, jak Marja łączyła się z Chrystusem. Musimy mszy św. słuchać pobożnie i unikać dobrowolnych roztargnień. Pod tym względem niejedno dałoby się nam zarzucić. Niech każdy porachuje się z własnem sumieniem i sam sobie powie, co ma naprawić.

Wreszcie Kościół wymaga, abyśmy słuchali całej mszy św. od początku do końca. Nie wolno więc późnić się, nie wolno przed końcem wychodzić z kościoła. Opuszczenie tej lub owej części mszy św. będzie grzechem mniejszym lub większym, zależnie od tego, jaka to będzie część, ważna czy mniej ważna, znaczna czy mniej znaczna. Naogół teologowie uczą, że kto spóźnia się na Ofiarowanie, popełnia grzech ciężki; to samo, jeżeli kto opuszcza znaczną część kanonu, konsekracji i komunję, lub samą tylko konsekrację.

Powtarzamy: Kto dba o dobro swej duszy, dla tego są zbyteczne wszelkie przepisy i zachęty. Taki

wie, że msza św. to najobfitsza skarbnica łask, to najwyższy akt czci i miłości Bożej. Zwłaszcza w czasach niewiary, jak nasze, dobrzy katolicy winni się cisnąć do ołtarzy Pańskich. Będzie to osłodą dla cierpiącego Chrystusa, a dla nas prawdziwem błogosławieństwem. Uczmy się od Marji pobożności, bo tylko pobożne słuchanie mszy św. zapewnić nam może łask obfitość. Niechże zatem Marja wyryje głęboko nam w duszy słowa hymnu kościelnego:

Niech śmierć Zbawcy w sercu chronię,
Niech mam udział w męce, w zgonie,
Spółkrzyżując mego ducha. Amen.

NAUKA IX.

Święcenie niedzieli.

»Pamiętaj, abyś dzień święty święcił«.

I.

Sam rozum wskazuje, że stworzenie przez cześć należną Stwórcy winno poświęcić dnie pewne na wyłączną Jego służbę. Bóg mógł zażądać, abyśmy składali Mu hołdy nieustannie; ale przez wzgląd na naszą słabość i zajęcia, zabierające nam wiele czasu, tylko dnie pewne zastrzegł sobie wyłącznie, a resztę pozostawił nam na pracę. W te dnie — w niedziele i święta — jesteśmy obowiązani słuchać mszy św., o czem mówiliśmy wczoraj; ponadto powinniśmy powstrzymać się od robót służebnych. I o tem dzisiaj.

»Pamiętaj, abyś dzień święty święcił«. O, jakże ściśle było to przykazanie przestrzegane w Starym Zakonie! Za jego naruszenie winnych z woli Bożej karano bardzo surowo. Miłość wszelako więcej może, niż strach przed karą choćby najsurowszą. Jakże więc święcie musiała zachowywać to przykazanie Marja, która więcej niż aniołowie Boga miłowała!...

Przenieśmy się myślą do nazaretańskiego domku

i spróbujmy sobie wystawić, jak w nim obchodzono dzień świąteczny. — Dzień rozpoczynał się wcześnie, a rozpoczynał od modlitwy. Św. Rodzina doskonale znała i jak najściślej wypełniała przepisy prawne, dotyczące obchodu świąt. Dla niej każdy, choćby najdrobniejszy szczegół był ważnym i pełnym znaczenia. Wspólnym modłom przewodniczył św. Józef jako głowa Rodziny. Modlitwa w synagodze nazaretańskiej, przepisane obmywania oraz inne obrzędy były spełniane z przejęciem się i podniesieniem ducha do Boga, bez pośpiechu, bez roztargnienia, ze skupieniem i powagą. Na posiłek niewiele zużywano czasu, zresztą i sam posiłek był tu uświęcony dobrą intencją w myśl zasady, obowiązującej zawsze, ale sformułowanej później dopiero przez Apostoła Narodów: »Chociaż jecie, choć pijecie, choć co innego czynicie, wszystko ku chwale Bożej czyńcie« (I. Kor. 10, 31). W godzinach popołudniowych prawdopodobnie poczciwi sąsiedzi odwiedzali św. Rodzinę, lub też św. Rodzina szła w odwiedziny do kogoś z przyjaciół. Wiemy, jakie błogosławieństwo wniosła Najśw. Marja Panna w dom Elżbiety podczas Nawiedzenia. Twierdzimy zatem śmiało, że wszyscy ludzie dobrej woli, którzy mieli szczęście stykać się ze św. Rodziną, unosili ze sobą urok Jej świętości, stawali się lepszymi. Bo z każdego słowa Najśw. Marji Panny tryskało pragnienie przysporzenia chwały Panu Bogu, a pożytku bliźnim. Wieczory spędzano nad świętemi Księgami, na rozmyślaniu oraz na pobożnych i pożytecznych rozmowach. Nie było w nich słówka nie już złośliwego, ale nawet próżnego; każde pochodziło z miłości i rzeczywistej potrzeby. Dzień

kończono dziękczynną modlitwą i wcześnie udawano się na spoczynek. W ciągu całego dnia świątecznego nic nie mogło zmusić św. Rodziny do podjęcia jakiejś pracy zakazanej w Zakonie, choć przecież św. Rodzina z pracy tylko żyła. Zresztą i nie było potrzeby przykazania łamać, gdyż św. Rodzina mając je zawsze w pamięci i tak bardzo szanując, wszystko już zawczasu miała załatwione lub odkładała załatwienie na dzień poświąteczny. — Tak przypuszczalnie wyglądał dzień święty w domku nazaretańskim. Był to dzień prawdziwego wypoczynku i dla ciała i dla ducha, dzień pożyteczny dla świętej Rodziny, a miły Panu Bogu.

II.

Nie jest mojem zadaniem wykładać wam dziś szczegółowo naukę o III przykazaniu Boskiem, i za szczupłe na to ramy krótkiego przemówienia. Rzucę tu tylko kilka myśli ogólnikowych, wskażę kilka rażących niewłaściwości.

My naogół nie doceniamy doniosłości przykazania o święceniu niedzieli. Cel jego główny: choć na krótko oderwać człowieka od ciężkiej pracy, dać wytchnienie jego ciału, a ducha ku Bogu skierować przez dłuższą modlitwę i oświecanie się w rzeczach wiary i obyczajów. Wierne jego spełnienie umoralnia człowieka i podnosi duchowo. A uszlachetniając jednostki, uszlachetnia też całe społeczeństwo, z tych jednostek złożone i daje mu trwałe podwaliny ładu i porządku. Narody, najwyżej moralnie stojące, najlepiej zachowują to przykazanie, i odwrotnie gdzie

święcenie niedzieli poszło w poniewierkę, tam i moralność upadła. Za przykład może posłużyć Francja z czasów wielkiej rewolucji. Tam nienawiść religji chrześcijańskiej posunęła się była do tego stopnia, że aby znieść święcenie niedzieli, prawem wprowadzono nowy podział miesiąca na t. zw. dekady i nakazano przerywać pracę nie co siódmy dzień, ale co dziesiąty. I cóż się okazało? Liczba przestępstw wzrosła, wzmogły się choroby, wycieńczenie, wzrosła też śmiertelność. Nie dziw! Jeśli stworzenie zacznie poprawiać dzieło Stwórcy, tylko je popsuje i sobie zaszkodzi. Burzyciele porządku społecznego zawzięcie powstają przeciwko III przykazaniu Bożemu, bo rozumieją, że gdy człowiek przestanie się rachować z nakazem Bożym, to już tem bardziej nic sobie robić nie będzie z praw i rozporządzeń władzy świeckiej i stanie się powolnem w ręku wywrotowców narzędziem. Każdy zatem, kto pragnie dobra społeczeństwa, winien sumiennie przestrzegać święcenia niedzieli. Jest to przecież jeden z najważniejszych obowiązków chrześcijańskich.

A teraz rzućmy okiem po sobie i zobaczmy, co w miejscowych stosunkach wymaga natychmiastowej naprawy.

Zacznijmy od sfer wielkomiejskich. — Niedziela. Godzina 6—7 z rana. Pobożni spieszą na prymarję. Na rogu co drugiej ulicy napotykają gromady osób roześmianych, ubawionych, hałasujących. Skądże to i dokąd, panowie? Oczywiście, z balu i — do łóżka. Trzeba przecież spocząć po całonocnem hasaniu! I spoczynek trwa długo, długo, nieraz aż do nieszporów. A gdzież msza św.? Ach, o tem i nie pomyślało

się nawet! Wreszcie się wstało. Umówiona przechadzka, może wycieczka pozamiejska, to takie zajmujące, ciekawe, no i — niewinne... Tak, tak — niewinne!... Albo dla odmiany: wizyta u przyjaciela, u przyjaciółki. Ponarzekawszy na złe czasy, na podatki, redukcje, drożyznę, na liche porządki, rozmowę się skierowuje na tego lub owego. Dobrego zazwyczaj niewiele widzimy w bliźnich, więc dalejże wyliczać cudze wady i grzechy! W jednej chwili obmówiono, oczerniono bliźniego, a potem z tego plotki pójdą, nieporozumienia i kłótnie. Potem omawiają się skandale i skandaliki miejskie, powtarzają się dowcipy i żarty słyszane, nieraz brudne, gorszące bardzo, nieraz przy dzieciach i służbie... Kiedyż i pogadać, jeżeli nie w niedzielę, — mówimy na swe usprawiedliwienie. Dzień świąteczny kończy sę zazwyczaj w teatrze lub znowu na balu.

Zejdźmy niżej — do domu robotnika. Ten od rana wykończa obstalunek. Ach, bo to teraz takie ciężkie czasy! Człowiek nie ma z czego się utrzymać, jeżeli w niedzielę nie pracuje — tłumaczy się zaskoczony. Potem wykończony obstalunek odnosi. Wraca z garścią pieniędzy, na które czekają tam w domu, ach, jak czekają! Ale w drodze spotyka znajomego. To taki dobry, stary znajomy!... »Wstąpmy na kieliszek, bo i kiedyż wypić, jeżeli nie w niedzielę?!« Piją więc, póki nie wypróżnią się kieszenie, aż głowa nie pocznie pękać. Oczywiście, natychmiast do łóżka, bez pacierza, bez jednego do Boga westchnienia. Budzi się późno nazajutrz chory, niezdolny do pracy; poniedziałek dla roboty

stracony. A w domu łzy, przekleństwa, może bójki. Ładny wypoczynek niedzielny! Ładne uświęcenie dnia Bożego!...

Gdzieindziej znowuż weszło w zwyczaj, który zganić trzeba, w niedzielę właśnie robić zakupy, nawet mniej pilne, przyczem sklepowy lub sklepowa muszą tegoż dnia zakupione rzeczy odnosić do domów kupujących; przyjęto też w niedzielę dawać rzemieślnikom obstalunki lub odbywać z nimi dłuższe narady w sprawie ubrania, obuwia, umeblowania mieszkań i t. d.

Po wsiach istną plagę dni świątecznych stanowi gra w karty. Gospodarz, ulegając namowom żony, wybiera się wprawdzie do kościoła, lecz wpół drogi zbacza do innego gospodarza na krótką pogawędkę. W jej trakcie jakby przypadkowo zjawiają się na stole karty; jakby przypadkowo dobiera się potrzebne towarzystwo, i w jednej chwili zapominają wszyscy o kościele i niedzieli, i grają do zmroku, a niekiedy do rana dnia następnego i dłużej. Młodzi wolą, zamiast iść do kościoła, wałęsać się po rynku, odbywać schadzki, omawiać szczegóły projektowanej wieczoryny i t. d.

Podobnych przykładów możnaby przytoczyć więcej. Są jednak zbyt smutne i za dobrze każdemu znane, by się nad niemi dłużej zatrzymywać. Świadczą one, że umiemy niedzielę przepróżniaczyć, ale nie umiemy jej jak należy święcić. Niejeden katolik zamiast się zbliżyć do Boga przez święcenie niedzieli, bardziej się od Boga oddala, gdyż właśnie w niedzielę najwięcej grzeszy.

Bracia! Mam do was wielką prośbę: Przez mi-

łość dla Boga i tej naszej Matki najdroższej Marji, przez poczucie obowiązku i pragnienie dobra dla całego społeczeństwa pracujcie wspólnie a usilnie nad wykorzenieniem tego wszystkiego, co dzień święty, dzień Boży, łamie i bezcześci! Każdy w swojem kółku znajdzie niejedno do naprawienia. Ale pracujcie nie tylko słowem, ale i przykładem, bo słowo porusza, a przykład pociąga. Napotkacie wiele nieraz trudności, — nie zrażajcie się niemi! Matkę Boską obierzcie za przewodniczkę, a przy Jej pomocy wiele dobrego zrobicie, za co wam Pan Bóg zapłaci. Amen.

NAUKA X.

Oświecanie się w rzeczach wiary i moralności.

»Stolico Mądrości, módl się za nami!«

I.

Najświętszą Marję Pannę nazywamy Stolicą Mądrości dla dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że w Niej, jako w stolicy, przebywał ten, kto jest źródłem wszelakiej mądrości, Mądrością samą, Słowo Boże Jezus Chrystus; a powtóre dlatego, że Marja posiadała prawdziwą mądrość w stopniu najwyższym. Mądrość zaś taka prowadzi stworzenie do Stwórcy i ćwiczy je w bojaźni Bożej, jak nas o tem poucza Pismo św.: »Początek mądrości — bojaźń Pańska« (Ps 110, 10).

Marja znała Boga i zgłębiła święte prawdy wiary, jak nikt przed Nią i nikt po Niej; Jej mądrość przewyższała mądrość duchów niebieskich. Dlatego też i miłość, jaką pałała ku Bogu, dosięgła w Niej najwyższego szczytu. Bo taka już natura ludzka, że przedtem, niż umiłować, koniecznie musi poznać przedmiot miłości. I odwrotnie: miłość rodzi

poznanie; im więcej kogo miłujemy, tem lepiej chcemy go poznać. Miłość wzrasta w miarę tego, jak nasze poznanie nowe odkrywa w przedmiocie poznawanym piękności i zalety. Bóg zaś jest samem pięknem i posiada wszystkie doskonałości w stopniu nieskończonym; żadna wiedza oprócz Boskiej nie zgłębi ich do dna; jedna tylko miłość Boża ogarnie je swoim bezmiarem. Marja przeto nieustannie pomnażając się w mądrości, wzrastała też ciągle w miłości ku Bogu.

Ale skądże w Niej ta znajomość prawd Bożych, skąd ta mądrość nad wszystkie mądrości? Pytanie to znalazło odgłos w sztuce chrześcijańskiej. Mamy dwa przepiękne obrazy pierwszorzędnych malarzy katolickich, usiłujących częściowo rozwiązać to pytanie. Na jednym z nich widzimy Marję jako małe, powabne dziewczątko, które odbiera naukę o Panu Bogu w postawie klęczącej, z pochyloną głową i skrzyżowanemi na piersi rękami. To obraz Niemca Ittenbacha. — Drugi, więcej znany z niezliczonych reprodukcyj, wyszedł z pod pędzla Hiszpana Murilla. Przedstawia on św. Annę, poważną i miłą staruszkę, a obok niej młodziutką Marję, jej Córkę, zasłuchaną w słowa matki, która Jej wykłada Pismo św. z księgi, trzymanej na kolanach. Z wyrazu, jaki pobożny malarz nadał twarzy Marji znać, że dla Niej każde słowo matki jest skarbem bez ceny, że słuchać o Bogu to znaczy dla niej opływać w szczęście najwyższe. — Obrazy te naprowadzają nas na myśl, że podwaliny znajomości Boga założyło w młodocianej duszy Marji domowe wychowanie, którem kierowała bogobojna matka, św. Anna.

Według tradycji, Marja już w trzecim roku życia była oddana do świątyni jerozolimskiej. Najważniejszem Jej zajęciem w świątyni, obok posług Jej wiekowi właściwych, była nauka polegająca na rozmyślaniu i słuchaniu wyjaśnień Pisma św. Zdziwi się może niejeden, słysząc, że Marja dzieckiem będąc, zagłębiała się już w Piśmie św. Trzeba jednak pamiętać, że Marja w najwcześniejszej młodości posiadała wiedzę nadprzyrodzoną, czyli t. zw. wlaną, którą dał Jej P. Bóg bez Jej współudziału. Ta właśnie wiedza, bezpośrednio od Boga otrzymana, pozwalała Marji przenikać tajemnice wiary św. i rozumieć znaczenie najtrudniejszych miejsc Pisma św. Marja ciągle też współpracowała z tą wiedzą nadprzyrodzoną i nie żałowała trudu na jej rozszerzenie i pogłębienie. W Nazarecie wolne od pracy chwile, zwłaszcza dnie świąteczne, spędzała na czytaniu Pisma św., a potem gdy Jezus rozpoczął publiczne nauczanie, Najśw. Jego Matka była zapewne w liczbie najgorliwszych Jego słuchaczów. Słowem, nie było chwili w życiu Marji, kiedyby Ona nie mogła zastosować do siebie słów Psalmisty Pańskiego: »O, jakoż miłuję ja prawo twoje, Panie! po całych dniach jest ono rozmyślaniem mojem« (Ps 118, 97).

Słusznie zatem wołamy do Marji: Stolico Mądrości, módl się za nami!

II.

Ach, módl się za nami, Marjo, abyśmy coraz lepiej poznawali Boga, a lepiej Go znając, goręcej Go też miłowali!

Pewien uczony powiedział, że mała nauka od Boga odwodzi, ale wielka nauka do Niego prowadzi, i doświadczenie stwierdza prawdziwość tych słów. Dziś niedowiarstwo w zastraszający sposób szerzy się po świecie. Nie jedyną, ale jedną z najważniejszych tego przyczyn jest nasze wielkie nieuctwo pod względem religijnym. Już to trzeba przyjąć za pewnik, że dzisiejsi katolicy naogół za mało są oświeceni w rzeczach wiary i moralności. Raz po raz napotykamy osoby, skądinąd rozumne i dzielne, które nie znają najprostszych prawd wiary św., nie umieją codziennego pacierza, nawet znak krzyża św. czynią nieprawidłowo. Wymownym tego dowodem są chociażby egzamina przedślubne, na których się zdarza, że pan młody nie wie, co to jest łaska, nie umie wyliczyć siedmiu św. sakramentów lub trzech Osób Boskich. Czy znając obojętność teraźniejszego społeczeństwa na wszystko, co wychodzi poza zakres doczesnych potrzeb i celów, będziemy się temu dziwili? Gdzie są dziś rodzice, którzyby w wychowaniu dziecka przedewszystkiem brali pod uwagę sprawę religji? To już wiele, jeżeli nauczą je pacierza, trochę katechizmu, jeżeli mu coś niecoś powiedzą o obowiązkach chrześcijańskich. W szkole dla wielu przyczyn nauka religji również dużo pozostawia do życzenia... Dziecko rośnie, uczy się wielu rzeczy potrzebnych i mniej potrzebnych, ale o najpotrzebniejszej — o religji — ledwie coś zasłyszy. Gdy dojrzeje i stanie się człowiekiem dorosłym, uczęszcza na publiczne wykłady, wiece i pogadanki, tylko nie do kościoła, tylko nie na kazania. Te go nudzą, zabie-

rają mu wiele czasu drogiego, wydają mu się albo za proste, albo znowuż za wysokie, to za rozwlekłe, to znowuż zanadto treściwe, więc woli już zupełnie kazań nie słuchać. Czyta wiele i czyta dzieła najrozmaitsze; interesuje go polityka i kwestja społeczna, historja i matematyka, a najmilszemi wydają się niejednemu powieści i dzienniki; bo to, powiada, człowiek w naszych czasach wszystko musi wiedzieć i wszystko czytać. Pewnie, wszelako nie tylko w naszych czasach, ale zawsze, każdy bez wyjątku katolik winien przedewszystkiem dobrze znać swoją religję i wiele czytać dzieł poważnych z zakresu wiary i moralności; tu bowiem leży początek wszelkiej wiedzy, tu prawdziwa szkoła mądrości nie tylko doczesnej, ale i wiecznej zarazem.

Aż strach pomyśleć, jak my nieraz krzywdzimy i poniżamy religję. Człowiek roztropny i uczciwy zazwyczaj nie zabiera głosu w sprawie, której nie zna lub nie rozumie. Dla religji, i przedewszystkiem dla religji katolickiej, ludzie robią wyjątek. O niej mówi każdy — i heretyk, i żyd, i niedowiarek, i taki, co ledwie umie się przeżegnać — i jak nieraz mówi! Słuchając go, zdawać się może, że przeszedł wszystkie szkoły, przeczytał wszystkie księgi, przerósł największych mędrców!... A on tymczasem tylko cośniecoś o religji zasłyszał od takiegoż jak sam nieuka; coś przeczytał w plugawej gazetce czy broszurze, resztę mu dopowiedziała jego zarozumiałość — i oto macie przeciętnego katolika doby obecnej. Taki nieraz przemawia o religji na publicznych zebraniach, wygłasza odczyty, pisuje do

gazet; niejeden go słucha i podziwia; ale ja miałbym chęć powiedzieć mu: »Panie! zanim rozpoczniesz swą mowę lub swój artykuł, kup sobie katechizm, taki zwyczajny za kilka groszy katechizm dla dzieci, i zechciej go uważnie przeczytać. Musisz to zrobić chociażby przez samo tylko uszanowanie dla twojej religji, dla religji wielu miljonów«. Bo religja nasza chce być poznaną. Jest przecież »światłością świata« i dlatego boi się nadewszystko ciemności. Religja ma to do siebie, że jej nigdy nie zgłębi całkowicie największy nawet mędrzec, ale z drugiej strony — nawet najzwyczajniejszy prostaczek o tyle ją poznać może, że zaspokoi wrodzone swej szlachetnej duszy popędy i będzie czuł się spokojnym w posiadaniu wyższej, bo Bożej prawdy. O, bo to takie szczęście posiąść znajomość Boskiej nauki! Słusznie powiedział św. Augustyn, że większym jest mędrcem mała dziecina z gruntowną znajomością krótkiego katechizmu, niż nieznający prawd wiary uczony ze swemi wielotomowemi foljałami.

Więc poznawajmyż naszą religję; oświecajmyż się w rzeczach wiary i moralności! Lepiej znając Boga, będziemy Go lepiej miłowali. Przedewszystkiem rodzice mają ścisły obowiązek czuwać nad dobrem wychowaniem religijnem swych dzieci. Niech uczą dzieci sami, niech je posyłają do katolickich szkół, na katechizacje, niech pilnują, aby chodziły na kazania i nauki kościelne, aby czytały dobre i religijne książki. Własnym przykładem mają je do tego zachęcać. Niech pamiętają, że kiedyś będą musieli surowy zdać rachunek przed Bogiem, jak się

wywiązywali z tego, tak ważnego obowiązku. U stóp majowego ołtarza dziś jeszcze uczyńmy mocne postanowienie, że naprawimy to, cośmy zaniedbali, i wezwijmy Marję na pomoc, pozdrawiając Ją słowy litanji: Stolico Mądrości, módl się za nami! Amen.

NAUKA XI.

Miłość bliźniego.

»Ja — Matka pięknej miłości« *(Ekkli 24, 24).*

I.

Dotychczas rozważaliśmy obowiązki chrześcijańskie względem Pana Boga. Teraz przechodzimy do innego rodzaju obowiązków; mianowicie, w szeregu nauk następnych będziemy się zastanawiali nad obowiązkami względem bliźnich. Naczelne miejsce wśród nich zajmuje obowiązek miłości, sformułowany przez Chrystusa w słowach: »Będziesz miłował bliźniego twego, jak siebie samego« (Mt 22, 39). Ten obowiązek łącznie z przykazaniem miłości Boga stanowi podwaliny religji chrześcijańskiej i jest źródłem wszystkich innych obowiązków, jakie każdy z nas ma bądź względem pojedyńczych osób, bądź też względem całego społeczeństwa.

Kto gorąco, bez zastrzeżeń miłuje Pana Boga, ten nie może nie miłować bliźniego. Najświętsza Marja Panna celowała w miłości Bożej, a zatem i bliźniego miłowała jak nikt ze stworzeń i nigdy. Słusznie więc i z tego względu należy się Jej tytul Matki pięknej miłości.

Jej miłość ku bliźnim była naprawdę »piękną«, bo pochodziła z miłości Boga, a Bóg jest przecież źródłem najwyższego piękna. Marja miłuje bliźniego dlatego, że Bóg tego żąda i miłuje tak, jak Bóg żąda. Bóg zaś chce, aby miłość bliźniego była nadprzyrodzoną. I taką właśnie była miłość Marji. Marja miłuje bliźnich, to zn. wszystkich bez wyjątku ludzi dlatego, że noszą na sobie obraz i podobieństwo Boże, że są dziełem rąk Bożych, że za nich się przelewała Przenajdroższa Krew Zbawiciela, że przeznaczeniem ich jest wiekuiste szczęście w przybytkach Najwyższego. Tak miłować znaczy tyle, co miłować bliźniego w Bogu i dla Boga. Jest to pobudka najczystsza i najwznioślejsza, bo nie własny interes, ale jedynie chwałę Bożą i dobro bliźniego bierze się tu w rachubę. Tylko miłość, z tej płynąca pobudki, będzie miała w sobie wszystkie cechy wyliczone przez św. Pawła Ap. w liście I. do Kor. 13, 4—8. Apostoł powiada: »Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest; nie zajrzy, złości nie wyrządza, nie nadyma się; nie jest czci pragnąca; nie szuka swego; nie wzrusza się do gniewu; nie myśli złego; nie raduje się z niesprawiedliwości, ale się weseli z prawdy; wszystko znosi, wszystkiemu wierzy; wszystkiego się spodziewa, wszystko wytrwa, nigdy nie ginie«. Czyż nie taką była miłość Marji ku nam? Nie skończyłbym nigdy, gdybym zechciał wykazywać, jak te wszystkie cechy zdobiły miłość Marji ku nam. Powiem tylko, że Marja nie siebie szukała w miłości, ale Boga i prawdziwego dobra naszego, dlatego też jest cierpliwą i łaskawą, nie pamięta

o krzywdach Jej wyrządzonych, ale wszystko przebacza, współczuje z nami i o nas tylko myśli.

Dalej Bóg chce, aby miłość bliźniego była czynną. Czynną też była Marji miłość. Nie na słowach się zasadzała, ale ujawniała się w działaniu natychmiastowem a niezawodnem. Jedno słowo Archanioła, wskazujące na to, że św. Elżbiecie przydałaby się pomoc, i oto Najśw. Marja Panna niezwłocznie udaje się do niej, aby jej usługiwać. Własne obowiązki, wzgląd na własne zdrowie, trudne drogi, niebezpieczeństwa podróży — nic to! Obowiązek miłości przedewszystkiem! Na godach w Kanie zabrakło wina: Marja nie czeka, nim Ją poproszą o wstawiennictwo — i sama się wstawia do Chrystusa: bieda bliźniego do tego Ją zniewala. — Rodzaj ludzki jęczy w najstraszniejszej niedoli. Nic go nie pojedna z Bogiem, jeno Krew najmilszego Jej Syna. Ludzkość cierpi, potrzebuje ratunku — i Marja nie waha się ani chwili: oddaje Syna swego na okup za grzechy świata. Oddałaby i siebie, gdyby to było potrzebne; uczyniłaby więcej jeszcze: własnemi rękami przybiłaby Syna do krzyża (św. Anzelm). To już nie miłość — to rozrzutność miłości.. Marja w niebie w chwale i blasku, a na ziemi miljony istot ludzkich, takich nędznych, niewdzięcznych takich. Może wzgardzi niemi? Może o nich zapomni? Nie, bo prawdziwa miłość »wszystko wytrwa i nigdy nie ginie«. Nie ginie, nie przemija Marji miłość i w niebie. Marja czyni wszystko, abyśmy tu na ziemi wiedzieli i odczuwali, że Ona jest Uzdrowieniem chorych, Ucieczką grzesznych, Pocie-

szycielką strapionych, Wspomożycielką wiernych, że jest Matką naszą i Matką pięknej miłości.

II.

Aleśmy niegodni takiej Matki!

Jęczy ziemia pod brzemieniem nieprawości ludzkich; jęczy szczególnie kraj nasz, ta nasza wspólna matka-ojczyzna, rozdzierany niezgodą i nienawiścią swych synów. Zaledwo ucichły odgłosy wojny światowej, nowe wybuchły walki, mniej wprawdzie krwawe, ale stokroć smutniejsze, bo bratobójcze, bo w łonie wspólnej matki poczęte. Nienawiść je zrodziła, a nienawiść to przecież zaprzeczenie miłości, to triumf piekła, to śmierć. W nienawiści narodowościowej żyjemy, nią oddychamy, nią się rządzimy i w polityce, i w handlu, i w stosunkach zewnętrznych, i w życiu prywatnem. Usiłujemy ją wnieść do rodzin, do szkoły, a co najsmutniejsza — nawet i do kościoła. A szerząc nienawiść, dopomagamy tylko wrogom naszym w ich robocie na naszą niekorzyść i zgubę. Z wysokiego zaś nieba patrzy na nas Marja, co wspólną jest nam Matką, i boleścią zdjęta, wyznaje: Nie, to nie moje dzieci! I nie dzieci Tego, kto za wszystkich Krew przelewał, i wszystkich bratał, i wszystkich jednał!...

Spójrzmy z innego punktu na stosunki społeczne. — Wiek nasz nazywamy wiekiem równości. Modne hasła u wszystkich na języku, ale jak tam w sercu wygląda? Przecież hasło równości tak stare, jak chrystjanizm; z niego ono wzięło swój początek. Tylko że w chrystjanizmie ta równość jest nadprzy-

rodzoną, a więc wyższą i szlachetniejszą. Równiśmy, bośmy dziećmi jednego Ojca, który jest w niebiesiech. Takie pojęcie równości wiara nasza każe nam stosować do wszystkich bez wyjątku ludzi. A czy stosujemy? Gdzież tam! U nas na wszystko jest swój bardzo poziomy nieraz pogląd. Równość rozumiemy w ten sposób, że wszyscy bliźni równo nam muszą służyć i być użytecznymi. We własnem mniemaniu myśmy wyżsi od innych; stąd nadmierna pobłażliwość dla siebie, a nadmierne wymagania względem bliźniego. Bliźni o tyle nas obchodzi, o ile jest nam użyteczny, o ile nas wiąże z nim jakiś doczesny interes. Poza tem niewiele dbamy o niego, ani o jego dobro, chyba że siła zmusi nas do tego.

Zajrzyjmy do rodzin naszych; co widzimy? Oto związki małżeńskie coraz częściej kojarzą się jedynie z wyrachowania. Toteż nierzadko się zdarza, że mąż i żona to w gruncie dwie zupełnie obce sobie, a nieraz nawet wrogie istoty, które jakby przypadkiem wspólne noszą nazwisko. W stosunkach dzieci do rodziców coraz mniej miejsca dla prawdziwej miłości. Brat latami całemi procesuje się z bratem, siostra w ciągłej kłótni z siostrą; ba! nawet syn nieraz z pogardą odwraca się od ojca!

Wglądnijmy w głąb duszy własnej i zbadajmy, co jest główną sprężyną czynów naszych. Przekonamy się z łatwością, że w większości wypadków postępowaniem naszem kieruje wygórowana miłość własna, grzeszny egoizm. Jeżeli kogoś lub coś miłujemy, to najczęściej z pobudek przyrodzonych, nieraz bardzo poziomych i grzesznych. Jakże często zapominamy o najprostszej zasadzie: »Nie czyń bli-

źniemu tego, co tobie niemiło«. Szukając zawsze tylko siebie, my nieraz ciężkie wyrządzamy krzywdy bliźniemu, zniesławiamy go, czernimy, szkodzimy mu na majątku, a nieraz na zdrowiu. Jesteśmy nie uczynni, niewyrozumiali, nielitościwi dla bliźnich. Więc o czynnej miłości bliźniego dziś wśród nas prawie że i mowy być nie może. A najgorsza w tem wszystkiem to, że staliśmy się nieczuli na największe nawet krzywdy bliźniego i nie myślimy o ich naprawieniu. Cóż zatem dziwnego, że niepokój wzrasta, że dokoła nas wre niby w kotle? Pokoju, prawdziwego i trwałego pokoju pragniemy wszyscy; a czy pamiętamy, komu taki pokój jest obiecany? »Pokój ludziom dobrej woli«... Tylko dobra wola, tylko uczynność i ofiarność, słowem — tylko miłość ten pokój może nam zapewnić.

Więc umacniajmy się w miłości! »Po tem poznają wszyscy — rzekł Chrystus — żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu« (Jn 13, 35). Niechże ten ołtarz majowy stanie się dla nas szkołą miłości. Amen.

FRANCISCAN FATHERS
MISSION
HOUSE
ELLICOTT CITY, MD.

NAUKA XII.

Jałmużna.

»Błogosławiony, kto dba o biednego i potrzebującego: w dzień zły poratuje go Pan« *(Ps 40, 2)*.

I.

Miłość jest cnotą ogólną i ma wprost nieprzeliczone rozgałęzienia, sięgające do najróżnorodniejszych przejawów życia ludzkiego. Główniejsze z tych przejawów wymagają bardziej szczegółowego omówienia. Do nich przedewszystkiem należy jałmużna.

Miłość nasza winna być czynną. »Synaczkowie moi — tak mówi św. Jan — nie miłujmy słowem ani językiem, ale uczynkiem i prawdą« (I. Jn 3, 18). Wszystkie zaś uczynki, wypływające z miłości, a mające na celu wspomożenie bliźniego w biedzie bądź materjalnej, cielesnej, bądź też duchowej, czyli moralnej obejmujemy mianem jałmużny w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Tak pojęta jałmużna obowiązuje każdego bez wyjątku chrześcijanina, bo jeżeli nie każdy może przyjść bliźniemu na pomoc groszem lub usługą cielesną, zato każdy może znaleźć dla niego dobre sło-

wo, życzliwą radę. Ale dziś pomówmy tylko o jałmużnie materjalnej, mającej na względzie potrzeby cielesne bliźniego.

Myliłby się, ktoby sądził, że taka jałmużna jest pozostawiona naszemu uznaniu, dobrej woli. Bezwątpienia, nie należy się ona ściśle bliźniemu; wszelako Bóg żąda, abyśmy ją rozdawali według sił i możności. To nie dług, od którego można raz na zawsze się uwolnić; to raczej stała powinność, obowiązująca zawsze i do pewnego stopnia rozciągająca się na wszystko, co nam zbywa.

Pismo św. bardzo często przypomina nam ten obowiązek. Któż nie zna chociażby tego miejsca z ewangelji św. Mateusza rozdz. 25, w którem Zbawiciel ukazuje się nam jako Sędzia sprawiedliwy, wydający wyrok na miłosiernych i nielitościwych. Oddziela jednych od drugich. Źli po lewicy usłyszą straszny wyrok potępienia: »Precz ode mnie przeklęci w ogień wieczny. Albowiem łaknąłem, a nie daliście mi jeść; czułem pragnienie, a nie daliście mi pić i t. d. Zaprawdę powiadam wam, czegokolwiek nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, aniście mnie uczynili« (Mt 25, 45). Czyż wielki i sprawiedliwy Sędzia potępiłby człowieka za niespełnienie tego, co nie jest jego obowiązkiem, co pozostawiono mu dowoli?

Za obowiązkiem jałmużny obstaje też porządek społeczny. Skarżymy się, że źle jest na świecie. Na naszych oczach wciąż nieomal dosłownie powtarza się historja Bogacza i Łazarza z ewangelicznej przypowieści. Wiemy, że tak być nie powinno. Wprawdzie społecznych i majątkowych różnic całkiem usu-

nać, gdybyśmy nawet chcieli, nie zdołamy nigdy, bo są one z woli Bożej, a więc są potrzebne. Porządek społeczny domaga się jednak, aby te różnice zmniejszyć ile się da; i tego też chce Bóg. I to jest w naszej mocy. Każdy tu winien okazać dobrą wolę i uczynić wszystko co może, względnie do swego stanowiska i zamożności, aby biedy na świecie było coraz mniej. Nie wolno nikomu naśladować owego Bogacza ewangelicznego, co nawet okruszyn ze swojego stołu żałował Łazarzowi; postępujmy raczej jak ów Samarytanin miłosierny, który się ulitował nad zupełnie sobie obcym nędzarzem dlatego tylko, że był jego bliźnim, że potrzebował jego pomocy. Gdyby każdy z nas chciał spełnić należycie obowiązek dawania jałmużny, wówczas mniejby było na świecie niezadowolenia, nienawiści i narzekań, zmniejszyłyby się zbrodnie i występki, pochodzące najczęściej z nędzy i lepszyby zapanował ład na świecie, którego z takiem utęsknieniem wyglądamy wszyscy.

Jałmużna chrześcijańska ma ponadto ogromnie doniosłe znaczenie kształcące. Tępi w nas bowiem zbytnie przywiązanie do dóbr tego świata, odrywa od pieniędzy, wygód, wystawnego życia, a tem samem usposabia do praktykowania innych cnót chrześcijańskich. Obok tego uczy nas widzieć w bliźnim Chrystusa, w ostatnim nędzarzu dopatrywać się obrazu i podobieństwa Bożego, przez co w stosunki społeczne wprowadza prawdziwe pojęcie braterstwa i równości.

Jeżeli teraz myśl swą skierujemy ku Marji, przekonamy się niebawem, że i pod względem jałmużny jest dla nas pięknym wzorem. Niewiele znamy szcze-

gółów z Jej życia, ale te dwa przekazała nam ewangelja: Nawiedzenie św. Elżbiety w chorobie i wstawiennictwo do Chrystusa na godach w Kanie. To przecież najszczytniejsza jałmużna. — Nazywamy Marję Matką miłosierdzia. Ach, jakże słusznie! Jest bowiem Szafarką łask Boskich, to znaczy: Wielką Jałmużniczką w królestwie miłosierdzia, i hojnie rozdziela potrzebującym dary nieba, do których my — grzeszni synowie ziemi — nie mamy przecież żadnego prawa! Jakże więc chętnie powinniśmy sami wspierać bliźniego!

II.

Potrzebę udzielania jałmużny oraz jej doniosłość rozumie każdy; rozchodzi się raczej o sposób dawania.

Nie myśl, Bracie, żeś spełnił swój obowiązek, jeżeli dla miłego spokoju rzuciłeś ubogiemu, który ci się naprzykrzył, grosz — drugi. Nie myśl, że zrobiłeś wszystko, żeś do niczego więcej nie obowiązany, jeżeli dałeś roczną składkę lub coś ponadto na jaki dobroczynny zakład, do którego zarządu należysz, za co w dodatku otrzymałeś podziękowanie imienne w pismach. Tego wszystkiego za mało. Będzie to jałmużna bezduszna i niewiele ci pożytku przyniesie.

Jałmużna zarówno, jak każdy nasz czyn, któremu chcemy nadać wartość nadprzyrodzoną, winna pochodzić z miłości Boga, w niej zaś mieści się i miłość bliźniego. Miłość ma kierować ręką dającego. A miłość jest ofiarną i ofiary wymaga. Niechże zatem wszelkie wsparcie, jakiego bliźniemu udzielasz,

nosi na sobie cechę ofiarności. Wiele nędzy dokoła nas — jawnej, bijącej w oczy. Ale straszniejszą jest nędza ukryta, której nikt nie widzi, o której mało kto myśli. Nie każdy przecież nędzarz idzie pod kościół lub na ulicę. Niejednemu wstyd do biedy się przyznać, niejeden woli zginąć, niż rękę po jałmużnę wyciągnąć. Takiego odnaleźć i takiemu dopomóc, to prawdziwa, ale rzadka zasługa. Miłość każe ci szukać nędzarza, zaprowadzi cię do jego schroniska, zmusi do zbadania jego stanu i rzeczywistych potrzeb, wskaże ci sposób, jak najskuteczniej jego biedzie zaradzić. Bo prawdziwa miłość jest przemyślną i zawsze znajdzie jakąś radę i jakieś wyjście nawet tam, gdzie, zdawałoby się, żadnej już rady i żadnego wyjścia niema. Miłość cię nauczy, jak możesz dopomóc bliźniemu bez obrażenia jego godności osobistej, bez popierania w nim złych skłonności. Z tego względu najlepszą formą jałmużny jest dostarczanie pracy potrzebującym. Lepiej jest zapobiegać upadkom, niż z upadków podnosić, choć i to bywa nieraz konieczne. Dlatego obowiązkiem naszym jest popieranie zakładów, mających właśnie na celu dać odpowiednie zatrudnienie potrzebującym pracy, czy to dając zasiłek pieniężny, czy ułatwiając zbyt wypracowanym w tych zakładach produktom.

Nauki społeczne, oparte na doświadczeniu i rozumie, ustaliły pewne zasady, mające kierować jałmużną. O ile są w zgodzie z ewangelją, powinniśmy się do nich stosować; za ich pomocą da się najłatwiej zaradzić biedzie powszechnej. Ale, powtarzamy, najwyższą zasadą jest tu przykazanie Chry-

stusa: »Miłuj bliźniego, jak siebie samego«, oraz to, co wyrzekł św. Augustyn: »Miłuj, i czyń co chcesz«.

Dziś chrześcijańskie pojęcie jałmużny świat zastępuje modną filantropją, a miłość bliźniego przekształca w altruizm. Taki już duch czasu, że z największych nawet świętości radzibyśmy zedrzeć szatę chrystjanizmu, pozbawić je nadprzyrodznego uroku i wcisnąć w wąskie ramy doczesności. Jednym z najbardziej jaskrawych, a zarazem najpospolitszych objawów modnej filantropji jest tak zwana dobroczynność tańcząca. Grono osób, chcących dopomóc bliźnim, organizuje bale, wieczory taneczne, kinetyczne przedstawienia, teatry, bazary, loterje; publiczność, żądna zabawy, płaci; dochód idzie na biednych. Organizatorzy dbają tu jedynie o dochód, publiczność zaś o przyjemność, o rozrywkę — same poziome czynniki! A gdzie miłość? Przecież idąc na bal lub do kina, nikt ani pomyśli o tem, kto z jego pieniędzy ma skorzystać. Niema tu serca, niema duszy, niema ani cienia ofiary — a więc niema i zasługi i niema prawdziwego skutecznego wsparcia! A jednak społeczeństwo nasze tak dalece zatraciło ducha ofiarności i zapomniało o obowiązku chrześcijańskiej jałmużny, że tańcząca dobroczynność stała się prawie jedynym sposobem wyłudzenia kilku groszy od publiczności na korzyść porzebujących. Kto o tem wątpi, niech zaproponuje takiej pani, co wybiera się na bal dobroczynny, aby oddała biednym z ręki do ręki choć połowę tego, co na bal wyda, a zobaczy jej wielkie zdziwienie i oburzenie zarazem. Kogo więc i co mamy tu na względzie?

Bliźnich czy siebie, jałmużnę czy zabawę? Tylko siebie i swoją przyjemność.

Prawdziwy chrześcijanin umie wesprzeć bliźniego nie tańcząc, nie drwiąc sobie z jego nędzy. On nie pożałuje osobistej fatygi; ani się wzdrygnie nawet, gdy mu wypadnie wyświadczyć bliźniemu najniższą usługę. Bo on pamięta, że »błogosławiony, kto dba o biednego i potrzebującego: w dzień zły poratuje go Pan«. Ten dzień zły dla każdego z nas może kiedyś zaświtać — dzień nędzy, choroby, ucisku, poniżenia. Jeżeli włożyliśmy coś do skarbnicy kościoła — a są nią przecież ubodzy — w ten dzień będzie nam wypłacono z procentem i Pan litościwy wybawi nas z biedy. Amen.

NAUKA XIII.

Jałmużna moralna.

»Jeden drugiego brzemiona noście, a tak wypełnicie Zakon Chrystusowy« *(Gal. 6, 2).*

I.

O ile dusza człowieka wyższą jest od ciała, o tyle uczynki miłosierne względem duszy przewyższają jałmużnę materjalną. I jeżeli nikt nie zdoła zaprzeczyć, że wszelki czyn dobry, spełniony w Imię Boże na ciele bliźniego, jest miłym Bogu, to tem bardziej każdy przyznać musi, że uczynki miłosierne, odnoszące się bezpośrednio do duszy bliźniego, są wypełnieniem woli Bożej i najpiękniejszym kwiatem, wykwitłym na gruncie należytego zrozumienia nauki Chrystusowej.

Obok troski o szczęście własnej duszy każdy z nas chrześcijanin ma ścisły obowiązek dopomagać do tego szczęścia i swoim bliźnim. Braćmi przecież jesteśmy w Jezusie i Marji; wspólne u nas interesa i cel jednaki, więc i wspólne wszystkich winno być działanie: »Jeden drugiego brzemiona noście; a tak wypełnicie Zakon Chrystusowy«.

Z katechizmu wiemy, że uczynków miłosiernych względem duszy jest siedm: braterskie upomnienie, nauczanie, dobra rada, pocieszenie, cierpliwość w znoszeniu krzywd, darowanie uraz, wreszcie modlitwa za żywych i umarłych. Mówić o każdym z tych uczynków z osobna niesposób. Wszystkie one mają jednak wspólny sobie cel: dobro duszy bliźniego, oraz muszą wypływać z czystej pobudki, czyli intencji, a tą jest miłość. Kto tylko dobro bliźniego ma na względzie, ten zawsze znajdzie sposobność do ich spełnienia, a jeżeli przytem będzie się powodować szczerą miłością, obierze też i sposób właściwy.

My nieraz zaniedbujemy się w pełnieniu obowiązków miłosierdzia. Oto dowody. Widzimy, że bliźni nasz na niebezpiecznej stanął drodze, wdał się w złe towarzystwa, niebezpieczne ma znajomości, — przechodzimy jednak mimo, myśląc sobie: co to mnie obchodzi! Dobry chrześcijanin w tym wypadku nie machnie obojętnie ręką, ale upomni błądzącego. — Są i tacy, którzy wpadają w inną ostateczność, gorliwość swą posuwając do przesady. Tacy stają się poprostu szpiegami bliźniego, tropią grzechy, upatrują je tam, gdzie ich niema wcale. Inni znowuż upominają błądzących, ale w sposób niewłaściwy, — ze złością, w zbyt ostrych słowach lub wobec świadków, a przez to tylko rozgoryczają bliźniego, jeszcze go bardziej w złem utwierdzając. — Idźmy dalej: Oto dokoła nas pełno nieumiejętnych, nie znających nawet podstawowych prawd wiary św. Ty zaś uważasz siebie za oświeconego, masz poddostatkiem wolnego czasu. Dlaczego nie pójdziesz do tych maluczkich, tych zaniedbanych? Dlaczego nie powiesz im

nic o Bogu, o obowiązkach religijnych, dlaczego do ciemnych głów nie wniesiesz trochę światła, a do serc wystygłych odrobiny ciepła? — Tam znowu sierota, wdowa biedna nie wie, jak sobie poradzić w tym lub owym wypadku, nie wie, dokąd pójść po ratunek. Może tu chodzi o jej byt lub niebyt! Tyś doświadczony, znasz lepiej przepisy prawne, może sam w podobnym byłeś kłopocie. Dajże jej jałmużnę dobrej rady, życzliwego słowa! Ona ci wdzięczną będzie i Bóg zapłaci, bo »cześć i chwała w mowie roztropnego« (Ekkli 5, 15). — Dokoła nas smutku tyle. tyle... A czy cię wzrusza łza brata twego? Czy umiesz z nim popłakać serdecznie, czy masz dla niego jałmużnę pocieszenia? Nie mów: I jam niewesoły! Smutny smutnego najlepiej zrozumie. Zasmucony Anioł smutnego cieszył Chrystusa w Ogrojcu; zbolały Chrystus znalazł słowo pociechy dla płaczących niewiast na drodze krzyżowej! To prawda, że my dziś niewiele mamy powodów do wesela i radości, ale są smutniejsi od nas, są — desperaci. Umiejmy dodać im otuchy, wlać do duszy ożywczą strugę nadziei. Niełatwe to zadanie, ale miłość, co mocniejsza jest od śmierci, przezwycięża wszystkie trudności.

II.

Pomiędzy uczynkami miłosierdzia względem duszy są dwa, wymagające głębszego zastanowienia, a są niemi: cierpliwe znoszenie krzywd i chętne darowanie uraz. Należą one do najtrudniejszych obowiązków chrześcijańskich i dlatego najgorzej bywają spełniane.

Codziennie modlimy się: »Ojcze, odpuść nam nasze winy, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom«, i codziennie właściwie dopuszczamy się kłamstwa, i to najgorszego, bo kłamiemy samemu Bogu. Trzebaż dowodzić, że lubo dziewiętnaście wieków chrystjanizmu leży poza nami, duch w nas starozakonny wciąż żyje, duch pomsty, odpłacanie okiem za oko, zębem za ząb? Lada przykrość nam wyrządzona wywołuje pomstowanie i przekleństwo z naszej strony; lada słówko uszczypliwe, lada żart niewczesny — a wnet uraza, kwaśny humor i długotrwała niechęć do bliźniego. Jakże często nic nieznacząca błahostka zrywa najzażylsze przyjaźnie, waśni i kłóci na długie lata rodzonych braci! Słońce wschodzi i zachodzi nad głowami naszemi, a nienawiść nie ustępuje nam z serc: wciąż ją podsycamy przypominaniem doznanych krzywd, knuciem coraz to nowych planów zemsty. Dręczymy tem siebie samych, dajemy zły przykład otoczeniu, a co gorsza — czynem poniewieramy św. wiarę naszą, którą usty wyznajemy. Innowiercy lub niedowiarkowie patrzą na nas i myślą sobie: Nie, ta ich wiara nie jest dobra, skoro oni tacy źli! A tu przecież nie wiara winna; winniśmy my, bośmy zapomnieli o najważniejszem wiary przykazaniu: »Miłujcie nieprzyjaciół waszych, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą, i módlcie się za tych, którzy was prześladują i potwarzają« (Mt 5, 44). — Przykazanie powyższe dobrze należy zrozumieć. Chrystus chce, abyśmy miłością darzyli nieprzyjaciół nie dlatego oczywiście, że są złymi, że popełniają niesprawiedliwości, ale dlatego, że i oni są dziełem rąk Bożych, a naszymi

braćmi. Trzeba odróżniać zawsze osobę grzeszącego od grzechu. Grzechowi należy się potępienie, ale osobie miłość. Przykazanie to nie zabrania człowiekowi nawet sądownie dochodzić praw swoich, stanowczo jednak każe mu rugować z duszy żądzę zemsty.

My ciągle obrażamy Boga, a Bóg nam ciągle przebacza. Dlaczegoż sami nie mamy przebaczenia dla bliźniego? Przecież jego dług względem nas jest nieskończenie mniejszym; przecież on — brat nasz — nieskończenie więcej ma prawa do przebaczenia naszego, niż my, co nicością jesteśmy, do łaskawości Stwórcy. Dlaczegoż zresztą chcemy, aby nasz bliźni był dla nas pobłażliwym i wyrozumiałym?... Wkońcu i to jeszcze weźmy pod rozwagę: Gdy nas bliźni urazi, a my mu rychło przebaczymy, spostrzegamy prawie zawsze, że winowajca zaczyna się rumienić i doznaje wyrzutów sumienia. Żałuje tego, co uczynił i poprawia się. Lecz jeśli damy mu gwałtowną odprawę, poczniemy wymyślać i pomstować, wróg nasz tylko większej nabiera buty, staje się zuchwalszym i w złem się więcej utwierdza.

Jeżeli powyższe uwagi nie zdołały skruszyć serca, zakamieniałego w złości i nienawiści ku bliźniemu, spojrzmy na ołtarz majowy. Oto Ta, którejśmy wyrządzili największą, jaka tylko być może, krzywdę: zabiliśmy grzechami swojemi Jej najmilszego, jedynego Syna. Któż ma więcej powodów do gniewu i pomsty od matki, której syna wydarto? A czy Marja pomstuje? Może na Jej licach gniew błyska, a z oczu biją pioruny? Nie! Nieziemska słodycz na twarzy Jej, świetlany w oku promień! A dlaczego? Bo — przebaczyła...

I niedość tego, że przebaczyła — Marja nam jeszcze miłosierdzie świadczy i miłosierdzia uczy. Jakiem jest miłosierdzie Marji względem dusz naszych, wskazują chociażby tytuły, jakie Jej nadajemy. Nazywamy Ją Mistrzynią, czyli Nauczycielką, Matką Dobrej Rady, Pocieszycielką strapionych, Kotwicą tonących.

Idźmyż zatem do Jej szkoły i uczmy się tam w cierpliwości i miłości jeden drugiego ciężary nosić, a tak wypełnimy Zakon Chrystusowy. Amen.

NAUKA XIV.

Zgorszenie.

»Biada światu dla zgorszenia!« *(Mt 18, 7)*

I.

Miłość bliźniego odnośnie do jego duszy wkłada na nas jeszcze jeden bardzo ważny obowiązek: niedawania zgorszenia.

Zgorszeniem nazywamy złą mowę lub zły uczynek, który bliźniego do grzechu pociąga lub czyni gorszym (św. Tomasz). Zrozumiejmy lepiej to określenie na przykładach z codziennego życia. Gdy prowadzisz nieprzyzwoitą rozmowę, wymawiasz brzydkie słowa lub śpiewasz bezwstydną piosenkę, ten, kto cię słucha, czując, że w nim złe myśli się rodzą, rozpalają się namiętności, w jednej chwili stać się może gorszym, bo w duszy jego więcej gromadzi się zła. Tyś go zgorszył. Gdy szemrzesz na Boga w złej doli, wyrzekarz na swój los, niecierpliwisz się lub pomstujesz na bliźniego, łatwo możesz zgorszyć słuchających, bo zachęcasz ich do naśladowania ciebie, nowe zło do ich duszy wprowadzasz. Większe zło sieje dokoła ten, kto popełnia jaki zły uczynek wobec bliźniego, bo uczynek zazwyczaj działa silniej,

niż słowo. Dlatego nieprzyzwoity ubiór bardziej gorszy, niż brzydkie słowo; zemsta czynna a jawna większe daje zgorszenie, niż słowne pomstowanie. Zła książka, plugawy obraz więcej gorszy od najgorszej rozmowy, bo dłużej trwa i szerzej się rozchodzi. Mówiąc krótko, co z natury swej jest złem, czy to będzie słowo, czy uczynek, czy karygodne opuszczenie dobrego czynu, jeżeli jest jawnem, może stać się zgorszeniem, a przez to samo zwiększy się złość jego. Grzech jawny, dający zgorszenie, jest grzechem podwójnym. I nic tu nie pomoże zastrzeżenie: Nie chcę nikogo gorszyć, bo co jest złem samo w sobie, złem być nie przestanie i może innych zgorszyć zupełnie niezależnie od naszych zamiarów. Najstraszniejszem jednak jest zgorszenie, które pochodzi z wyraźnej do złego n a m o w y. Taki gorszyciel słusznie może być nazwany zabójcą duszy bliźniego.

Zgorszenie należy do największych występków, jest bowiem zamachem na życie moralne człowieka. I jeżeli ze zgrozą słuchamy opowiadania o zabójstwie cielesnem, czyż nie wzdrygniemy się na samą myśl o zgorszeniu, które jest zabójstwem lub kalectwem duszy, na obraz i podobieństwo Boże stworzonej? »Biada światu dla zgorszenia«, powiada Pan Jezus. Straszne »biada« zawisło nad gorszycielem, bo jest on wspólnikiem szatana i dopomaga mu w szerzeniu zła na świecie. Gdyby nie zgorszenia tak jawne, tak powszechne, nie byłoby tylu zbrodniarzy w społeczeństwach ludzkich. Zło jest zaraźliwe i wciska się do duszy, tak do złego skłonnej, wszelkiemi możliwemi szczelinami, przedewszystkiem przez oczy i uszy. W szczególniejszy sposób wystrzegać się ma-

my zgorszenia dzieci i prostaczków — tych, w kim serce czystsze i myśl bardziej niepokalana. Chrystus Pan przedstawia obrazowo ogrom winy tych, którzy jadem zgorszenia zatruwają młodociane dusze, mówi bowiem tak: »Ktoby zgorszył jedno z tych maluczkich, które wierzą we mnie, takiemuby należało zawiesić kamień młyński na szyi jego i zatopić go na pełnem morzu« (Mt 18, 6).

Ogrom winy pociąga też za sobą ogrom kary. Owo »biada!« to nie czcza pogróżka — to straszny wyrok potępienia, który gorszyciel poniesie ze sobą na tamten świat! Dusze zgorszone wołać będą o pomstę do Boga, i Bóg pomści, w straszliwy pomści sposób zabójstwo tego, co jedynie ma wartość w Jego oczach — zabójstwo cnoty i niewinności. »Krwi jego z ręki twej szukać będę« (Ezech 3, 20) — oto, co usłyszy gorszyciel na Sądzie Bożym, gdy stanie oko w oko z duszą uwiedzioną przez się do grzechu.

II.

»Biada światu dla zgorszenia...« Biada nam, bo wśród zgorszenia żyjemy, w zgorszeniu się poruszamy, zgorszeniem oddychamy. Cuchnącą falą płynie ono do nas zewsząd: i z przedstawień kinematograficznych, goniących za senzacją, rozbudzających najgorsze instynkta, i z brudnych śpiewów, któremi od rana do nocy rozbrzmiewają nasze ulice, i z wieców, szerzących plemienną lub kastową nienawiść, i z sal odczytowych, splugawionych bluźnierstwem, i z tych niezliczonych balów i balików, gdzie bezwstyd coraz powszechniejszym się staje. Biada nam, bo niejedna

rodzina katolicka zamiast być rozsadnikiem cnoty i dobrych obyczajów, przedzierzgnęła się w gniazdo zgorszenia dla maluczkich. Oto ojciec rodziny jest jawnym bezbożnikiem i swe przeciwne wierze poglądy wygłasza, nie krępując się obecnością dzieci ni służby. Najmniejszy objaw ich religijności spotyka się jeżeli nie ze stanowczą jego naganą, to jakże często, niestety, z drwiącym uśmiechem lub wyrazem politowania. Albo co powszechniejszego u nas nad te kłótnie małżeńskie, przeplatane ordynarnemi przezwiskami, wymyślaniami, wypominaniem dawno minionych wykroczeń? Dzieci słuchają tego, powoli tracą szacunek dla rodziców, naśladują ich postępowanie naprzód między sobą, a potem i w stosunku do starszych, wynoszą zły przykład z domu na miejsce zabawy albo i do szkoły — i oto gotów posiew zła! A potem rodzice się dziwią i utyskują, że dzieci stały się nieposłuszne, krnąbrne, że nie chcą im okazywać należnego uszanowania, że niezgodnie żyją ze sobą. Kto winien? Oczywiście sami rodzice, gdyż sami dali dzieciom zgorszenie, sami gorszymi ich uczynili.

Biada pracodawcom i gospodarzom, którzy korzystając ze swoich dostatków, wiodą życie próżniacze, zbytkowne, tak nieraz dalekie od ducha chrześcijańskiego. Służba i podwładni, mając nieustannie zły przykład przed oczyma, sami się rozleniwiają, zatracają powoli poczucie obowiązku, nabierają złych skłonności — stają się gorszymi z winy tych, którzyby ich musieli do dobrego zaprawiać.

Biada wichrzycielom, usiłującym szerzyć swe przewrotne zasady bądź drogą prywatnej rozmowy,

bądź zapomocą drukowanego słowa, bądź też na publicznych zebraniach. Biada i tym, którzy na bezbożne zebrania uczęszczają; tacy szukają zgorszenia i jednocześnie dają zgorszenie innym, pociągając ich własnym przykładem lub namową do wzięcia udziału w rzeczy złej.

Nie skończyłbym, gdybym chciał wyliczać wszystkie źródła zgorszenia w dzisiejszem społeczeństwie. Nie jest to zresztą potrzebne. Każdy bowiem sam bez trudu rozpozna, skąd zatruta strzała gorszyciela godzi w jego duszę. Ale rozpoznać mało. Trzeba przeciwdziałać! Zgorszeniu należy przeciwstawić dobry przykład, życie bez zarzutu. Nie wolno przytem zapominać, że im kto wyżej został wyniesiony, tem cnota jego większym powinna jaśnieć blaskiem. Dobry przykład tem więcej ludzi pociąga, im bardziej z góry idzie.

Piętnując bezwzględnie wszelki objaw zgorszenia czy to w życiu prywatnem, czy tem bardziej w życiu publicznem, zwracajmy się z prośbą o pomoc do Marji. Jej tak bardzo zależy na tem, by na świecie nieustannie szerzyło się królestwo dobra i cnoty. Wrogiem Jej przeto jest każdy gorszyciel, bo niszczy to, co Ona buduje. Tyleż to trudu musi położyć Marja, by jedną jedyną duszę przywieść do Boga! Tyle się modli za nią, tyle czuwa, tyloma przyozdabia ją łaskami! Przychodzi gorszyciel — i oto w jednej chwili Jej dzieło zrujnowane: nie jedną, ale nieraz dziesiątki dusz wydziera on Bogu, niweczy łaski, niszczy zasługi Jej Syna Jezusa, dopomaga nieprzejednanemu Jej wrogowi — szatanowi.

Marja — Poskromicielka węża piekielnego — od-

niesie nad szatanem ostateczne zwycięstwo; im gorliwiej będziemy z Nią współpracowali, tem rychlej to nastąpi, tem prędzej przyjdzie królestwo Boże, w którem tem większą osiągniemy chwałę na wieki. Amen.

NAUKA XV.

Obmowy i oszczerstwa.

»Ktoś ty jest, co sądzisz bliźniego?« *(Jk 4, 13).*

I.

Ma człowiek jeden skarb nad wszystkie skarby doczesne: dobre imię. Kto mu to odbiera, jest gorszym od złodzieja. A odbiera dobre imię bliźniemu każdy obmowca i oszczerca.

Św. Jakób Apostoł tak upomina wiernych: »Nie uwłaczajcie, bracia, jeden drugiemu. Kto uwłacza bratu, albo który sądzi brata swego, uwłacza zakonowi i sądzi zakon« (Jak 4, 11). Sądzić zakon — toż to rzecz straszna! To znaczy: powstawać przeciwko zakonowi, burzyć zakon, mieć zakon, a zarazem i Zakonodawcę Boga przeciwko sobie.

Obmowy, tj. rozgłaszanie prawdziwych, lecz nieznanych ogółowi wad bliźniego, i oszczerstwa, czyli złośliwe przypisywanie bliźniemu win, których on nigdy nie popełnił, należą do najcięższych wykroczeń przeciwko przykazaniu miłości. Pewien Ojciec Kościoła twierdzi, że obmawiający zabija jednocześnie trzy dusze: swoją własną, duszę obmówionego i duszę tego, kto obmowy słucha. I ów Ojciec Ko-

ścioła nie powiedział za wiele. Jakoż rzeczywiście: oszczerca zabija własną duszę, bo zwala na nią okropny ciężar grzechu, a co za tem idzie — i kary Bożej, tem okropniejszy, że pozbyć się go można jedynie przez naprawę krzywdy wyrządzonej bliźniemu, co wcale nie jest rzeczą łatwą. Ponadto ściąga na swą duszę brzemię złorzeczenia i klątw tych, kogo oczernił, oraz pogardę ludzi uczciwych. Zabija, dalej, moralnie tego, kogo oczernia. Zabiera mu bowiem sławę, dobrą opinję i szacunek u ludzi, a tych przecież dóbr za złoto nie kupić, za żadne skarby nie zdobyć! Nieraz z ich utratą i samo życie niewiele ma wartości. Toteż płyną łzy gorzkie, łzy serdeczne z oczu pokrzywdzonych, a w ślad za łzami płyną przekleństwa nieumiejących z chrześcijańską rezygnacją ciężkiego znosić krzyża. Oszczerca wreszcie zabija dusze tych, którzy oszczerstw słuchają. Wprawdzie mogliby nie słuchać, mogliby i powinniby byli zgromić oszczercę lub rozmowę na inne skierować tory; lecz nie każdemu stać na to męstwa, zresztą nie zawsze jest to możliwe; więc słuchają. A słuchając napawają swe dusze jadem i goryczą. Bo zdawało się im, że tej a tej osobie nic zarzucić nie można, że jeżeli kto, to właśnie ona jest uczciwą i szlachetną. Aż oto naraz złe o niej słyszą rzeczy; urok pryska, następuje bolesne rozczarowanie, niknie wiara w cnotę i dobro, następuje rozgoryczenie, nierzadko — zniechęcenie do życia i ludzi. Dzieje się więc i tej duszy krzywda niepowetowana. — Niemniej od jednostek cierpi z racji obmów i oszczerstw całe społeczeństwo. Najczęściej obmowom i potwarzom przypisać należy kłótnie i nienawiści, jakie

się rodzą wśród ludzi; powstawanie stronnictw i wrogich sobie obozów, rozdzierających i osłabiających społeczeństwo. Zdarza się też często, że z obawy przed oszczerstwami niejeden dzielny i użyteczny człowiek usuwa się jak najdalej od pracy społecznej i pędzi żywot w ukryciu; odpowiedzialne zaś stanowiska przypadają w udziale ludziom, niebojącym się szkalowania, a niebojącym się dlatego, że niewiele już im pozostało do stracenia.

Ze wszystkich rodzajów obmowy jeden w szczególniejszy sposób należy napiętnować, jako najzłośliwszy. Jest to rozmyślne obniżanie wartości czynów ludzkich przez to, że podsuwa się im złe pobudki lub zamiary. Oto przykład, taki codzienny: Ktoś znany jest ze swej pobożności i uczciwości, i przez to zasłużył na powszechny szacunek. Zaraz jednak znajdzie się taki, który wszem wobec i każdemu z osobna będzie wpajał przekonanie, że ta pobożność — udana, że ta uczciwość to tylko pozory dla zyskania pochwał i szacunku lub dla wybicia się na wyższe stanowisko. Kto inny spełnił czyn dobry i wyświadczył przysługę bliźniemu czy społeczeństwu i nic nie żąda w zamian; zdawałoby się, wszystko w porządku. Nie, napewno wkrótce znajdzie się ktoś, kto będzie robił brzydkie domysły, przypisywał jakieś ukryte intencje i umniejszał doniosłość spełnionego czynu. Bo, powiada, któżby tam chciał dziś robić coś bezinteresownie! Tego rodzaju obmowcom udało się dokazać tyle, że dziś nie bardzo wierzymy w bezinteresowność bliźniego i w szlachetnych czynach jego wietrzymy jeżeli nie podstęp, toć w każdym razie pewne wyrachowanie. Żeby się

o tem przekonać, dość wziąć do ręki pierwszy lepszy dziennik miejscowy, a zobaczymy ile tam nieraz złośliwości i czernienia; dość pójść na pierwsze lepsze zebranie, a będziemy świadkami, jak jedni drugich obrzucają błotem, jedni drugim przypisują najgorsze intencje.

II.

Snać niedość zastanawiamy się nad szkodliwością obmów i potwarzy, gdyż pomimo całą swą szkaradę nie przestają one być najpowszechniejszem w naszem społeczeństwie zjawiskiem. Obmowy i oszczerstwa — to istna plaga dni naszych. Pełno ich po wioskach i miastach; pełno po nędznych chałupach i po pałacach wykwintnych. Ludzie prości, nieokrzesani ciskają obmowy i oszczerstwa w sposób nieraz dziki i brutalny; ich języki — to niby drągi i topory, co odrazu zabijają lub mocno kaleczą. Ludzie zaś wykształceni umieją nadać swym oszczerstwom formy subtelniejsze, bardziej wykwintne; słowami ranią niby strzałą, kłują niby cieniuchną igiełką, ale cóż z tego, kiedy i ta strzała i ta igła śmiertelnym są jadem zatrute!

Na miłość Bożą, przestańmy obmawiać i czernić bliźniego! Oto środki zaradcze na tę okropną zarazę:

1) Zwalczajmy w sobie każdy, choćby najmniejszy objaw zazdrości. Zazdrość najczęściej bywa źródłem obmów i potwarzy. Widzimy, że bliźni powszechne zdobył uznanie, że chwalą jego dzielność, cnoty, zdolności. W duszy przyznajemy mu te zalety i w gruncie rzeczy nic przeciwko niemu nie

mamy. A jednak boli nas ta jego wyższość, więc — dawajże go poniżać! Zrazu mówimy spokojnie, niby zupełnie objektywnie, by nie poznano się na naszych intencjach; potem mowa nasza staje się coraz zjadliwszą, coraz gwałtowniejszą, aż nim nie zedrzemy zupełnie sławy z bliźniego. Co nam z tego przyjdzie? Nic! A bliźni cierpi, bardzo cierpi, cierpi dlatego tylko, że dokoła niego pełno miernoty, która nie umiejąc się wzbić wysoko, chciałaby każdego ściągnąć w bagno.

2) Unikajmy następnie próżniactwa i ściśle z nim złączonego gadulstwa. Oddawna wiadomo, że próżniak to najlepszy materjał na zbrodniarza. Nie chcąc zająć się pożyteczną pracą, któraby duszę jego podniosła ku wyższym celom, a myślom nadała szlachetniejszy kierunek, próżniak trawi czas na gadulstwie, którego ofiarą prawie zawsze staje się bliźni. Służąca, mająca zbyt wiele wolnego czasu, poszuka innej służącej, by z nie wspólnie nawymyślać swej gospodyni. Gospodynie zaś, gdy się zbiorą razem, całemi nieraz godzinami obmawiają służące i sąsiadki. Wiedzą o tem dobrze zarówno nasze kuchnie, jak i nasze salony, że bliźni cierpi wówczas najwięcej, kiedyśmy najmniej zajęci.

3) Nie zajmujmy się sprawami cudzemi. Co one nas mogą obchodzić? Natomiast głębiej zastanawiajmy się nad sobą i lepiej pilnujmy spraw własnych. Wejdźmy w siebie, zapytajmy: Ktośmy tacy, że sądzimy bliźniego? Niewiele to nas będzie kosztowało trudu odkryć w sobie samych całe morze wad i niedoskonałości, może takich, za jakie sądzimy bliźniego, może gorszych jeszcze. Przecież mówi do nas

Chrystus: »Obłudniku, wyrzuć najpierw belkę z oka własnego, a wtedy zobaczysz, jak wyrzucić drzazgę z oka brata twego« (Mt 7, 5). Samych siebie sądźmy, sami siebie udoskonalajmy. Choćbyś pracował nad sobą przez całe życie, choćbyś wszystkie siły zużył na wykorzenienie swych przywar, zawsze jeszcze w ostatniej przed śmiercią godzinie niejedno znajdziesz, coby należało naprawić. Niema zatem czasu na cudze sprawy! I to jeszcze miejmy w pamięci, że im człowiek sam jest lepszy, tem pobłażliwiej sądzi bliźniego, i odwrotnie: gdy słyszymy obmowy, plotki lub oszczerstwa, widzimy, że ten kto sądzi, sam jest niedobry.

4) Wreszcie prośmy o pomoc Marję. I pod tym względem będzie Ona najlepszą nam Przewodniczką i Mistrzynią. Pamiętajmy, że jest Matką Tego, który dopuścił na siebie najstraszniejsze potwarze. A więc, wie Ona, co to jest oszczerstwo! Niechże Marja przejmie nas wstrętem do tego grzechu, niech go wypleni z dusz naszych i z dusz naszych bliźnich, niech nas nauczy szczerej życzliwości dla naszych współbraci, a wówczas lepsze dla nas zaświtają zorze. Amen.

NAUKA XVI.

Obowiązek uległości prawowitej władzy.

»Wszelka dusza niechaj będzie poddana wyższym zwierzchnościom« *(Rzym 13, 1).*

I.

Każdy człowiek ma pewne obowiązki nie tylko względem innych ludzi, ale też i względem całego społeczeństwa, do którego jako członek należy. Bóg zaś dwa ustanowił społeczeństwa; jedno łączy nas wspólnym węzłem dla osiągnięcia celów wyższych, nadprzyrodzonych, i tem jest Kościół, drugie zaś zmierza do celów doczesnych, ziemskich, i nazywa się państwem. Na czele każdej społeczności stoi władza, która ustanawiając prawa i pilnując, aby były przestrzegane, prowadzi ludzi do osiągnięcia odnośnych celów.

Mamy wyraźny nakaz Boży: »Wszelka dusza niechaj będzie poddana wyższym zwierzchnościom. Albowiem niemasz zwierzchności, jedno od Boga. Przeto kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu. A którzy się sprzeciwiają, ci potępienie sobie nabywają« (Rzym 13, 1—2).

Niema zatem żadnej wątpliwości: każdy z nas w sumieniu obowiązany jest do uległości prawowitej władzy.

Rozpatrzmy naprzód, w czem ma się wyrażać nasza uległość względem władzy kościelnej.

Kościół jest nam Matką duchową; rodzi nas bowiem dla Chrystusa i nieba przez chrzest św., karmi nas łaską Boską, wychowuje nauką Chrystusową i zaspakaja wszystkie potrzeby duszy naszej. A więc jako matce winniśmy Kościołowi przedewszystkiem miłość i przywiązanie. Losy Kościoła winny nas żywo obchodzić. Jego powodzenie i rozwój winny nam sprawiać radość; cierpienia zaś i prześladowania napawać smutkiem i pobudzać do obrony. Nie wolno nam łączyć się z wrogami Kościoła i ułatwiać im niecną robotę, nie wolno należeć do żadnej partji, która w swym programie zawiera punkta, Kościołowi wrogie. Nie wolno powstawać przeciwko władzy kościelnej, obrzucać błotem sług ołtarza; nie wolno wyszydzać przepisów i zwyczajów kościelnych.

Winniśmy, dalej, władzy kościelnej posłuszeństwo. Istnieją, jak wiemy, przykazania kościelne; musimy je spełniać dokładnie, spełniać nie tylko z obawy kary, bo to pobudka mniej szlachetna, ile z miłości i poczucia obowiązku. Istnieją oprócz przykazań ogólnych przepisy i rozporządzenia władzy kościelnej, obowiązujące pewne prowincje lub diecezje. I te musimy spełniać chętnie i dokładnie w tem przekonaniu, że zmierzają one ku większemu pożytkowi dusz naszych i całego społeczeństwa.

Obowiązek uległości wymaga od nas wreszcie

czynnej i rychłej pomocy. Pomoc ta ma się wyrażać w ofiarach pieniężnych, które tak są potrzebne Kościołowi w naszych zwłaszcza czasach, kiedy to Kościół z jednej strony prowadzi bardzo rozgałęzioną działalność w społeczeństwie, wymagającą wielkich wydatków, a z drugiej niema prawie żadnych innych źródeł dochodu, oprócz ofiarności swych dzieci. Pomoc też niesiemy Kościołowi, gdy przyczyniamy się do rozwoju jego instytucyj i zakładów; gdy bierzemy w obronę sługi Kościoła; gdy wreszcie modlimy się za Kościół i duchowieństwo.

Tak być powinno, ale u nas bywa inaczej. Nasze miejscowe dzienniki, uchodzące za katolickie, zamiast nawoływać do uległości władzy kościelnej, nieraz tę władzę szkalują i podburzają przeciwko niej lud łatwowierny. Miast składać Kościołowi dowody synowskiej miłości i przywiązania, katolicy nieraz powstają przeciwko niemu, piszą i czytają książki, uwłaczające powadze Kościoła, zawierające niesłuszne napaście na zakony i duchowieństwo, lub biorą udział w zebraniach antyreligijnych lub popierają projekta praw, Kościołowi szkodliwych. A jakie jest posłuszeństwo przykazaniom kościelnym widać z tego, że nie zachowujemy postów i niewiele sobie robimy z przepisów kościelnych o spowiedzi rocznej, zabawach w czasie zakazanym, słuchaniu mszy św. i t. d.

II.

Poznaliśmy w głównych zarysach obowiązki nasze względem Kościoła i władzy duchownej. Poznaj-

myż teraz, cośmy winni społeczeństwu i władzom świeckim.

Najpierw, nie wolno nam nic robić, co społeczeństwu szkodę wyrządza. A więc grzeszą ci, którzy trudnią się tak dziś rozpowszechnionem paskarstwem czyli spekulacją. W nieuczciwy sposób wzbogacając się sami zubożają społeczeństwo, bo podnoszą nadmiernie ceny na żywność i inne potrzebne produkta, a obniżają kurs pieniądza. Grzeszą ci, którzy się trudnią potajemnym wyszynkiem wódki, gdyż szerzą pijaństwo i marnują dary Boże, o które tak trudno biednemu człowiekowi, na szkodliwe napoje, i obniżają poziom moralny w społeczeństwie. Grzeszą ci, którzy uprawiają gry hazardowne i dają na nie lokale. Grzeszą ci, którzy żyją nad stan, marnotrawią grosz, majątki swe w obce oddają ręce, bo to wszystko zuboża i szkodzi społeczeństwu. Większy jeszcze grzech biorą na sumienie burzyciele prawnego porządku i ci wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób usiłują zatamować rozwój życia i dobrobytu w społeczeństwie; którzy nawołują do gwałtów, nieuprawnionych strejków, przewrotów społecznych, walki klasowej lub narodowościowej i t. d.

Natomiast mamy ścisły obowiązek dopomagać społeczeństwu do osiągnięcia jego celów. Dlatego najpierwszą powinnością każdego obywatela, czyli członka społeczeństwa jest posłuszeństwo prawom, przez władze wydanym. Tego wymaga sprawiedliwość, honor, a co najważniejsza Bóg, który swą wolę objawia nam pośrednio drogą słusznych praw, obowiązujących w danem społeczeństwie. Tylko prawom niesprawiedliwym wolno się opierać; powie-

dziano bowiem w Księgach św., że »należy więcej słuchać Boga, niż ludzi« (Dz Ap 5, 29). Zanim ludzie prawo wydali, w sercu każdego wypisane już było Prawo Boże. Jeżeli więc prawo ludzkie staje z prawem Bożem w sprzeczności, jest niesprawiedliwe i jako takie nie może obowiązywać. Ale i tu pamiętajmy, że nawet dla obalenia praw niesprawiedliwych w rzadkich tylko wypadkach wolno poddanym używać siły zbrojnej lub dopuszczać się gwałtów. Zazwyczaj dozwolony jest jedynie opór bierny, wiodący do ulepszenia praw drogą uczciwą i legalną.

Dalej, każdy dobry obywatel winien okazywać szacunek dla władz. Wszelka władza od Boga pochodzi, a więc też i cząstkę Boskiej dziedziczy godności. A gdzie godność, tam i szacunek. Dlatego powstrzymujmy się od nadmiernej krytyki, jałowych napaści na władze i zawsze umiejmy odróżnić osobę od stanowiska, które zajmuje.

Mamy następnie obowiązek uczestniczenia w ciężarach państwowych, i dlatego powinniśmy sumiennie wypłacać prawne podatki. Idą one przecież na pokrycie licznych wydatków, bez których państwo nie mogłoby istnieć, albo przynajmniej pomyślnie się rozwijać.

Wreszcie winniśmy brać udział w głosowaniach i wyborach na stanowiska społeczne lub państwowe. Dziś od głosowania zależy bardzo wiele. Ktoby się od niego usuwał, tenby odmawiał narodowi swego współudziału w pracy i trosce o powszechne dobro, tenby się przyczyniał do zwycięstwa partji szkodliwej Kościołowi i społeczeństwu. Wszelkie oszukań-

stwa, przekupienia, pogróżki i t. p. przy głosowaniach należy napiętnować jako wielkie zło społeczne. Żaden dobry katolik tych win na swe sumienie brać nie będzie.

W życiu Najśw. Marji Panny mamy jeden szczegół bardzo ważny ze względu na omawiany przedmiot. Mam na myśli spis ludności, zarządzony przez władze cywilne przed samem Narodzeniem Chrystusa. Marja, acz tylko z wielkiemi trudnościami mogła to uczynić, pospieszyła jednak wraz ze św. Józefem do miasta rodzinnego Betleem, dokąd Ją władza wzywała, i gdzie się Chrystus miał narodzić. O uległości Marji władzom duchownym najlepiej świadczy Jej Oczyszczenie, Ofiarowanie Chrystusa w świątyni, odwiedzanie świątyni w czasie przez prawo określonym — czynności, które Marji właściwie nie obowiązywały, które jednak spełniała chętnie, z poczucia obowiązku i dlatego, by dać nam dobry przykład.

Dziś wielu mamy krytyków i reformatorów powołanych i niepowołanych, wiele hałasu i wymyślań, ale brak nam zato czynu i wytrwałości, brak ludzi dobrze rozumiejących swe obowiązki społeczne i szanujących władzę. I dlatego dzisiejsze społeczeństwa chwieją się w posadach i grożą ruiną. Zrozumiejmyż, że dobrobyt nasz w naszych rękach. Nie oglądajmy się gdzieś poza siebie, nie wyczekujmy pomocy obcej — to nas poniża i osłabia; ale sami zabierzmy się do pracy uczciwej, rozumnej i ofiarnej. Zacznijmy od bezwzględnej uległości Kościołowi,

bo tylko Kościół zapewnia trwały byt społeczeństwom świeckim. Dobry katolik to najlepszy obywatel kraju. Tylko szanując władzę i z władzą współdziałając zdołamy osiągnąć nasz cel i doczesny i wieczny. Amen.

NAUKA XVII.

Obowiązki pracodawców i przełożonych.

»A jeśli kto o swych, a najwięcej o domowych pieczy nie ma, zaprzał się wiary i jest gorszy niźli niewierny« *(I. Tym 5, 8).*

I.

Stosunki społeczne domagają się gwałtownie naprawy. Zrozumieli to już wszyscy, i wielcy i mali. A zrozumiawszy, poczęli się krzątać: zakładają się przeróżne zrzeszenia, biura, kasy; organizują się dobroczynne komitety, bale, wiece; odbywają się narady. Zrobiono już niemało, ale daleko więcej pozostaje do zrobienia. Ludzi, zajętych pracą społeczną, wciąż przybywa. Znaczna ich część jednak chodzi jakby w ciemnościach poomacku; brakuje im pewnego pod nogami gruntu. Najlepsze, jedyne lekarstwo na niedomagania społeczne tuż-tuż koło nas; trzeba tylko oczy szerzej otworzyć i ręką sięgnąć. Lekarstwem tem — nauka Chrystusowa. Dopóki kwitła, lepiej było na świecie; gdy poszła w zaniedbanie — wszystko się popsuło. Naprawa stosunków społecznych możliwa jest jedynie na gruncie chry-

stjanizmu. Czasby już to zrozumieć. Zburzyć zdołamy bez Boga niejedno, zbudować zaś — nigdy!« Jeśli Pan nie zbuduje domu, napróżno się trudzą, którzy go budują« (Ps 126, 1).

Bóg tak zbudował społeczeństwa ludzkie, że zawsze w nich byli i zawsze będą przełożeni i podwładni, pracodawcy i pracobiorcy. Żadna siła ludzka nie przeinaczy tego i ludzi całkowicie nie zrówna nigdy. Bóg jednak chce, aby te nierówności nie były zbyt rażące, i dlatego musimy ile się da pracować nad ich złagodzeniem. Praca nasza wówczas tylko będzie skuteczną, jeżeli budowanie społeczne oprzemy na dwóch niewzruszonych filarach: sprawiedliwości i miłości.

Przełożeni, którzy o tem nie pamiętają, sprzeniewierzają się swemu zadaniu, wielką krzywdę wyrządzają podwładnym i psują stosunki społeczne. Do nich to odzywa się w ostrych słowach św. Paweł Apostoł: »A jeśli kto o swych, a najwięcej o domowych pieczy nie ma, zaprzał się wiary i jest gorszy, niźli niewierny«. Apostoł Narodów upomina tu przedewszystkiem gospodarzy i pracodawców, aby mieli należytą pieczę o swej służbie, która wchodzi w grono ich domowników. Piecza zaś ta rozciągać się ma zarówno do ciała, jak i do duszy podwładnych.

Dziwna rzecz! Zdarza się spotykać ludzi, oddanych całą duszą pracy społecznej, czyli t. zw. filantropji, a jednocześnie nic a nic nie dbających o własną służbę. Tacy panowie czy panie zapracowują się na posiedzeniach, urządzają po domach lub ulicach kwesty na korzyść biednych, niezmiernie czule umieją mówić o niedoli i krzywdach bliźniego. Ale

dla własnej służby nie mają odrobiny serca. Wracają, dajmy na to, z dobroczynnej kwesty do domu, i już na progu zaczynają wymyślać służbie; kupują chętnie bilety na dobroczynne bale lub loterje, bo, powiadają, trzeba ulżyć losowi biedaków, ale nie myślą wcale o tem, że ich własna służba biedniejsza może od owych biedaków, gdyż przy ciężkiej pracy wikt ma lichy i śmiesznie małą zapłatę. Kto inny gardłuje za zmniejszeniem godzin pracy po fabrykach, warsztatach lub sklepach, i ani mu do głowy nie przyjdzie, że jego własny służący lub służąca jest zbytnio pracą przeciążona i nie ma czasu ani na wypoczynek, ani na modlitwę.

Takich dziwolągów społecznych możnaby więcej naliczyć. Świadczą one, że daleko odbiegliśmy od chrześcijańskiego pojmowania swoich obowiązków, że i w pracy społecznej, jak we wszystkiem, lubimy pływać wygodnie po wierzchu, nie zgłębiając istoty rzeczy, że i sama ta praca pochodzi najczęściej z chęci otrzymania poklasku i rozgłosu.

Zaczynać trzeba zawsze od siebie. Jeśli coś poprawiać, reformować, to naprzód we własnym domu. »A jeśli kto o swych, a najwięcej o domowych pieczy niema, zaprzał się wiary i jest gorszy, niźli niewierny«. A zatem, niech służba nasza ma wystarczające utrzymanie, dostateczną zapłatę, niech ma czas na wytchnienie. Nie przeciążajmy jej pracą, nie żądajmy jej usług tam, gdzie możemy z łatwością sami sobie poradzić. Zdarza się przecież często, że aby wziąć potrzebny nam przedmiot, wystarczy wstać i zrobić parę kroków w pokoju; my jednak dzwonimy lub wołamy na służącą: podaj to, przy-

nieś owo! Mamy jakiś sprawunek w mieście, moglibyśmy go i sami załatwić; wolimy jednak posyłać służącego, choć za chwilę sami idziemy w tę stronę. Są to drobnostki, ale z drobnostek składa się życie. Usuwajmy codziennie choć jedną złą drobnostkę z życia, a zobaczymy wkrótce, że stanie się ono i lepszem i szlachetniejszem.

II.

Umiejmy, dalej, uszanować w podwładnym choćby najnędzniejszym jego osobistą godność, godność człowieka. Mówimy dziś wiele o równości; pamiętajmyż, że wobec Boga i prawa wielmożny pan równy żebrakowi, a równy dlatego, że tak jeden, jak drugi jest człowiekiem i ma w swej duszy wyryty obraz i podobieństwo Boże. Nie wolno zatem przełożonym i gospodarzom, choćby nie wiem jak wysoko stali na drabinie społecznej, poniewierać podwładnych, obchodzić się z nimi szorstko i wyniośle. Jeżeli uprzejmość obowiązuje względem zupełnie nam obcych, czyż nie daleko więcej względem tych, z kim wspólnie żyjemy i pracujemy, z czyich korzystamy usług? Zazwyczaj mniej boli krzywda materjalna, niż obelga lub uszczypliwość; wyniosłe traktowanie, brak serca gorzej usposabia podwładnych do przełożonych i prędzej może sprowadzić wybuch, niż ucisk cielesny. Zapominają o tem nasi gospodarze, a zwłaszcza gospodynie, gdy od rana do nocy beształą służącą. To za wiele je i sypia, a za mało robi, to jest niezgrabną, to zanadto pobożną. Co może być wstrętniejszego od podobnego zrzędzenia? Ileż to

trzeba cierpliwości, ile czuwania nad sobą, ile walki wewnętrznej, aby znosić te ciągłe upokorzenia! Toteż dziś do rzadkości należy taki służący, któryby na jednem miejscu mógł się utrzymać lat kilkanaście czy choćby kilka; najczęściej po paru miesiącach szuka innego gospodarza, a właściwie innego serca, któreby umiało obdarzyć go odrobiną ciepła i uszanować w nim jego ludzką godność. Dawniej było inaczej. Wiemy przecież, że po starych dworach służba się trzymała najczęściej do końca życia; ojciec przekazywał służbę synowi, a syn wnukom. Działo się to dlatego, że gospodarz zupełnie inaczej traktował służbę, darzył ją życzliwością i przyjaźnią. Dziś niejeden mówi: Ja płacę, to dość! Nie, nie dość, bo za pieniądze serca nie kupisz, a stosunek twój do służby o ile ma być chrześcijańskim musi się oprzeć na sercu i życzliwości. Gdzie tego niema, tam łatwo może nastąpić rozgoryczenie i wybuch. Przecież żyjemy na wulkanie...

Niewiele jednak pomogą wszystkie nasze usiłowania i zabiegi, i naprawa stosunków społecznych będzie nietrwałą, jeżeli zaniedbamy rzecz najważniejszą: jeżeli nie otoczymy służby i podwładnych opieką moralną i spuścimy z oczu duszne ich potrzeby. Ach, jakże ciężko wykracza przeciwko najprostszym pojęciom sprawiedliwości i miłości ten, kto mając pieczę o ciele podwładnego, nie myśli albo wręcz przeszkadza mu w zaspokojeniu potrzeb duszy! »Daję dobre utrzymanie, nie przeciążam pracą, płacę dobrze, ale płacę i za niedziele i za święta — więc jestem w porządku, żądając pracy w niedzielę

i nie pozwalając służącej iść do kościoła«, tak może sądzi niejeden. Czy słuszne takie rozumowanie? Nie, bo myśleć o naprawie stosunków społecznych z wyraźnem pominięciem duszy człowieka, to znaczy — budować na piasku. Naprzód załóżmy mocne podwaliny, a to uczyni tylko religja, a wówczas prowadźmy dalszą robotę! Dajmy zatem możność służbie wypełnić ciążące na niej obowiązki religijne, pozwólmy jej bywać na mszy św., w czas się pomodlić, odbyć spowiedź św. Niech nas Bóg uchowa od niewłaściwych żartów ze szczerej ludzkiej pobożności, od bolesnych docinków. Sami dawajmy służbie dobry przykład uczęszczaniem na nabożeństwa kościelne i życiem chrześcijańskiem; dbajmy o to, aby służba nasza była uczciwa i bogobojna — wówczas niestraszną będzie robota wywrotowców, którzy przecież budują swe plany głównie na bezbożności, i wówczas i my niemało się przyczynimy do naprawy stosunków społecznych.

Ale — zapyta kto — co to wszystko ma wspólnego z majowem nabożeństwem? Owszem, ma i bardzo wiele ma. Majowe nabożeństwo odprawiamy na cześć Tej, którą zowiemy Zwierciadłem Sprawiedliwości i Matką pięknej miłości. Niepodobna lepiej uczcić Marji, jak właśnie szerząc dokoła siebie sprawiedliwość i miłość. Słuszna więc rzecz, abyśmy w miesiącu Marji poznali dokładniej te nasze naczelne względem bliźniego obowiązki.

Marja też jest Matką Tego, Który przyszedł na świat nie poto, aby Mu służono, lecz aby sam służył. Nie bądźmyż więc zbyt wymagającymi względem

bliźnich, których Bóg postawił w zależności od nas, miejmy o nich pieczę, zwłaszcza o domownikach swoich, bo »jeśli kto o swych, a najwięcej o domowych pieczy nie ma, zaprzał się wiary i jest gorszy niźli niewierny«. Amen.

NAUKA XVIII.

Obowiązki sług i podwładnych.

»Słudzy, bądźcie poddani panom we wszystkiej bojaźni, nie tylko dobrym i skromnym, ale też i przykrym *(I. Piotr 2, 18)*.

I.

Tylko wówczas będzie spokojniej i lepiej na świecie, gdy wszyscy bez wyjątku wiernie spełniać będziemy swe obowiązki. Żaden, choćby najlepszy program, nic nie pomoże, jeżeli tylko o sobie myśleć będziemy i zaniedbamy swe powinności względem ogółu i poszczególnych bliźnich. Bóg jednych wynosi bardzo wysoko, zato drugim przeznacza co najniższe stopnie na drabinie społecznej. I niech cały świat wszystkie swe siły wytęży na pracę nad całkowitem zrównaniem wszystkich ludzi, zawsze pozostanie owa drabina w społeczeństwie, zawsze będą wyżsi i niżsi, pierwsi i ostatni. Stworzenie nie poprawi dzieła Stwórcy — może je tylko popsuć.

A więc słudzy i podwładni są i będą na świecie! Los ich nierzadko ciężkim bywa, tak ciężkim, że aż do buntu się porywają, że aż niekiedy trzęsą gmachem społecznym i rozwalają w gruzy to, co

wznosiło się wiekami. Dwie tego są przyczyny: jedna tkwi w panach i przełożonych; druga w nich samych — w tej szarej masie sług i podwładnych, zniecierpliwionej wyzyskiem, żądnej odwetu, podjudzanej i bałamuconej. I jedni i drudzy ten zazwyczaj popełniają błąd, że pamiętają tylko o własnych prawach, a nic nie chcą wiedzieć o swych obowiązkach.

Wczoraj mówiliśmy o obowiązkach przełożonych; dziś więc z kolei rzeczy pokrótce przyjrzeć się należy obowiązkom sług i podwładnych. Poznamy je najlepiej w Zwierciadle Sprawiedliwości — Marji. Jeżeli kto, to przedewszystkiem słudzy i wydziedziczeni do Marji spieszyć mają; Ona bowiem jako Matka Tego, kto przyjął na się postać sługi, aby służyć wszystkim bez wyjątku ludziom, w szczególniejszy sposób jest im oddana i obowiązki ich sama najwierniej spełniała.

A naprzód Marja godzi sługi z ich twardą dolą. Zważmy tylko czem Marja mogła być, a czem była. Z królewskiego pochodziła rodu; wielki Dawid, chluba i ozdoba swego narodu, był Jej przodkiem; więc godziło się Marji w królewskim mieszkać pałacu, w królewskie stroić się szaty, królewskim otaczać się orszakiem. A jaką była? Mieszkała w Nazarecie, zapadłej galilejskiej wioszczynie, w ubogim domku; utrzymywała się z ciężkiej pracy własnej i pracy świętego Józefa. Jednak szczęście stale mieszkało w ich domku, bo oboje umieli poddać się woli Bożej. Marja Matką Boga zostaje, Bożego Posłańca wita w swych progach, sama wyznaje swą wielkość niesłychaną; — jużby Jej w niebie przy-

stało miejsce, a Ona tymczasem po ziemskim tułać się musi padole, w stajence lichej szukać schronienia, do Egiptu w trwodze uchodzić. Niebiosa opowiadają sobie chwałę Marji, aniołowie poznają w Niej swoją Królową — a Ona pędzi żywot ukryty, daleki od świata, i ledwo cośniecoś wiedzą o Niej ludzie w Jej rodzinnym Nazarecie. Potem za Synem na Kalwarję idzie, ale poto tylko, by być popychaną, wyszydzaną, by cierpieć i boleć, by ofiarą swą służyć wszystkim ludziom, szczególniej — najnędzniejszym z ludzi, grzesznikom. Królową jest nieba i ziemi, a chce być sługą sług, i przez to właśnie wielką się staje, bo prawdziwa wielkość — w pełnieniu woli Boga, któremu służyć — jest królować.

Wejrzyjcież zatem, wy wszyscy, którym wola Boża ciężką wyznaczyła dolę, wy zwłaszcza słudzy i służebnice, na tę Służebnicę Pańską i nauczcie się od Niej tej trudnej sztuki: z przeznaczeniem swojem pogodzić się chętnie, przeciwko losowi nie powstawać, na Boga nie narzekać. Tak trzeba, tak chce Bóg, a więc tak być musi! Żadne narzekanie nic tu nie zmieni. Nierówno Stwórca podzielił dary doczesne pomiędzy stworzenia, ale komu więcej dał, od tego też i zażąda więcej. Stało się do was słowo Boże, byście sługami innych byli; nie szemrajcież, buntu nie podnoście, ale zawołajcie z Marją: Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego! Stan wasz taki dobry, jak każdy inny i niema w nim nic hańbiącego, nic upokarzającego. Ulepszajcie los wasz, jak możecie; zdobywajcie sobie jak najszersze prawa i ulgi, — to wam wolno, byle drogą uczciwą, byle z Bogiem i Kościołem. Ale nie idźcie

naślepo za fałszywymi prorokami, którzy przychodzą do was w skórze owczej, ze słodkiemi na ustach słowy, ale w duszy są wilcy drapieżni! Miejcież rozum i sumienie, a nadewszystko Boga się bójcie i Jego pełnijcie wolę, bo inaczej tylko zaszkodzicie sobie.

II.

Gdy tak wzorując się na Marji służący lub służąca pogodzi się ze swym losem i stan swój, jako przeznaczony sobie od Boga, pokocha, bez wielkiego trudu spełniać będzie to, co do niego należy, do czego się zobowiązał. W Piśmie św. niejednokrotnie napotykamy upomnienia dla służących. Św. Piotr powiada: »Słudzy, bądźcie poddani panom we wszystkiej bojaźni, nie tylko dobrym i skromnym, ale też i przykrym«; a św. Paweł dodaje przestrogę, aby służyli »nie na oko, ale w szczerości serca, Boga się bojąc«. Dalej zaś mówi: »Cokolwiek czynicie, z serca czyńcie jako Panu, a nie ludziom« (Kol 4, 22, 23). W powyższych słowach Bóg wymaga od służby przejęcia się obowiązkami i wierności w ich wykonaniu. Te obowiązki mogą być bardzo niskie i przykre; w naszej mocy jednak osłodzić je i uświęcić. Od tego przecież jest dobra intencja: robię, co do mnie należy, z miłości ku Bogu i chęci przypodobania się Mu. Każdy najdrobniejszy nawet czyn, spełniony w tej intencji, nabiera wielkiej wagi w oczach Boga i zapewnia nam stokrotne pożytki. Nie wolno służącemu wymawiać się od pełnienia raz przyjętych zobowiązań, nie wolno pełnić ich niedbale, źle, bo przez

to krzywda się dzieje gospodarzowi i krzywda jego własnej duszy, gdyż na marne idzie wszelka zasługa przed Bogiem.

»Słudzy, bądźcie poddani panom«... Poddaństwo w myśl Kościoła wymaga uległości, opartej na życzliwości i sumieniu. Nie tylko zewnętrznie nagiąć się pod cudzą wolę, ale i serce poddać trzeba. A takie poddaństwo wyklucza wszystko, co przełożonemu może zaszkodzić, a więc: obmowy i szkalowanie, obojętność na dobro gospodarza, zawiść, a tem bardziej potajemne spiski i knowania.

»Nie tylko dobrym i skromnym, ale też i przykrym«... Dobry i skromny, czyli cnotliwy chlebodawca, to prawdziwe dobrodziejstwo dla służącego, które trzeba należycie ocenić. Niestety! Jakże często służba nadużywa dobroci swego pana! Korzystając z jego pobłażliwości, opuszcza się w pracy, okrada go, często wydala się z domu, lub nawiązuje podejrzane stosunki i rozzuchwala się. I oto dlaczego zdarza się raz w raz słyszeć z ust tych dobrych i skromnych gospodarzy: »Nie, stanowczo dobroć nie popłaca! Dobrym dla służby być nie warto, bo ona przez to tylko się psuje«. I z dobrego niejeden staje się złym, szorstkim i przykrym. Winna temu w znacznej mierze sama służba, tem bardziej, że nie tylko sobie szkodzi, ale i innym, tym, którzy na jej miejsce staną i odrazu spotkają się z nieufnością gospodarza. — Są jednak i »przykrzy« gospodarze; to istny dla służącego krzyż. Już niejeden gorzkie łzy wylewał z powodu przykrej służby. Niechże służący pamiętają, że mają i takim panom być poddani i znosić ich w cierpliwości; wolno im zmienić miejsce,

ale nie wolno odpłacać pięknem za nadobne, nie wolno nawzajem wymyślać, szkalować i przeklinać. Zresztą niech pamiętają, że ich własna cierpliwość i łagodność rozbroi gniew niesprawiedliwy, uszlachetni serce gospodarza i może go zjedna Bogu — w każdym razie dla nich samych będzie wielką zasługą.

Jednej szczególnie rzeczy nie mogę dziś pominąć milczeniem — to tej przysłowiowej pobożności naszych służących. Że i służąca modlić się powinna, że i na niej ciążą chrześcijańskie obowiązki, to pewna, i straszną winę bierze na swe sumienie gospodarz, który o tem nie chce pamiętać. Ale z drugiej strony zaprzeczyć się nie da, że niejedna służąca mylnie pobożność pojmuje. Takaby chciała modlić się ciągle bez względu, czy obowiązki pozwalają czy nie, czy czas odpowiedni czy nie. Wszystkie jej myśli koło jednego krążą: do jakiego kościoła i na jakie pójść nabożeństwo, czyjego wysłuchać kazania, do którego z księży pójść do spowiedzi. Niech się tylko odezwie dzwonek kościelny, już jej niema w domu; rzuca wszystko i biegnie do kościoła jednego, potem drugiego, może nawet trzeciego. W drodze napotka swą przyjaciółkę, i z nią sporo czasu spędzi na niby pobożnych gawędach. A w domu nieporządek, robota stanęła, państwo się złoszczą i klną. Fałszywa to pobożność, która odciąga od najistotniejszych obowiązków i więcej złego niż dobrego sprowadza. Takim osobom z całą stanowczością przypomnieć dziś muszę, że są wypadki, bardzo liczne, kiedy »lepsze posłuszeństwo, niż nabożeństwo«; w ich stanie zdarzają się one częściej, niż w innych. I Najśw. Marja Panna

zapewne nieraz składała ofiarę ze szczęścia uczestniczenia w kościelnych nabożeństwach na korzyść domowych obowiązków; nie zawsze też mogła podążać za Chrystusem w Jego pielgrzymowaniu po Ziemi św., choć pragnęła tego bardzo. I my również pozostawajmy przy twardych obowiązkach nawet wówczas, gdy nas serce ciągnie przed ołtarz.

Gdy tak chlebodawcy i słudzy, przełożeni i podwładni zaczną zgodnie, w sprawiedliwości i miłości, wspólnie pracować każdy w swoim zakresie, rychło będziemy się mogli spodziewać naprawy stosunków społecznych i nowej, lepszej doli. I rozraduje się serce wspólnej naszej Pani, Marji, i roztworzą się Jej ramiona matczyne, i wypoczniemy wspólnie na Jej łonie, gdyż »są różności posług, ale tenże Pan. I są różności spraw, ale tenże Bóg... a wszyscy jednym duchem jesteśmy napojeni« (I. Kor 12, 5—13), duchem Marji, i błogosławieństwem Marji. Amen.

NAUKA XIX.

Rodzina. — Zawieranie związków małżeńskich.

»Marja zaślubiona została Józefowi« *(Mt 1, 18).*

I.

Te słowa Ewangelisty wprowadzają nas w koło przedziwnych tajemnic, osłaniających Wcielenie Słowa Bożego. Marja, poślubiona Bogu Dziewica, została zaślubiona Józefowi; była zamężna, a przecież »męża nie zna« (Łk 1, 34); w małżeństwie żyła, Matką została, a przecież nie przestała być Panną nad pannami, Przeczystą. Jeżeli zapytamy, jak to się stało, odpowiemy: Bóg te dziwy sprawił, a sprawił dlatego, że Marja zawsze i we wszystkiem, a więc i w swych zaślubinach ze św. Józefem, tylko chwały Bożej szukała, tylko Bożą pełniła wolę.

Miłując tylko Boga, Marja poświęciła się na wyłączną Jego służbę przez ślub dziewictwa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpiło to bardzo wcześnie, może już w pierwszych miesiącach pobytu w świątyni. I ślub ten Marji był miły Bogu. Ale z drugiej strony, Bóg od wieków postanowił, że z Marji narodzi się Chrystus. Wcielenie Słowa Bożego

miało się dokonać za sprawą Ducha Św. bez naruszenia dziewictwa Marji i według zamiarów Przedwiecznego winno było pozostać czas jakiś w tajemnicy dla świata. Narodzenie zaś Zbawiciela musiało być pełne godności, a do tego Marja musiała koniecznie posiadać męża, któryby wobec prawa uchodził za ojca Narodzonego Dziecięcia. Chrystus był Bogiem, ale przychodził na świat dla ludzi, więc, nie przestając w istocie być cudownem, samo Jego przyjście winno było posiadać pozory zwykłej u ludzi sprawy. Tak rozrządziła Najwyższa Mądrość.

Na domniemanego ojca Chrystusa, a na rzeczywistego Marji małżonka obrał Bóg Józefa, potomka króla Dawida, »męża sprawiedliwego«, cieślę z zawodu. Św. Józef również miłował dziewictwo i w czystości chciał spędzić życie. Dlaczegóż więc zawiera związek małżeński z Najświętszą Marją Panną?

Odpowiedź na to jedna tylko być może: bo tego chciał Bóg. Tylko Boża wola, objawiona Najśw. Marji Pannie i św. Józefowi czy to w sposób zwykły drogą namowy krewnych lub kapłanów, czy też w sposób nadprzyrodzony przez wewnętrzne oświecenie Boże, nie zaś inna jaka pobudka, mogła skłonić te dwie Osoby, miłujące dziewictwo, do połączenia się ze sobą węzłem małżeńskim. Połączenie to nastąpiło — Marja została zaślubiona Józefowi; ale ani Marja ani Józef nie przestali wieść żywota dziewiczego. — Jak widzimy, w sprawie zaślubin Marji Bóg był wszystkiem: od Niego sprawa się zaczęła, na Nim się oparła, do Niego doprowadziła. Bóg rządził, Bóg oświecał, Bóg pobłogosławił i nagrodził. Ileż to modłów gorących musiała zanosić Marja do

Boga przed zaślubinami, chcąc dobrze poznać wolę Bożą! Chodziło przecież o sprawę najważniejszą: oto zmieniała stan życia, wyrzekała się swobody i prawa rozporządzania sobą i swoim czasem, nie mogła już wyłącznie tylko Bogu służyć. Potrzeba było wiele łask Boskich na nowe życie, i o te łaski Marja błagała Boga nieustannie. A o co szczerze prosiła, to też i otrzymała. Jakże wzniosłym, jak świętym musiał się Jej wydawać sam obrząd zaślubin! Czyż możemy choć na chwilę przypuścić, aby Marja zezwoliła w czasie jego trwania na coś niewłaściwego? Wszystko, coby mogło choć zdaleka uwłaczać świętej powadze obrzędu, było tu zgoła wykluczone. Wielka prostota na zewnątrz, zato tem większe wewnętrzne skupienie; brak wszelkiej bijącej w oczy wystawności, ale zato jaka modlitwa i jakie przysposobienie duszy! A przecież zaślubiny starozakonne to nie sakrament, to tylko sakramentu figura i podobieństwo...

II.

Najśw. Marja Panna przez swe zaślubiny stała się wzorem dla rodzin chrześcijańskich, przedewszystkiem dla tych, którzy się zabierają do związków małżeńskich.

Czegóż ich uczy?

Najpierw każe im pamiętać, że małżeństwo chrześcijańskie to — sakrament, i sakrament wielki, a więc rzecz święta i Boża. »Sakrament to wielki jest, a ja mówię w Chrystusie i Kościele« (Ef 5, 32). A skoro tak jest, trzeba się do małżeństwa zabierać

z Bogiem, w przeświadczeniu, że się pełni Jego świętą wolę; tylko wówczas można się spodziewać Jego błogosławieństwa. Trzeba zatem wiele się modlić, aby Bóg raczył objawić, jaki nam stan przeznaczył w życiu.

Dalej, uczymy się od Marji, że związki małżeńskie należy zawierać w dobrej intencji i z czystych pobudek. Bóg dał ludziom serca, a sercom zdolność czystego umiłowania. Nie jest to zmysłowa tylko skłonność, ani tem bardziej brudna żądza czy grzeszna namiętność, co zaślepia, kala i rychło przemija. Jest to raczej żywe i szlachetne uczucie, zgodne z rozumem, a oparte na szacunku; wywołują je nie tylko zewnętrzne powaby ciała, ile raczej istotne i wewnętrzne zalety: przymioty umysłu, serca i charakteru. Taka właśnie miłość winna poprzedzać zawarcie związków małżeńskich. Nie wyklucza ona bynajmniej zajęcia się sprawami materjalnemi, owszem — właśnie dlatego, że jest rozumną, każe budować przyszłość na możliwie pewnych podstawach i zabezpieczyć sobie i przyszłej rodzinie dostateczne środki utrzymania. Nie wolno wszakże z wielkiego sakramentu robić interesu, i z tego względu niech nie liczy na błogosławieństwo Boże ten, kto związek małżeński zawiera jedynie z wyrachowania, dając mu za podłoże nie serdeczną sympatję, a długie kolumny cyfr i kombinacje matematyczne.

Jeszcze mniej szczęścia można spodziewać się tam, gdzie sprawę rozstrzygają jedynie złe żądze i namiętności. Człowiek niemi odurzony widzi w wybranej przez się osobie same tylko doskonałości, natomiast spuszcza z oka świętość związku małżeń-

skiego i wyższe cele. Lecz wkrótce przychodzi otrzeźwienie, doskonałości zbliska wydają się czemś bardzo zwyczajnem, pospolitem, występują zaś na jaw coraz nowe, coraz liczniejsze wady i ułomności; urok pryska, miłość zaś przechodzi w zimną obojętność, a niekiedy w obrzydzenie. Co od grzechu się zaczyna, nieszczęściem się kończy.

Święty nasz Kościół, ażeby wpoić swym dzieciom uszanowanie, należne sakramentowi małżeństwa i okazać jego powagę i doniosłość, pozwala na zawieranie związków małżeńskich jedynie po dojrzałym namyśle, stwierdzeniu braku przeszkód lub ich usunięciu i odpowiedniem przysposobieniu duszy. W tym celu ustanowił trzykrotne zapowiedzi. Tych kilkanaście dni, upływających między pierwszą zapowiedzią a ślubem, w myśl Kościoła winny być czasem głębokiego skupienia i gorącej modlitwy. Nie wszyscy to jednak rozumieją. Dla wielu katolików jest to czas największych roztargnień, a nieraz i największych grzechów.

Tu miejsce na wzmiankę o tak dziś modnych indultach, czyli dyspenzach od zapowiedzi. Od niejakiegoś czasu ślub za indultem stał się oznaką dobrego tonu i wielkiego szyku. Co o tem sądzić? Że indulty niekiedy bywają potrzebne, to pewna; że władza diecezjalna ma prawo je dawać, również nie ulega wątpliwości. Trzeba jednak pamiętać, że indult to — łaska i wyjątek, że do jego uzyskania wymagany jest słuszny i prawny powód. Kto takich powodów nie ma, a tylko je zmyśla, indult wyłudza podstępem i zasługuje na skarcenie. Wogóle gdzie niema istotnej potrzeby, tam należy postępo-

wać drogą zwyczajną — zapisać zapowiedzi. Nie przyniesie to żadnej ujmy narzeczonym, raczej wyjdzie im na korzyść, bo będą mogli bliżej się poznać, i umocnić się modlitwą. Niejeden też pobożny katolik, słysząc zapowiedzi, westchnie na intencję młodej pary do Boga.

Dla prawego katolika miarodajnem być winno prawo i duch Kościola, nie zaś duch świata i mody, zwłaszcza w sprawie tak ważnej, jak małżeństwo. Pogłębiajmyż w sobie ducha Kościoła! Nie gońmy za szykiem, za wystawnością — te szczęścia nie zapewnią! Marja szczęścia szukała w pełnieniu woli Bożej, i nie zawiodła się; idźmyż z Nią razem, a Bóg i dla nas łaskaw będzie. Amen.

NAUKA XX.

Rodzina. — Stosunki rodzinne.

»Marja zaślubiona została Józefowi« *(Mt 1, 18)*.

I.

Związek małżeński Najśw. Marji Panny ze św. Józefem, zawarty z woli Bożej i z Bożem błogosławieństwem, był dla św. Oblubieńców źródłem łask na całe dalsze życie. Gdy za sprawą Ducha Św. Marja poczęła i porodziła Syna, nowe na Nią spadły obowiązki — obowiązki matki. Św. Józef również uczuł na swych barkach nowe ciężary; stał się głową Rodziny, musiał Ją żywić. Nowe obowiązki, więc nowe modlitwy; nowe modlitwy — więc i łaski nowe, przeobfite.

Ubogi domek w Nazarecie stał się przybytkiem łask i świątynią, bo Bóg w nim zamieszkał, a z Bogiem weszły do domu pokój i szczęście. Pismo św. rzuca zasłonę na prywatne życie św. Rodziny; zaledwo parę słów natchnionych kreśli ku wiekuistej pamięci i nauce św. Łukasz Ewangelista, gdy mówi, że dwunastoletni Jezus po powrocie ze świątyni jerozolimskiej »wzrastał w mądrości i latach i w łasce u Boga i u ludzi« (2, 52). Życie św. Rodziny było

więc ustawicznym postępem w mądrości i łasce, tj. cnocie. Płynęły dnie i lata nad domkiem nazaretańskim. Mieszkańcy zaś jego z każdą chwilą nowy czynili krok na drodze do Boga. Wszyscy troje nieustannie wzrastali w bogobojności, bo każdy miał potrójny w ręku skarb: miłość dla Boga, dobroć dla ludzi, skupienie dla siebie. Te trzy rzeczy sprawiły, że św. Rodzina stała się po wszystkie wieki wzorem dla rodzin chrześcijańskich.

Rodzina jest podstawą społeczeństwa. Jeżeli dziś z trwogą patrzymy w przyszłość z tego powodu, że w społeczeństwie naszem wielki panuje nieład, że coraz więcej spostrzegamy w niem złowróżbnych objawów, zawdzięczać to musimy w wielkiej mierze rozprzężeniu, jakiemu w ostatnich czasach ulegają nasze rodziny. Ludzie współcześni powoli zatracając ducha chrześcijańskiego i chciwie wchłaniając w siebie modne hasła, tak nieraz dalekie od rzetelnego postępu, wypaczają stosunki rodzinne i rozluźniają przyrodzone, ręką Stwórcy zadzierzgnięte węzły. Wywrotowcy doskonale zrozumieli wpływ rodziny na człowieka; toteż robią wszystko, aby rodzinę odchrześcijanić, a przez to samo właściwie doszczętnie ją zburzyć. Wprowadzają rozwody, usiłują wydrzeć rodzicom przyrodzone prawo wychowania dzieci, odciągają jak mogą ojców i matki od rodzinnego ogniska, dzieciom zaś wpajają przewrotne zasady, zmierzające do obalenia wszelkiej karności i przywiązania do rodziny. Pomaga im w tem — chcielibyśmy wierzyć, że bezwiednie — system wychowania, przyjęty obecnie w szkołach i wyższych zakładach naukowych. Obok wielkiej ilości godzin, przeznaczonych

na wykłady szkolne, system ten zabiera dorastającej młodzieży niemal cały czas wolny na różne ćwiczenia gimnastyczne, popisy sportowe, na wycieczki, nadprogramowe wykłady, odczyty i wiece. Młodzież szkolna bywa zazwyczaj w rodzinie i z rodziną tylko w czasie posiłku i w nocy; resztę czasu spędza poza domem. W ten sposób jest pozbawiona dobroczynnych wpływów rodzinnego ogniska, którego jej nic nigdy nie zastąpi. Rodziny współczesne przestają być tem, czem być powinny: najlepszą szkołą cnót, kuźnią dzielnych charakterów, miejscem wspólnej pracy i wspólnego wypoczynku.

Papież Leon XIII przenikając swym bystrym umysłem niedomagania społeczne, widzi główną ich przyczynę w tem, że życie rodzinne w czasach obecnych zbyt daleko odbiegało od wzoru Rodziny Nazaretańskiej. Nawołuje więc do nawrotu, do ściślejszego zespolenia poszczególnych członków rodziny, do wzmocnienia karności i miłości rodzinnej, a nadewszystko do oparcia życia rodzinnego na bojaźni Bożej. Czy głos Zastępcy Chrystusowego znalazł u nas oddźwięk?

II.

Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, przyjrzyjmy się nieco dokładniej większości rodzin dzisiejszych.

Rozpocznijmy od o j c a rodziny. Zajęcia, właściwe mężczyznom, trzymają go najczęściej zdala od domu. Skutkiem tego wpływ jego na rodzinę bywa niekiedy zbyt małym. Nieraz bardzo ważne sprawy rodzinne bywają załatwiane poza jego plecami i bez

jego wiedzy; ale trudno — pociesza siebie — praca, niema czasu we wszystko wejrzeć! Gdybyż tylko praca! Nierzadko się zdarza, że nietylko dla pracy wychodzą z domu ojcowie. Wychodzą na karty, wychodzą na pijatykę, a może — i na co gorszego. Rozrywka potrzebna, powiedzą. Zgoda, ale niech będzie uczciwa, niech nie przewleka się do późnej nocy, niech wreszcie nie będzie tak częstą. Właśnie zadaniem rodziny jest dać po ciężkiej pracy możność wypoczynku, a najlepszą jest ta rozrywka, która odbywa się w rodzinie lub z rodziną. Ale rodzina spowszedniała, więc niejeden woli klub, ulicę lub karczmę; tam lepiej, swobodniej. A i te nieliczne chwile, spędzone przy domowem ognisku, jakież one bywają nieraz przykre, czasami wstrętne! Sam powrót ojca do domu przejmuje już strachem wszystkich domowników. Trzaskanie drzwiami, stukanie nogami, besztanie służącej, gniewne przesuwanie mebli, awantura z powodu spóźnienia się obiadu, ponure milczenie albo znowuż nieustanne gderanie przy obiedzie — czyż nie są to rzeczy takie codzienne, takie znane każdemu, takie nasze? Żona musi słuchać zawsze tych samych, ale nie zawsze uzasadnionych docinków i wymyślań; dzieci boją się zbliżyć do ojca, by nie »oberwać«. Ze wszystkiego on niezadowolony, wszystko musi poprawić, wszystko zganić; bo to — tłumaczy się — człek zdenerwowany, a tu takie nieporządki... Nie tyle tu winno zdenerwowanie, ile raczej niewyrobienie, brak dobroci i kultury wewnętrznej. Żeby taki ojciec zechciał się zastanowić, jakie na nim ciążą obowiązki względem rodziny, jak bardzo musi jej przyświecać dobrym przykładem, jak

wielką cierpliwość musi wykazać w jej kierowaniu, umiałby zapewne opanować swe zdenerwowanie, znalazłby serdeczne słowo i dla żony i dla dzieci i przestałby być tyranem dla domowników. Ale cóż, kiedy religja już oddawna nic go nie obchodzi; więc co mu tam jakieś obowiązki rodzinne? Pracuje dla rodziny, to i dość!

Obok ojca stoi matka. Jej zadaniem jest stać na straży domowego ogniska, wspierać męża, wychowywać dzieci na dobrych katolików i dzielnych obywateli kraju, dawać przykład ofiarności, a wszystko dokoła ogrzewać ciepłem serdecznem. Jestże tak u nas? Jeżeli wogóle o naszych matkach lepsze trzeba dać niż o ojcach świadectwo, to przecież i w nich niejedno zganić wypadnie. Skąd te kłótnie domowe? Wszczyna je może nie zawsze żona, ale prawie zawsze żona je podsyca. Mąż słowo, żona — dwa; mąż się niecierpliwi, żona — spazmuje, ot i piekło gotowe. A najczęściej chodzi o drobnostkę. Trochę cierpliwości, jedno słowo łagodne, serdeczne — i burza byłaby wczas zażegnana. A są przecież i takie żony, które od rana do nocy wyprawiają w domu awantury. We wszystko się wtrącają, nikomu nie dają przyjść do słowa, nieraz ze złości tłuką naczynia, niszczą sprzęty domowe. To — istne harpagony. Z ich to winy każdy z domowników czyha na sposobność wymknięcia się z domu, z ich to winy rozprzęga się rodzina i wypaczają się charaktery u dzieci.

A teraz słówko o dzieciach. O Chrystusie-Dziecięciu ewangelja powiada, że był rodzicom swoim »poddany« (Łk 2, 51). Czy można to samo powiedzieć

o dzieciach naszych? Naogół nie! Zacznijmy od synów. Synowie, zwłaszcza dorośli, są nieraz dla rodziny prawdziwem zmartwieniem. Powracając z wojenki do domu, jakże często wnoszą ze sobą atmosferę zepsucia i wyuzdania. Szpetne mowy, tłuste żarty, bluźnierstwa — to u nich rzecz zwyczajna. Względem rodziców są opryskliwi i nieposłuszni; dla młodszego brata lub siostry mają same tylko drwiny, docinki, a nieraz i szturchańce. Chcieliby rządzić w domu niepodzielnie, bo nie po ich myśli wszystko tu idzie. Zresztą niewiele już u nich wspólnych węzłów z rodziną, toteż umieją obchodzić się bez niej. Ojciec, matka potrzebni im chyba wtedy tylko, gdy zabrakło pieniędzy, a zresztą urządzają się jak im wygodniej, nikomu nie zdając sprawy z tego, gdzie bywają, co robią, jakie mają plany na przyszłość. A za starszym bratem idzie oczywiście i młodsze rodzeństwo, ucząc się od niego hardości, buty i nieposłuszeństwa.

Wreszcie córki dorosłe. Któraż matka nie skarży się dziś na swoje córki? Jedna wciąż grymasi, druga tylko o tańcach i zabawach myśli, trzecia czyta powieści lub pisze wiersze, a wszystkie ciągle kłócą się ze sobą, a żadna nie chce dopomóc matce w robocie. Gdzieżby tam miała się zajmować tą powszednią robotą domową! To taka szarzyzna, a ona ma wyższe cele i aspiracje i daleko przyjemniejsze zajęcia: ma koleżeńskie zebrania, może nawet odczyty, ma dobroczynne bale, gdzie jest gospodynią i potrzebną, ma zresztą książki, muzykę, a choćby tylko własne znajomości... Może i to dobre, ale posłuszeństwo lepsze. Rodzice nie mogąc dać so-

bie rady z córeczką, z upragnieniem wyczekują młodzieńca, któryby ją sobie wziął na zawsze...

Może to przesada? Chyba nie, gdyż dziś wszyscy twierdzą jednogłośnie, że w rodzinach naszych coś się popsuło. Popsuła się cnota i karność. Trzeba zatem naprawy. Gdzie jej szukać, u kogo? Jedna tu tylko może być odpowiedź: w Nazarecie, u Marji! Amen.

NAUKA XXI.

Obowiązek unikania grzechu.

»I rzekł Pan Bóg do węża: Położę nieprzyjaźń między tobą, a między niewiastą, i między nasieniem twem, a nasieniem jej; ona zetrze głowę twoją, a ty czyhać będziesz na piętę jej« *(Gn 3, 14—15).*

I.

Z dniem dzisiejszym wkraczamy w dziedzinę obowiązków, jakie każdy z nas ma względem siebie samego. I tu, zarówno jak w obu poprzednich działach obowiązków chrześcijańskich, naczelne miejsce zajmuje miłość. Dał nam Pan Bóg przykazanie miłości własnej w słowach: »Będziesz miłował bliźniego twego, jak samego siebie«, jeżeli nie zupełnie wyraźnie, to przynajmniej domyślnie, i tę miłość wlał nam w dusze tak obficie, że aby miłować siebie, na to żadnego z naszej strony nie potrzeba wysiłku. Ale nierzadko się zdarza, że my istotę tej miłości zupełnie wypaczamy; nierzadko bowiem żywimy ku sobie miłość nieporządną, a przez to samo złą i grzeszną. Jeżeli miłość własną posuwamy za daleko, aż do tego stopnia, że wszystko sprowadzamy ku sobie i sobie podporządkowujemy, że nie oglądamy się ani

na chwałę Bożą, ani na dobro bliźniego, wówczas mamy egoizm — najwstrętniejszy występek, z którego rodzą się wszystkie inne. Możemy wszakże wykraczać przeciwko miłości siebie samych w inny jeszcze sposób, mianowicie przez brak miłości czyli przez nienawiść siebie.

Czyż można siebie nienawidzieć? Owszem, można; zdarza się to nawet daleko częściej, niż myślimy. Nienawidzieć znaczy tyle, co cofać miłość od tego, czemu się ona należy, a pożądać tego, co jest szkodliwem i złem. Kto ma w nienawiści swego sąsiada, ten nie tylko nie pragnie jego dobra, ale życzy, aby go spotkało największe nieszczęście, nieraz sam tego nieszczęścia staje się sprawcą. Otóż duszy naszej należą się prawdziwie, wyższe dobra, a temi są łaska i cnota; szkodzi zaś jej grzech, który sprzeciwia się łasce i cnocie. Kto więc o dobra duszne nie dba lub je świadomie wyklucza, a do duszy wprowadza najwyższe zło — grzech, ten nienawidzi siebie samego czyli wykracza przeciwko obowiązkowi dobrze zrozumianej miłości własnej.

Posłuchajmy, co o tem mówi Pismo św.: »A ci, którzy czynią grzech i nieprawość, są nieprzyjaciele duszy swojej« (Tob 12, 10). Psalmista zaś powiada jeszcze wyraźniej: »Kto miłuje nieprawość, nienawidzi siebie« (Ps 10, 6).

Z tego względu możnaby wszelki ciężki grzech nazwać samobójstwem duszy, grzech zaś lekki czyli powszedni — rozmyślnem jej zranieniem. Jeżeli ran zgromadzi się wiele, powoli zanika odporność organizmu i może nastąpić śmierć; jeżeli zatem człowiek, wyraźnie nie posuwając się do grzechu ciężkiego,

nic sobie jednak nie robi z grzechów lekkich, stopniowo usposabia duszę do grzechu śmiertelnego, do całkowitej utraty łaski i gotuje jej śmierć niechybną.

A więc głównym naszym obowiązkiem względem siebie samych jest unikanie wszelkiego grzechu, nie tylko ciężkiego, ale i lekkiego czyli powszedniego. Nie unikniemy go jednak, jeżeli — acz wsparci łaską Boską — nie będziemy nad sobą czuwali. Czuwanie zaś polega na walce z pokusami i okazjami do grzechu. Ostatecznie zatem przychodzimy do wniosku, że najpierwszem naszem zadaniem tu na ziemi jest walka z pokusami czyli z tem wszystkiem, co do grzechu nas ciągnie. Zadanie to do łatwych nie należy, albowiem »przeciwnik nasz djabeł jako lew ryczący krąży, szukając kogoby pożarł« (I. Piotr 5, 8). Ze strasznym tedy mamy wrogiem do czynienia — chytrym, podstępnym i okrutnym; do walki z nami staje on nie sam, ale uzbraja przeciwko nam nasze zmysły i pożądliwości, łudzi nas i zwodzi najniebezpieczniejszemi ponętami, przyćmiewa nam umysł, osłabia wolę, znieczula sumienie, a gdy nas wreszcie usidli, mocno trzyma w swych szponach. Własnemi siłami nigdybyśmy go pokonać nie zdołali, ale na szczęście sprzymierzeńca mamy. Sprzymierzeńcem tym — Ucieczka grzesznych, Marja.

II.

Było to w raju, na zaraniu dziejów. Upadli w grzech nasi prarodzice za karę zostali skazani przez Boga na cierpienia, śmierć i odrzucenie.

Grzech przylgnął do ich duszy, a zarazem i do całego ich potomstwa, do wszystkich ludzi, z wyjątkiem jednej tylko Marji, której Bóg od wieków niesłychane przeznaczył zadanie: być drugą Ewą, tylko lepszą i świętszą, być Sprawczynią naszego pojednania z Bogiem. O Niej to, o tej wybranej i wyniesionej, taką Bóg dał zapowiedź szatanowi, który sprowadził upadek ludzkości: »Położę nieprzyjaźń między tobą, a między niewiastą, i między nasieniem twem, a nasieniem jej; ona zetrze głowę twoją, a ty czyhać będziesz na piętę jej«. I nieprzyjaźń ta rozpoczęła się z chwilą Poczęcia Niepokalanej. Marja bowiem nie tylko była wolną od zmazy pierworodnej, ale nawet cienia nigdy nie miała grzechu i najmniejszej nie czuła do złego skłonności. A gdy Chrystus swą śmiercią »piekielne moce zwojował, nieprzyjaciela podeptał«, Marja z podwójnego tytułu wystąpiła do walki z szatanem: z tytułu swej Niepokalaności i z tytułu Macierzyństwa Bożego. Jako Matka Chrystusowa i Współodkupicielka rodzaju ludzkiego, Marja odnosi walne nad szatanem zwycięstwo, bo »ściera głowę jego« i czyni go swym niewolnikiem na zawsze. Szatan jednak uspokoić się nie może i wciąż »czyha na piętę« Marji. Nie mogąc zaszkodzić Marji samej, usiłuje przynajmniej uwieść Jej dzieci — nas wszystkich. Stąd te srogie jego napaści, stąd jego triumf czasowy nad światem.

Dość wszakże jednego słowa Marji, a moc szatańska pryska. Jej stopa gniecie głowę węża piekielnego, Jej płaszcz matczyny bezpieczniej niż najpewniejsza tarcza zasłania wierne Jej sługi od pocisków nieprzyjacielskich, Jej głos nieustannie od-

zywa się do nas: Do Mnie, moje dzieci! Wyście słabi, sami nie zdołacie pokonać wroga, a Jam mocna«: »Jamci jest mur, a piersi moje jako wieża« (P. n. P. 8, 10). Jam nie zaznała najmniejszego skażenia; więc widzę cały bezmiar niedoli waszej, widzę całą ohydę grzechu i chcę was od grzechu ratować: idźcież do Mnie! I ratować was mogę, jestem bowiem łaski pełną; wyjednam łaskę dla was, a łaska zmyje grzech i słabe umocni siły. Do Mnie więc! Tylko rychło, tylko z ufnością!...

I szczęśliw ten, kto słucha wołania Marji, kto się do Niej, jak do Matki, przytuli! Zazna niejednej może w życiu pokusy, nieraz się spotka z sidłami szatańskiemi, ale Marja czuwać nad nim będzie, i niebezpieczeństwo wskaże zawczasu, i sił doda, i jak czuła Matka na rękach go swoich poniesie, by snać niebaczny o sidła nie zawadził nogą.

A jeśli nawet — uchowaj Boże! — potknie się i upadnie, niech jeszcze nie traci nadziei. Marja znajdzie się przy nim i rękę mu poda; niechże tylko nie odtrąca tej pomocy i natychmiast powstaje, a żyć będzie! — Wołajmyż zatem:

Poskromicielko szatana, czuwaj nad nami!
Ucieczko grzesznych, módl się za nami! Amen.

NAUKA XXII.

O potrzebie życia skupionego.

»Zawiodę ją na puszczę i będę mówił do jej serca« *(Ozeasz 2, 14).*

I.

W życiu Najśw. Marji Panny jedno nas najbardziej uderza: Jej trzymanie się zdala od świata, Jej odosobnienie. Wiedzą o Niej niebios mieszkańcy, Bóg raczy do Niej posyłać Archanioła, Jej przeczyste łono na przybytek sobie obiera; ale na ziemi cicho o Niej, tak cicho, że nawet ewangeliści zaledwo kilkanaście tylko słów Jej poświęcają w natchnionych księgach swoich. Z tego zaś, co piszą o Marji widać, że Marja jak najstaranniej unikała zgiełku świata i ukazywała się na nieco szerszej widowni jedynie wówczas, gdy zachodziła istotna potrzeba. Ustronne przedsienia świątyni oraz zacisze domowe, oto Jej zwykłe, najulubieńsze miejsca, które opuszcza tylko wtedy, gdy albo Ją obowiązek zmusza do tego, albo miłość. Jako wzór uległości woli Bożej idzie do Egiptu, jako Apostołka miłości bliźniego nawiedza chorą Elżbietę, jako Królowa Boleści staje na Kalwarji pod krzyżem Syna. Nie była jednak odlud-

kiem, bo widzimy Ją w Kanie na weselnych godach, chociaż i wówczas Marja pozostaje gdzieś zdala od biesiadnego stołu.

Więc dlaczegóż Najśw. Marja Panna woli pozostawać w cieniu nawet wówczas, gdy Jej Syn Jezus święci swe najchwalebniejsze triumfy na ziemi? Dlaczegóż Marja nie obok Syna, gdy Syn znaki czyni, gdy przemienia się na górze Tabor, gdy wjeżdża do Jeruzalem? A dlatego, że nad sławę i zaszczyty, nad przyjemności i wesele świata umiłowała samotność i cichy, ukryty tryb życia. Pełni się na Marji proroctwo Ozeasza: »Zawiodę Ją na puszczę i będę mówił do Jej serca«. Świat był dla Marji puszczą, ale zato na tej puszczy łatwiej było znaleźć Boga. I Marja Boga znalazła, a znalazłszy go, znalazła szczęście najwyższe i najwyższe zadowolenie duszy.

I mówił Bóg do Jej serca... W dzieciństwie Jej, tam, w pobożnej ciszy świątyni — mówił o wielkiej chwale Izraela i bliskiem już nadejściu Mesjasza. W błogim spokoju nazaretańskiego domku, gdzie swobodnie się bawiło Boskie Dzieciątko u Jej stóp, mówił Jej o wielkiem dziele Odkupienia rodzaju ludzkiego, o pojednaniu ziemi z niebem, o przyszłych trudach i cierpieniach Jezusa i o Jej własnem uczestnictwie w zbawieniu ludzkości. W chwilach boleści mówił Jej o wielkości ofiary i ogromie zasług, o niesłychanem szczęściu, jakie przez Nią spadło na świat grzeszny. A gdy Chrystus wstąpił do nieba i Ducha Św. zesłał na Apostołów, Bóg mówił do Marji o chwale Syna siedzącego na prawicy Ojca, i o Jej własnej chwale, gdy zasiądzie na prawicy Syna.

I była to mowa słodka nad wyraz i nad wyraz kojąca; poruszała w duszy najwznioślejsze struny, wywoływała w Niej święte myśli i pragnienia i do wielkich skłaniała czynów. Wobec tej boskiej mowy milknąć musiały ludzkie rozgwary i świata zgiełk. Bo i cóż może powiedzieć świat takiej duszy, do której sam Bóg przemówił?... Co jej mogą dać ludzie? Chyba tylko ściągnąć z wysokości na niziny, pokalać, napełnić zwątpieniem, wdeptać w błoto?...

Więc Marja zdala żyła od świata, ale zato jakże blisko Boga?

II.

A my? — Biedne dzieci ziemi, do ziemi lgniemy, jakby poza nią nie było już nic; przywarliśmy do świata, jakby ten świat mógł dać nam wszystko!...

Samotność nas przeraża, odosobnienie od świata i ludzi wydaje się nam najstraszniejszą karą, największem nieszczęściem. My szukamy innego życia: ruchliwego, urozmaiconego, pełnego rozrywek, zabaw i przyjemności. Lubimy się odurzać, żyć w stanie ciągłego podniecenia. Dlatego chciwie łowimy wszelkie nowinki, zbieramy plotki, czyhamy na skandale. Chcielibyśmy posiąść wszelką wiedzę, zbadać wszystkie prądy współczesne, więc uczymy się i uczymy wiele, ale brak nam czasu i wytrwałości na przetrawienie i pogłębienie zdobytych wiadomości. Toteż sądy nasze o ludziach i rzeczach są płytkie, niedość krytyczne, zbyt jednostronne. Nie możemy zdobyć najważniejszego poznania: poznania siebie samych; nie umiemy i nie chcemy wejść

w siebie nawet wówczas, gdy świat i jego zabiegi znużą nas i zmęczą doszczętnie.

Żyjemy życiem zewnętrznem, zbyt światowem — stąd ta gorączkowość nasza i zdenerwowanie. Wprawdzie w przełomowych żyjemy chwilach, kiedy się ważą losy narodów. Z samej natury rzeczy wynika, że widownia świata winna się stać bardziej ożywioną i ruchliwą. Ale niechże na nią wstępują ludzie powołani i z dobrem przygotowaniem; wówczas mniej będzie zamętu i niepokojów. Do tego wszakże nieodzownie potrzebnem jest skupienie i rozwaga. Świątobliwy i doskonale znający życie autor »Naśladowania Chrystusa« tak pisze o samotności: »Samotność i odosobnienie jest matką świętych myśli i wielkich postanowień, jest źródłem prawdziwych, niebieskich radości«. A św. Augustyn tak mówi: »O błogosławiona samotności, która sama jesteś błogosławieństwem!« Wiele wieków minęło od czasu, jak te słowa zostały wyrzeczone, ale nic nie zdołało obalić ich prawdziwości.

W samotności dusza bliżej czuje się Boga, a więc więcej jest sobą. W skupieniu wielkie rodzą się myśli, zbawienne dojrzewają zamiary, umacniają się słabe siły nasze. Skupienie, to najlepsza szkoła charakteru. Dlatego dziś mało mamy dzielnych, hartownych ludzi, że zanadto jesteśmy rozproszeni i roztargnieni duchem.

Z tego względu jakże wielką mają doniosłość, nie tylko indywidualną, ale i społeczną, rekolekcje, codzienne rozmyślania i rachunek sumienia, te środki, tak chętnie praktykowane przez ojców naszych, a tak bardzo zaniedbane przez nas! O, gdy-

byśmy zechcieli wrócić do nich, gdybyśmy lepiej ocenili wartość życia skupionego i cichego! Takiego życia stanowczo domaga się od nas lepsza cząstka naszego »ja«, — nasza dusza. Przecież życie, jakie większość z nas prowadzi, ma na względzie tylko doczesność i potrzeby niższego rzędu; ale w każdym z nas niezaprzeczenie są potrzeby wyższe, każdego z nas czeka wieczność. Od czasu do czasu odzywa się w duszy głos, wzywający nas do nawrotu, do zamknięcia się w sobie. To głos błogosławiony; trzeba go słuchać! Przynajmniej wówczas dajmy się »zawieźć na puszczę« i chwil kilka poświęćmy całkowicie i wyłącznie duszy naszej i Bogu. Nie znaczy to, że mamy porzucić świat i zamknąć się w klasztorze. Nie, pozostańmy w świecie ciałem, ale sercem oderwijmy się od doczesności, a duchowi pozwólmy wzbić się na wyże samotności. Wówczas i do nas przemówi Bóg, jak mówił do Marji. Można być w świecie, można z ludźmi obcować, można dla ludzi wiele robić dobrego, a jednak czuć się zawsze sam na sam z Bogiem. Bez samotności i skupienia niepodobna uniknąć grzechu i postępować w cnocie, a przecież to jest głównem naszem zadaniem i tego wymaga od nas dobrze zrozumiana miłość własna.

Więc niechże »żywot nasz skryty będzie z Chrystusem w Bogu. A gdy się Chrystus, Żywot nasz, okaże, tedy i my okażemy się z Nim w chwale« (Kol 3, 3. 4). Amen.

NAUKA XXIII.

Praca.

»Człowiek rodzi się na pracę, jak ptak na latanie« *(Job 5, 7).*

I.

Mądry Gospodarz świata każdemu człowiekowi przeznacza pewien zakres działalności, dając mu do tego odpowiednie siły i uzdolnienia. Praca jest powołaniem człowieka na ziemi, gdzie »od chleba aż do nieba, wszystko, wszystko zdobyć trzeba«. Obowiązek pracy nie jest narzucony przez prawo ludzkie, lubo i ono w tej mierze słusznie głos zabiera, ale włożony na barki nasze przez samego Boga, czyli innemi słowy: obowiązek ten jest świętym i rozciąga się na każdego poszczególnego człowieka.

Praca jest zarazem przekleństwem i błogosławieństwem. Przekleństwem w swej przyczynie, błogosławieństwem w skutkach. Po grzechu naszych prarodziców w raju zagrzmiały nad Adamem, a zarazem nad całym rodzajem ludzkim groźne słowa Boga: »Przeklęta będzie ziemia w dziele twojem; w pracach jeść z niej będziesz po wszystkie dni żywota; ciernie i osty rodzić ci będzie, a w pocie czoła

będziesz pożywał chleba« (Gn 3, 17). Temi słowy rozgniewany Stwórca przydał pracy ludzkiej to, co czyni ją ciężką i przykrą i co jej słodyczy umniejsza — przydał mianowicie trud, mozół i umęczenie. Taka praca stała się karą dla upadłego człowieka.

Ale Chrystus Pan, naprawiając nasz stosunek do Boga, nie pominął też i pracy. Podniósł ją i uszlachetnił. Od najmłodszych lat sam nieustannie pracuje w ciesielskim warsztacie przybranego ojca swego, św. Józefa, hartując tam swe siły do przyszłego urzędu nauczycielskiego, który sprawował, jak wiemy, wśród nieopisanych trudów i mozołów przez całe trzy lata. Wiemy też, że Chrystus najchętniej przestawał z ludźmi ciężko pracującymi i nawoływał ich ku sobie, mówiąc: »Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę«; że groził surowemi karami bogatym próżniakom; że, jeżeli i bywał niekiedy w domach bogaczów, to poto tylko, aby ich nauczać i do pracy zachęcać. Niedość tego: dobiera sobie odpowiednie towarzystwo, złożone wyłącznie z ludzi pracy. Apostołowie przecież to uznojeni rybacy, a najuczeńszy z Apostołów, św. Paweł, z dumą powiada o sobie, że zarabia na chleb powszedni »robiąc swemi rękoma« (I. Kor 4, 12).

Najśw. Marja Panna, choć wolną była od grzechu pierworodnego, choć z królewskiego pochodziła rodu, przecież pracowała nie pokładając rąk przez całe życie. Była to zwykła codzienna praca niezamożnej niewiasty ówczesnej, praca nie przynosząca żadnego rozgłosu, bo ukryta w czterech ścianach niewielkiego domostwa, praca spełniona dla Boga

i z poczucia obowiązku, uświęcona dobrą intencją, oskrzydlona modlitwą, a więc słodka i miła. Marja ponieważ najlepiej rozumiała istotę i doniosłość pracy i najsumienniej pełniła obowiązek pracy, stała się na wieki wieków wzorem dla wszystkich pracujących.

Od czasów Chrystusa praca stała się chwałą i zaszczytem rodzaju ludzkiego, zbliżyła go do Boga i dała mu moc i panowanie nad światem — stała się, słowem, błogosławieństwem dla człowieka. Praca krzepi człowieka i cieleśnie i duchowo, hartuje jego siły fizyczne i umacnia w nim ducha. Najlepiej oceniamy dobrodziejstwo i wartość pracy wówczas, gdy skazani jesteśmy na długą a przymusową bezczynność w czasie choroby. Czas w bezczynności wlecze się niezmiernie leniwie, godzina wydaje się dniem, a dzień staje się rokiem, z oblicza znika nam wesołość i pogoda, natomiast wyraźnie malują się nudy, smutek i zniechęcenie do życia i otoczenia! A niechno tylko wrócą nam siły i weźmiemy do ręki jaką robotę, wnet następuje zadziwiająca zmiana: na lica nam biją rumieńce, zaczynamy weselej patrzeć na życie, chętniej godzimy się ze swem położeniem; słowem, jest nam lepiej. Człowiek pracowity rad jest ze swego zajęcia, miłuje je, wesoły spieszy do pracy i wesoło idzie na spoczynek. A jeżeli dodamy do tego, że praca wzbogaca, że zapewnia w sposób uczciwy dobrobyt i dostatki, a więc i zasłużone powodzenie u ludzi, będziemy z prawdziwem politowaniem patrzyli na próżniaka, który pracy unika. Takie są główne pożytki pracy pod względem doczesnym.

Ale większe jeszcze korzyści odnosi z pracy dusza nasza. Pracą i tylko pracą możemy sobie wysłużyć szczęśliwość wieczną: »Królestwo Boże gwałt cierpi, a gwałtownicy wydzierają je« (Mt 11, 12). Przysłowie powiada, że szatan omija człowieka pracującego, gdyż praca uczciwa przejmuje go wstrętem; wiemy też z nauki Kościoła i własnego doświadczenia, że lenistwo jest matką mnóstwa występków. Gdybym cię, Bracie drogi, zapytał, kiedy to najwięcej popełniłeś grzechów, musiałbyś wyznać, że wtedy właśnie, kiedyś próżnowaniu był oddany. Wówczas to szatan najłatwiejszy miał dostęp do duszy twojej i widząc, że myśl i ręce twe niczem pożytecznem nie są zajęte, zaczął ci podsuwać zwodnicze obrazy i łudzić cię grzeszną podnietą. Wielki znawca serc ludzkich, św. Bazyli, powiada, że próżnowanie jest źródłem i szkołą nieprawości, pracę zaś zowie murem i tarczą przeciw pociskom szatańskim.

Stąd wniosek sam się nasuwa: Chcemy ustrzec się złego — pracujmy; chcemy wzbogacić się w cnoty — pracujmy; chcemy zażyć powodzenia w życiu — pracujmy; chcemy zdobyć królestwo niebieskie — pracujmy. Albowiem prawdą jest, co wyrzekł sprawiedliwy Hiob, że »człowiek rodzi się na pracę, jak ptak na latanie« i nie mniejsza też prawda mieści się w słowach Mędrca Pańskiego: »Dobrych prac chwalebny jest pożytek« (Mądr 3, 15).

II.

Słuszność tego, cośmy rzekli, mógł wypróbować każdy z pracujących na sobie i, zdawałoby się, mu-

siałoby to być dla wszystkich bez wyjątku podnietą i zachętą do pracy.

Tymczasem jeżeli zejdziemy do życia codziennego, zobaczymy z łatwością, że praca dla wielu, bardzo wielu ludzi nie jest tem, czem być powinna.

A naprzód przekonamy się bez trudu, że my naogół pracy nie lubimy, nie doceniamy, patrzymy na nią, jako na zło konieczne, nieuniknione. Pracujemy, bo musimy, bo bez pracy niema kołaczy; ale gdybyśmy mieli wszystkiego poddostatkiem, nie pracowalibyśmy wcale, a przynajmniej — mniej daleko. Marzeniem większości jest: dorobić się majątku, a potem zarzucić raz na zawsze narzędzia pracy, otrzeć pot z czoła i używać, używać bez miary i końca. Ojciec pracuje bez wytchnienia, by syn miał w życiu lepiej i nie potrzebował ciężko pracować. Rolnik dobywa ostatnich sił przy pługu, aby syna wykierować na takiego, który nie ma z pługiem i rolnictwem nic wspólnego; czeladnik wysila się, aby zostać majstrem i jak najprędzej wyręczać się w pracy innym czeladnikiem. Nie jest to oczywiście rzeczą złą w sobie, ale dowodzi przecież, że pracę, zwłaszcza fizyczną, ręczną, uważamy za pewną ujmę dla siebie, za rodzaj niewoli, że zbyt silny jest jeszcze w społeczeństwie naszem przesąd, jakoby pewne rodzaje pracy poniżały człowieka, a inne go wynosiły. Stąd taki np. miejski rzemieślnik ma szacunek dla inżyniera, lekarza, adwokata, urzędnika, z góry zaś patrzy na rolnika; rolnik na własnej zagrodzie będzie uniżonym dla rządcy z sąsiedniego dworu, pisarza z gminy, ale nieraz pogardliwie potraktuje

własnego parobka, bo tamten pracuje mniej i »czyściej«, ten zaś jest od t. zw. czarnej roboty.

Nie wolno zapominać, że żadna uczciwa praca człowieka nie poniża; każdy rodzaj jej jest dobry, potrzebny, i właśnie ci, co najciężej pracują, bardzo często najużyteczniejszymi są dla społeczeństwa. Chrystus obrał był bardzo niski rodzaj pracy, ujął ręką hebel i piłę, aby każdą pracę podnieść, uszlachetnić i uświęcić. Od czasów Chrystusa wszelka praca została wyzwoloną i jednakowej nabrała wartości w oczach Boga. Więc i my powinniśmy każdą pracę oceniać i żadną nie pogardzać! Powinniśmy też pracować z zamiłowaniem, z przeświadczenia o pożyteczności pracy, z poczucia obowiązku, nie z samej tylko konieczności i musu. Nie wolno też gonić jedynie za zyskiem doczesnym, wynikającym z pracy, ale trzeba mieć nieustannie na oku zysk wyższy, w wieczności.

Rozglądając się po sobie, widzimy dalej, że my sami nieraz pracę haniebnie poniżamy. Główną tego przyczyną jest chciwość nasza. Jak najwięcej zarobić na pracujących, jak najmniej im dać — taką się niejeden rządzi w życiu zasadą. Stąd zapędzanie do roboty czeladzi w dnie niedzielne i świąteczne, stąd ta krętanina bez wytchnienia i przerwy, stąd te pogróżki wydalenia ze służby. Oczywiście, praca w tych warunkach wyda się robotnikowi niewolą, przekleństwem, i zamiast być mu osłodą życia i ostoją moralną, będzie mu jarzmem, które postara się zrzucić z siebie nawet drogą buntu i podeptania praw Bożych. — Poniżamy pracę, gdy ją traktujemy niepoważnie, zbyt lekko, gdy pracujemy byle jak.

Odstać czy odsiedzieć naznaczone godziny na wyznaczonem miejscu bez najmniejszego przejęcia się wyznaczoną robotą, robić byle prędzej, byle najmniej, niejedno przekręcić, niejedno opuścić — tak dziś pojmują ludzie pracę bez różnicy, czy to będzie praca ręczna, czy t. zw. wyzwolona. Przecież nikt chyba nie zaprzeczy, że nigdy u nas nie było tyle tandety, co właśnie dziś — tandety na roli, tandety w warsztacie, tandety w biurach, szpitalach — wszędzie, dokąd przeniknął niezdrowy duch czasu, zalecający możliwie najwyższe używanie przy możliwie najmniejszych wysiłkach osobistych. A dokądże on nie przeniknął?

Duch ten sprzyja ogromnie rozwojowi pasożytnictwa, a to jest objawem zatrważającym. Wiadomo powszechnie, że dziś trudno uprosić do posługi i za dobre nawet pieniądze osoby, które do niedawna jeszcze żyły wyłącznie z pracy rąk swoich. Cóż to? Może fortuna jaka im spadła? Nie! Spada im tylko codziennie spory kawał chleba i garnek dobrej strawy, którą je za półdarmo albo i zgoła za darmo obdzielają dobroczynne instytucje swojskie i zagraniczne. Można mieć darmo pożywienie, więc poco pracować? O takich już św. Paweł powiada: »Jeśli kto nie chce robić, niech też nie je« (II. Tes 3, 10).

Stoimy u stóp tej, która nam dała Chrystusa. Przez Niego, a więc i przez Nią, z pracy zostało zdjęte piętno przekleństwa i hańby; od Niego, a więc i od Niej, rozeszło się po świecie wołanie, nad miód słodsze: »Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę« (Mt

11, 28). Idźmyż za tem wołaniem; pracujmy w Chrystusie i dla Chrystusa, pracujmy z miłości ku Jego Matce; wówczas praca będzie szczęściem naszem. W życiu musimy torować sobie drogę ciężką pracą. Na drogę żywota śpiewa nam Psalmista Pański: »Ci, którzy sieją ze łzami, żyć będą z radością. Idą oni i płaczą, siejąc nasienie swe« — to wierny obraz naszych trudów i prac. A jaka za to nagroda? Słuchajmy: »Ale wrócą z weselem, niosąc snopy swoje« (Ps 125, 5). Nieśmyż swe snopy, mozolnie i ze łzami uzbierane, nieśmy wesoło do gumien niebieskich, a hojny Pan żniwa zapłaci nam za nie ponad wszelką miarę i zasługę naszą. Amen.

NAUKA XXIV.

Pokora.

»...Na niskość służebnicy swojej wejrzał« *(Łk 1, 48).*

»Ja kwiat polny i lilja padolna« *(P. n. P. 2, 1).*

I.

Unikać grzechu — to tylko połowa zadania naszego na ziemi. Kto tylko to spełnił, może nie pójdzie do piekła, ale i do nieba bardzo mu jeszcze daleko. Do nieba dostać się możemy jedynie po drabinie cnót chrześcijańskich. Obowiązek dobrze zrozumianej miłości własnej każe nam nieustannie pracować nad wzniesieniem owej niebosiężnej drabiny. Budować ją powinniśmy na podwalinach pokory, która jest fundamentem i matką wszystkich cnót bez wyjątku.

Pokora — to jądro, ośrodek chrystjanizmu, najpiękniejszy kwiat naszej wiary św., najistotniejszy warunek doskonałości. »Ktokolwiek tedy uniży się, jako to pacholę, ten ma pierwszeństwo w królestwie niebieskiem« (Mt 18, 4), rzekł Chrystus.

Tylko chrystjanizm zna tę cnotę. Pogańska starożytność nie miała w językach swoich nawet wy-

razu dla uzmysłowienia pojęcia pokory. Bez Chrystusa niema pokory, bez pokory niema Chrystusa. Kto zatem chce połączyć się z Chrystusem i przezeń otrzymać zbawienie, niech zaczyna od pokory. Bo jak pycha była przyczyną oderwania się człowieka od Boga, tak pokora jest ogniwem łączącem człowieka z Bogiem; i jak pyszna Ewa sprowadziła na świat gniew Boży, tak pokorna Marja świat z Bogiem pojednała.

Ach, bo to właśnie pokora Marji dała nam Chrystusa! Wprawdzie Marja, jako Niepokalana, wszystkiemi bez wyjątku jaśniała cnotami w stopniu najwyższym tak dalece, że mógł wyrzec do Niej Bóg: »Wszystka piękna jesteś, przyjaciółko moja« (P. n. P. 4, 7). Ale Ojcowie Kościoła nie wahają się twierdzić, że Słowo Boże wcieliło się w Marji żywocie raczej dla pokory, niż dla innej jakiej cnoty (św. Hieronim), co zresztą sama Marja potwierdza, wielbiąc Boga za to, iż »na nizkość służebnicy swojej wejrzał«. Św. Wawrzyniec Justiniani tłumacząc te słowa kantyku mówi: »Nie wejrzał na panieństwo i niewinność Marji, ale na Jej nizkość czyli na nicestwo«.

Marja doskonale rozumiała swoje nicestwo wobec Boga; wiedziała, że sama z siebie jest niczem, że i to czem jest, i to, co ma, od Boga wzięła, i na tem polegała Jej pokora, i na tem wogóle polega istota wszelkiej pokory. A rozważając własne nicestwo, Marja prawdziwie wielką się stała, większą od wszystkich świętych i aniołów. »Bóg pysznym się sprzeciwia, a pokornym łaskę dawa« (Jk 4, 6), przyczem łaskę swą Bóg mierzy według miary pokory.

Stąd pojmujemy, że, ponieważ pokora Marji była najgłębszą, toteż przypadła Jej w udziale największa łaska, pełnia łaski, toteż i Jej wyniesienie musiało być najwyższe.

Im więcej Marja otrzymała łask od Boga, tem głębiej się uniżała, tem doskonalej pojmowała swoje nicestwo, tem je więcej wypełniała Bogiem, tem bardziej w Bogu się zatapiała, tem zupełniej w Bogu znikała. Tak żebrak lichy więcej się uniża, im go hojniej królewska obdarza ręka, bo w miarę tego, jak wzrasta hojność darów, występuje coraz wyraźniej na jaw ubóstwo i nędza żebraka.

II.

Ale czemże jest pokora?

Pokora w swej osnowie mieści prawdę całkowitą, szczerą prawdę. Pokornym jest taki człowiek, który należycie ocenia swą istotną wartość, doskonale zdaje sobie sprawę ze swych wad i usterek i chce, aby go inni według jego rzeczywistej oceniali wartości. Z tego widzimy, że siedliskiem pokory jest nie tylko rozum, ale i wola.

Rozum wskazuje człowiekowi, czem jest właściwie. Poznanie siebie samego jest źródłem pokory. Wszystko, czem człowiek jest i co posiada, pochodzi od Boga. Ciało i dusza, siły i zdrowie, majętność i stanowisko, zdolności i powodzenie u ludzi, to wszystko nie sam sobie dał człowiek, ale wziął z ręki Bożej. »Co masz, czegoś nie wziął? A jeśliżeś wziął, przeczże się chlubisz, jakobyś nie wziął?« (I. Kor 4, 7). A skoro tak jest, człowiek rozminąłby się

z prawdą i sprawiedliwością, gdyby choć jeden z tych darów śmiał przypisać sobie. »Albowiem jeśli kto mniema, żeby czem był, gdy niczem nie jest, sam siebie oszukiwa« (Gal 6, 3).

Są to dary, których Bóg użyczył człowiekowi do czasu; i jeżeli Bóg mu dał więcej niż innym, przez to tylko stał się większym dłużnikiem Boga i będzie musiał surowszy, niż inni, zdawać przed Nim rachunek.

Ale czy tak jest w rzeczywistości? Czyż to już człowiek nic nie może osiągnąć swoją własną pracą i energją? Czyż rzeczywiście niema nic w życiu człowieka, coby on z usprawiedliwioną dumą mógł przypisać wyłącznie sobie samemu? Zdawałoby się, owszem. Przecież darmo nic nie przychodzi; co tedy człowiek ma i może, słusznie chyba zawdzięcza tylko swoim zdolnościom i sprytowi. W gruncie rzeczy wszelako znowuż to Bóg, który w człowieku utrzymuje jego zdolności, spryt i pracowitość; który w takich go stawia warunkach, że te zdolności łatwo mogą się rozwijać i osiągnąć zamierzone cele. A więc nic nam nie pozostaje innego, jak zawołać ze św. Augustynem: *Merita nostra — dona Tua!* Nasze zasługi — to dary Twe, o Boże!

Jest w nas wszelako coś, co naszem jest dziełem, co stanowi naszą wyłączną własność; to nasze grzechy i ułomności. Wielkie i małe — wszystkie bez wyjątku od nas samych pochodzą. I nawet tam, gdzie wyraźnego grzechu niema, wprawne oko łatwo dostrzeże w głębiach duszy człowieka cały bezmiar usterek i wad, wygórowanej miłości własnej i wypaczonych ambicyj. Najdoskonalszy nawet z synów

ziemi, i ten nie jest wolny od słabostek, pochodzących ze zmysłowości i próżności. Im uważniej badamy swe życie wewnętrzne, tem lepiej widzimy, ile złego na dnie duszy naszej się kryje, ile połowiczności i niekonsekwencji tkwi w każdym naszym czynie, jak poziome i brzydkie bywają nieraz nasze myśli, zamiary i dążenia. I to wszystko, i tylko to, naszem jest dziełem. Ale tem się szczycić, ale cieszyć się z tego nie mamy najmniejszego powodu. Przeciwnie, musimy zawołać z Prorokiem: »I uniżenie nasze w pośrodku nas« (Mich 6, 14).

Kto w świetle tych zasad rzetelnie roztrząsa swe sumienie i poznaje swą rzeczywistą wartość, a raczej nicość, ten swoim rozumem toruje drogę i zakłada fundamenty pokory.

Ale i wola musi postępować zgodnie z wewnętrznem przeświadczeniem człowieka o własnej nicości, musi uzupełnić pracę rozumu i wcielić w czyn jej wyniki. Dlatego człowiek prawdziwie pokorny nie tylko nie wynosi się nad innych, ale usiłuje uchodzić w oczach ludzi za takiego, jakim jest w rzeczywistości, i spokojnie znosi, jeżeli go bliźni tak sądzą i tak się z nim obchodzą, jak na to wobec Boga zasłużył. Im rzetelniej wola spełnia to zadanie, tem człowiek głębszą posiada pokorę.

Na tem polega istota pokory: poznać samemu swą nicość, pozwolić innym tę nicość w nas stwierdzić. Ma wprawdzie pokora swoją stronę zewnętrzną, to, co wpada ludziom w oko; ale ta zewnętrzna strona o tyle tylko ma jakąś moralną wartość, o ile ją ożywia i przenika duch wewnętrzny. Prosta, gruba odzież, pochylona głowa, przyciszony głos,

złożone ręce — dobre to wszystko, ale to jeszcze nie pokora. Wiemy przecież, że pogański filozof Dyogenes mieszkał w beczce i gardził wszelkiemi wygodami, ale pokornym nie był. Wiemy o innym filozofie greckim (Antystenes), że umyślnie ubierał się w podartą togę, ale i on pokornym nie był, i z całą słusznością mógł o nim Sokrates się wyrazić, że z każdej dziury jego ubrania wygląda pycha... Do prawdziwej pokory trzeba szczerości, która polega na doskonałej zgodzie zewnętrznych ruchów, czynów i ułożenia z odpowiednim sposobem myślenia, z wewnętrznem przekonaniem. Gdzie tego niema, tam niema pokory, a jest wstrętna obłuda czyli udawanie.

Wiemy, czem pokora była dla Marji: przyczyną Jej wyniesienia ponad chóry anielskie. Tem samem będzie i dla nas, jeżeli na niej jako na fundamencie szczerze zechcemy oprzeć całe nasze życie. Wówczas wejrzy Bóg łaskawie na nizkość naszą i dopomoże nam kroczyć coraz wyżej po drabinie cnót chrześcijańskich aż do nieba, aż do tronu Mistrzyni pokory, Marji. Amen.

— —

NAUKA XXV.

Pokora (ciąg dalszy).

»Uniżcie się przed oblicznością Pańską, a podwyższy was« *(Jak 4, 10)*.

I.

Wczoraj rozważaliśmy istotę pokory i doszliśmy do wniosku, że pokora polega na uznawaniu własnej nicości i na ujawnieniu tej nicości na zewnątrz. Tak rozumiała pokorę Najśw. Marja Panna, tak ona winna być pojmowaną i przez nas. Dziś postąpmy o krok dalej i wejdźmy w szczegóły; z życiem Marji zestawmy życie nasze i zobaczmy, co wymaga w nas gruntownej naprawy.

Naprzód, pokorę Marji możemy poznać z tego, jak Ona przyjmowała dary Boże. — Gdy spada na Nią najwyższy zaszczyt Macierzyństwa Bożego, Ona jedno tylko słowo ma na ustach: »Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego«. Nie uważa bynajmniej, że taki zaszczyt Jej się należy z powodu Jej świętości, ale wie, że pochodzi on jedynie z niepojętej dobroci Bożej, więc Bogu dziękuje i poddaje się Jego świętej woli jako pokorna służebnica. To samo czyni u św. Elżbiety, gdy ta

zowie Ją błogosławioną. Na wszystkie zachwyty i podziwy swej krewnej Marja odpowiada podniosłemi słowy: »Uwielbia Pana dusza ma«, skierowując w ten sposób myśli i uczucia św. Elżbiety wyłącznie w stronę istotnego Sprawcy Jej wyniesienia, Boga, a o sobie mówi tylko jako o nicości: »Na nizkość służebnicy swej wejrzał«. Bogu wszystko, sobie nic, to prawdziwa pokora.

Marja jakby się boi, aby Jej nie chwalono i nie wywyższano na ziemi z powodu Jej Macierzyństwa. Ta obawa nie pozwoliła Jej nic mówić o Wcieleniu Słowa Bożego św. Józefowi, choć Oblubieńcem Jej był, ani św. Elżbiecie, swej najbliższej krewnej. Tak jeden, jak druga przez samego Boga zostali pouczeni o dokonanej w Marji tajemnicy. I w ciągu całego dalszego życia Marja nikomu nie wyjawiała swego niesłychanego wywyższenia i szczególniejszych łask, ani kapłanom w świątyni, ani sąsiadom w Nazarecie, ani mieszkańcom Jerozolimy; wolała uchodzić w oczach wszystkich za zwykłą niewiastę. Trzeba było zawsze szczególniejszego objawienia Bożego, ilekroć chwała Mesjasza i Jego Matki miała się okazać światu. Tak było przy hołdzie Mędrców ze Wschodu, tak było przy Oczyszczeniu Najśw. Marji Panny, tak było przy chrzcie Chrystusa w Jordanie: zawsze mówi Bóg czy to dając gwiazdę przewodnią, czy przez natchnionego starca Symeona, czy też z obłoków, a Marja milczy: pokora zamyka Jej usta.

Niedość tego, że Marja unika wywyższenia i chwały u ludzi, — Ona wyraźnie szuka poniżenia i pogardy. To już najwyższy stopień pokory, dostępny tylko duszom wybranym, to — prawdziwe

bohaterstwo. Czyż nie bohaterstwem było ze strony Marji, że towarzyszyła Chrystusowi w pochodzie krwawym na Kalwarję, że stanęła pod krzyżem? Miłość Ją tu przywiodła, ale niemniejszą od miłości była pokora. Wiedziała, że wściekła tłuszcza przez nienawiść dla Ukrzyżowanego nie będzie Jego Matce szczędziła obelg, szyderstw i zniewag wszelkiego rodzaju — i do tych właśnie zniewag spieszyła, biegła, wyrywała się Marja; gnała Ją do nich świadomość Jej nicości przed Bogiem, bohaterska pokora. Nawet wówczas, gdy chwała Syna rozeszła się po całej Palestyńskiej ziemi, po Wniebowstąpieniu Pańskiem, Marja ukrywa się przed światem i chce być wszędzie ostatnią. Św. Łukasz, nie chcąc urazić pokory Marji, gdy pisze o wspólnych modłach pierwszych wyznawców Chrystusowych, wymienia Ją na ostatniem miejscu: »Wszyscy oni trwali jednomyślnie na modlitwie wraz z niewiastami i z Marją, Matką Jezusa« (Dz Ap 1, 14).

II.

Wyżyny, na jakie się wzbiła Marja, są dla nas niedostępne. Ale, jeżeli podniebne wzloty orła wydają się nam za wysokie, to przez to bynajmniej nie jesteśmy uprawnieni robakiem pełzać po ziemi.

A tymczasem, jeżeli szczere rzucimy spojrzenie w głąb naszych dusz, stwierdzimy tam nieraz całkowity brak pokory.

Ze wszystkich cnót chrześcijańskich pokora najmniej podoba się współczesnemu człowiekowi. On nie zdaje sobie sprawy z jej doniosłości, nie pojmuje

należycie jej istoty, nie umie też stosować jej w życiu. Co smutniejsza: pokorę gotów jest uważać za przeszkodę na drodze do szczęścia, do postępu i własnego wyniesienia się, słowem — za coś, co stoi w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem i co koniecznie trzeba usunąć z życia. Zdaje mu się, że ci, co chcą w życiu ciągle kroczyć naprzód, nie powinni być pokornymi.

Współcześni katolicy są przesiąknięci nawskróś zasadami świata, i duch świata jest dla nich miarodajnym, a duch ten — to pycha, wyniosłość, samolubstwo, udawanie, dobijanie się o nowożytny postęp, który tak niewiele ma wspólnego z chrześcijańską doskonałością. Człowiek w ten sposób postępowy myśli tylko o sobie, o uczczeniu swego »ja«, umie zawsze postawić siebie w najlepszem świetle, zręcznie dobiera wyrazy, aby ukryć swe istotne zamiary i dążenia. Świat nazywa takie postępowanie mądrem i nic mu nie ma do zarzucenia, ale pokornem ono nie jest bynajmniej.

Postępowy katolik w religji zadawala się spełnianiem swych zewnętrznych obowiązków, wygodnem — że powiem — pływaniem po wierzchu katolicyzmu; pokorę zaś, która sięga do głębin i trudniejsze nakłada obowiązki, pogardliwie pozostawia mnichom, dewotkom i ograniczonym umysłom. Tu leży klucz do rozwiązania zagadki: dlaczego na świecie tak wiele pozorów cnoty, a tak mało prawdziwej i istotnej doskonałości? Niejeden chciałby być dobrym katolikiem, niejeden za takiego uchodzi, a pomimo to o prawdziwej pokorze nic wiedzieć nie chce. Spotykamy ludzi, którzy chętnie przyznają się do

pewnych wad, nawet mówią, że są wielkimi grzesznikami. Wzdychają i płaczą, biją się w piersi i jęczą, ale mimo to wszystko pokora jest im obcą zupełnie, gdyż czuliby się bardzo urażonymi, gdyby ktoś z bliźnich poważył się uważać ich za takich, za jakich siebie wydają. Oni nie znoszą żadnego lekceważenia swej osoby, nawet najmniejszego, nawet urojonego. Dlatego to świętość takich ludzi najczęściej bywa udaną, a ich pokora przedzierzgnęła się w najpospolitszą obłudę. Któż nie widzi, że takie postępowanie stoi w rażącej sprzeczności z nauką Chrystusa? Bóg pozorami się brzydzi, a patrzy w serce i serca od nas żąda: »Daj mi, synu mój, serce twoje, a oczy twoje niech strzegą dróg moich« (Przyp 23, 26). Serce nasze, to całe nasze jestestwo, a drogi Pańskie przez pokorę wiodą...

Przenieśmy wzrok na inne dziedziny życia naszego; wszędzie dostrzeżemy brak pokory. Ludzie współcześni z niepowstrzymaną wprost siłą dążą do wyniesienia się ponad swój stan i majętność; dlatego we wszyskiem — w mieszkaniu i strojach, w stosunkach towarzyskich i rozmowie — usiłują zewnętrzną świetnością omamić otoczenie i uchodzić w oczach świata za lepszych, rozumniejszych, bogatszych, uczciwszych, niż są w rzeczywistości; jednem słowem, wyzłacają wewnętrzną swą nicość. Udawanie takie najczęściej źle się kończy: oprócz ciągłego ośmieszania się, następuje niezadowolenie z życia, ciągłe żale na bliźnich, nieraz ruina materjalna i moralna. Ludzie na wszystkich stopniach drabiny społecznej, niższych i wyższych, z jednakowym uporem gonią za szczęściem, ale tylko rzadko

i na krótko muśnie ich cień jego. A dlaczego? Bo błędnemi chodzą drogami! Gdzie ratunek? W tem krótkiem, ale jakże doniosłem zdaniu: Więcej pokory!

Tak, więcej pokory! Tego żąda od nas Marja, tego chce wiara, tego się domaga nasz rozum. O nabycie i pogłębienie w sobie cnoty pokory starać się powinniśmy wszyscy, i wielcy i mali, i młodzi i starzy. Wszędzie jest słońce potrzebne — i na szczytach gór i na nizinach, i na zaraniu dnia i na jego schyłku. A pokora jest słońcem promiennem i ożywczem. Ona zmieni stosunki ludzkie na lepsze i tchnie w nas nowego ducha. A zatem »uniżmy się przed oblicznością Pańską, a podwyższy nas«. Amen.

NAUKA XXVI.

Łagodność.

»Panno pokorna, łagodna, cicha,
Daj, niech pokojem kraj nasz oddycha;
Niech się niezgoda w nas nie rozwija,
Broń nas od wojny, Zdrowaś Marja!«

I.

Z pokory wypływa, z pokorą ściśle się łączy cnota łagodności, i dlatego będziemy dziś tę cnotę rozważali, choć właściwiej o niej może byłoby mówić wówczas, gdy się roztrząsało obowiązki względem bliźnich, ponieważ łagodność z natury swojej należy do cnót społecznych, bo tylko w społeczeństwie może się całkowicie rozwinąć.

Łagodnym w znaczeniu chrześcijańskiem może być tylko człowiek prawdziwie pokorny. To zrozumiałe. Kto jest przeświadczony o własnej nicości, ten będzie wyrozumiałym na wady i braki bliźniego, chętnie mu je wybaczy i nie będzie unosił się gniewem dla lada powodu. I przeciwnie: dlatego się łatwo zapalamy i powstajemy przeciwko bliźniemu, że zbyt wysokie mamy o sobie wyobrażenie, że za wiele żądamy dla siebie, a za nisko cenimy bliźniego. Chcąc zatem nabyć cnotę łagodności, musimy zaczy-

nać od pokory i we właściwem świetle rozpatrzyć własne braki i niedomagania; to nas pogodzi z wadami naszych bliźnich, dla których mieliśmy dotychczas tylko gniew i niewyrozumiałość. Sam Chrystus Pan ściśle łączy łagodność z pokorą; mówi bowiem: »Uczcie się ode mnie, że jestem cichy i pokornego serca« (Mt 11, 29). A skoro, jak już wiemy, pokora jest fundamentem życia chrześcijańskiego i najważniejszą ze wszystkich cnót, zatem łagodność pierwsze po niej zajmuje miejsce i winna być przez nas nabytą. Św. Franciszek Salezy, ten wzór łagodności, nie waha się jej nazywać »cnotą nad cnotami«, a św. Jan Chryzostom — »cnotą prawdziwie boską«, gdyż łagodność zbliża nas do Boga i czyni nas niejako synami Bożymi według zapewnienia samego Chrystusa: »Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni synami Bożymi nazwani będą« (Mt 5, 9).

Bo właśnie, Bracia drodzy, zadaniem łagodności jest »pokój czynić« na świecie i umożliwiać zgodne pożycie ludzi ze sobą. I w tem leży jej wielkie znaczenie społeczne. Bez łagodności niema zgody, niema pokoju ani w rodzinach, ani między przyjaciółmi, ani w społeczeństwie, ani w całej ludzkości. Wydrzyjcie z serc ludzkich resztki łagodności, jakie im jeszcze zostały, a będziecie mieli nie ludzi, a dzikie tygrysy, a będziecie mieli wojnę wszystkich przeciwko wszystkim, świat zaś niebawem zatonie w potopie krwi. Okropne wojny lat ostatnich żywo wszystkim stoją w pamięci; nowe wojny wiszą jakby w powietrzu... A wojna — to szkoła okrucieństwa, a okrucieństwo — to zaprzeczenie łagodności.

Nic dziwnego, że łagodności coraz mniej wśród

nas. Nie mówię już o mordercach, którzy wśród białego dnia rabują i zabijają niewinnych, nie mówię o nieprzyjaciołach, dla których nie mamy nic, oprócz przekleństwa, jawnej zemsty lub ukrytych knowań; nie mówię o gniewie, jakim się unosimy, gdy nas ktoś karci lub surowo upomina — wiadomo bowiem wszem wobec i każdemu z osobna, że w tych wypadkach łagodność dla większości dzisiejszych katolików jest obcą i zgoła niezrozumiałą. Wspomnę tu raczej z boleścią, że nawet w stosunkach z najbliższemi nam osobami łagodność coraz bardziej zanika. Łatwoż to dzisiaj znaleźć męża, któryby łagodnie obchodził się z żoną, lub żonę, któraby w cichości znosiła opryskliwość męża? Łatwoż to dzisiaj o dzieci uległe i ciche, któreby, zwłaszcza jeżeli są starszemi, z wdzięcznością przyjęły z ust rodziców mniej przyjemne, ale życzliwe słowo upomnienia, radę lub zakaz? A czy wiele takich wychowawców, którzyby z wyrozumiałością patrzyli na niewinne psoty dzieci lub cierpliwie znosili hałaśliwość, właściwą ich wiekowi? Byle drobnostka, byle żywszy wybuch radości u dziecka spotyka się z surową naganą lub karą, bo to wychowawców drażni, denerwuje i złości. Gdzie dziś długotrwałe i szczere przyjaźnie? Dość czasem jednego słowa przykrego, a najzażylsza przyjaźń się rozpada, bo przyjaciołom brak łagodności. Narzekają służący na państwo, że są kapryśni, gderliwi, że za lada co wybuchają gniewem — i nieraz mają słuszność; narzekają państwo na służących, że nie chcą przyjmować upomnień, że są brutalni, stawiają się ostro — i też nierzadko mają słuszność. Słowem, brak łagodności zaznacza się wszędzie, i dlatego sto-

sunki nasze takie napięte, a w powietrzu czuć zbliżającą się burzę. Przezorniejsi, co dalej patrzą, mówią, że o ile nie zmienimy się sami, może nastąpić wybuch. Zazwyczaj tłumaczymy się zdenerwowaniem, nawałem pracy, kłopotami. Wiele w tem prawdy, i to poniekąd niejednego usprawiedliwia. Są i tacy, którzy sądzą, że łagodność jest oznaką słabości, i tacy mylą się bardzo, bo właśnie tylko wielkie charaktery umieją być łagodnymi. Łagodność bynajmniej nie wyklucza stanowczości; nieraz nawet gniewem się posługuje, jak to widzimy na przykładzie Chrystusa, wyganiającego batem kupczących ze świątyni. Trzeba wyznać, że u nas brak łagodności pochodzi z braku wyrobienia duszy. Tłumaczy się to, jak już mówiliśmy, brakiem pokory. Robiąc siebie ośrodkiem świata, chcielibyśmy, aby wszyscy stosowali się do nas; lecz chęciom naszym nie staje się zadość, a więc — zniecierpliwienie, gniew, kłótnia, wymyślania; słowem — wojna wszystkich przeciwko wszystkim.

Gdzie lekarstwo na to zło? U Marji.

II.

Nie będę tu wyliczał wypadków z życia Marji, w których się uwydatniła Jej łagodność. To zbyteczna. Z góry wiadomo, że ta, która się wzbiła na najwyższe szczyty pokory, nie może nie być uosobieniem łagodności. Jakoż całkowity obraz Marji, wypiastowany przez nas w duszy, przedewszystkiem owiewa nas tchnieniem nieziemskiej słodyczy i do-

broci i dopiero potem występują na jaw inne przymioty Marji. Dlatego pierwszem naszem wołaniem do Niej są słowa: »O, łaskawa, o litościwa, o słodka, Panno Marjo!«

Cichego Baranka najtkliwsza Matka nawet wówczas nie otworzyła ust swoich na skargę i żale, gdy Syn na krzyżu umierał. Snać Chrystus najwięcej cenił w Marji tę Jej bohaterską łagodność, skoro z wysokości krzyża dał Ją nam na Matkę. Wiedział, że tylko łagodna Marja poradzi z bezmiarem złości ludzkiej, że tylko Ona słodyczą swą zmiękczy zatwardziałość serc naszych. I Marja stała się Matką rodzaju ludzkiego.

Matka!... Najcudniejsza muzyka na ziemi nie zdoła oddać bezmiaru słodyczy i powabu, jaki się mieści w tem jednem krótkiem słowie: Matka! Dla dziecka matka jest wszystkiem: jego światem, jego rajem, jego życiem. Do matki biegnie, do matki się tuli, na łonie matki zapomina o troskach i niedoli; przyjmując jej pieszczoty i upomnienia, godzi się z twardym losem, przebacza największym wrogom. Dobroć i łagodność matki czyni cuda w duszy dziecięcia. — Taką Matką jest dla nas Marja — dobrą, łagodną i cichą. Ona jest wyrozumiałą na nasze ułomności i wady, cierpliwie znosi nasze swawole, łagodzi gniewy nasze, a złość naszą, nasze grzechy miłościwie zakrywa przed Bogiem. Największy zbrodniarz z piętnem Kaina na czole tuła się po świecie przez wszystkich wzgardzony, przez wszystkich odepchnięty; nigdzie sobie przytułku znaleźć nie może, aż nim nareszcie nie trafi na Marji łono. Ma-

rja nie tylko go nie odtrąca, nie tylko nim nie gardzi, ale tuli go do serca, opieką najczulszą otacza i daje ukojenie, bo słodką jest, bo łagodną jest, bo i owego zbrodniarza Chrystus na krzyżu przeznaczył Jej za syna.

Taką jest Marja. Czyż można jeszcze coś dodać do tego? Ach, chyba to, żeśmy niegodni takiej Matki, że nadużywamy Jej dobroci, że nowymi mieczami Jej serce ranimy. Patrzy Ona z wysokiego nieba na ziemię i widzi, że tu walki wciąż trwają, że pokoju nie mają Jej dzieci, choć pokoju tego tak pragną. Walki pomiędzy ludami pobratymczymi o granice i kraje; walki w łonie społeczeństw o zasady, wpływy i stanowiska; walki w rodzinach o byt, nieraz o kawał czarnego chleba; walki w poszczególnych duszach o prawdę, dobro i obowiązek...

Łzą zachodzi oko Marji, i chciałaby co rychlej pokój na ziemię sprowadzić — Ona, Królowa Pokoju — chciałaby uciszyć burzę namiętności, zażegnać waśnie, położyć koniec niezgodom. Ale cóż, kiedy my Jej w tem dopomóc nie chcemy! Cóż, kiedy nie pamiętamy na słowa Chrystusa: »Uczcie się ode mnie, że jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie ukojenie duszom waszym!« O, »gdybyż i my, w tym właśnie dniu naszym — i w dniu Marji — poznali to, co nam pokój przynosi« (Łk 19, 42). O, gdybyż i my wytężyli wszystkie siły nasze na nabycie cnoty łagodności — znaleźlibyśmy wówczas ukojenie duszom naszym i ujrzelibyśmy wkrótce dni lepsze, promienniejsze!

Więc z głębi duszy wołajmy do Marji: Królowo Pokoju, ucz nas łagodności!

Panno pokorna, łagodna, cicha,
Daj, niech pokojem kraj nasz oddycha;
Niech się niezgoda w nas nie rozwija,
Broń nas od wojny, Zdrowaś Marja! Amen.

NAUKA XXVII.

Czystość.

»Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają« *(Mt 5, 8)*.

I.

Mamy dziś uczyć się od Marji cnoty czystości. Niepokalanie poczęta Dziewica, obdarzona pełnią łask, uczyniła wyłom w dotychczasowych pojęciach świata tem, że prawdopodobnie jeszcze podczas swego pobytu w świątyni, a więc w latach dziecięcych, złożyła Bogu ślub dozgonnego dziewictwa. Ślub ten był mile u Boga przyjęty. — Ani poganie, ani nawet żydzi nie pielęgnowali czystości i popełniali najwstrętniejsze przeciw tej cnocie występki. Poganie nawet mieli swe bóstwa rozpusty, u żydów zaś oznaką szczególniejszego błogosławieństwa Bożego było liczne potomstwo. Marja była pierwszą, która Bogu ślubowała czystość, a ślubowała ją dlatego, że więcej od wszystkich stworzeń miłowała Boga i rozumiała, że czystość jest najpiękniejszą ozdobą duszy, że najbardziej ją zbliża do Boga i nadzwyczaj obfite wydaje dla ludzkości owoce.

A co ślubowała, tego dotrzymała. Marja Panna

wprawdzie wolną była od nieporządnych chuci i grzesznych skłonności; ale pomimo to musiała, jak sama o tem objawiła św. Elżbiecie, każdą cnotę, a więc i czystość, nabywać z trudem niemałym przez modlitwę i czuwanie. Chciała bowiem zostawić nam przykład, w jaki sposób my mamy walczyć o zbawienie.

A więc naprzód zamyka się w świątyni i spędza w niej swe młode lata na modlitwie i umartwieniu zmysłów. Serce i myśl swoją oddaje niepodzielnie Bogu, widzi tylko Boga, słucha tylko Jego głosu, mówi tylko o Nim, chodzi tylko Jego drogami. Zaślubia wprawdzie św. Józefa, ale zato dziewiczego, który tak, jak i Ona, umiłował czystość; zmienia wprawdzie stan, ale zato z woli Bożej, a zmieniając stan, nie zmienia bynajmniej usposobienia; staje się żoną, ale ani na chwilę nie przestaje być Dziewicą. Gdy Archanioł zwiastuje Jej zaszczyt Macierzyństwa Bożego, — zaszczyt, o którym nie śmiały nawet marzyć izraelskie niewiasty — Marja gotowa się go wyrzec, byle się nie wyrzekać milszej nad wszystko czystości, i rzuca strwożone pytanie: »Jakże się to stanie? Wszak ja męża nie znam!« (Łk 1, 34). I tylko wówczas, gdy się upewniła, że Wcielenie Słowa Bożego stanie się za sprawą Ducha Św. bez naruszenia Jej dziewictwa, Marja odzyskuje spokój i daje swe przyzwolenie. — Św. Łukasz Ewangelista zaznacza jeden drobny szczegół, który świadczy dobitnie o czuwaniu Marji nad zachowaniem czystości. Tak bowiem opisuje pobyt Marji u św. Elżbiety: »Pozostała zaś Marja u niej około trzech miesięcy, poczem wróciła do domu swego« (Łk 1, 56). Z tych słów wy-

nika, że Marja opuściła dom krewnej natychmiast po narodzeniu Jana Chrzciciela, aby nie być obecną przy Obrzezaniu, ponieważ obrzęd ten miał się dokonać wobec licznie zgromadzonych gości, wszelkich zaś huczniejszych zebrań, jako bardzo dla cnoty niebezpiecznych, Marja unikała starannie. Wiemy ponadto z dzieł Ojców Kościoła, szczególnie św. Grzegorza Turoneńskiego, że Marja przez całe życie pilnie przestrzegała postu, chcąc nam okazać, że umartwiając ciało, najłatwiej podbijemy je pod panowanie ducha, co jest niezbędnem dla zachowania czystości.

A więc w Marji mamy najlepszy przykład, jak należy strzec lilji czystości, aby jej nie pokalał brud grzechu. Marja modli się, czuwa, unika okazji do grzechu, choćby najbardziej oddalonej, wreszcie umartwia ciało i zmysły.

A co uczyniła Niepokalana, wolna od pokus i cienia grzechu, czyż nie daleko więcej mamy czynić my, pokalani, grzeszni i słabi?!...

II.

Trzeba przyznać, że zachowanie cnoty czystości należy w życiu do rzeczy najtrudniejszych. Nawet najwięksi święci nie byli wolni od pokus i nagabywań do złego. I to zrozumiałe: żyjemy w ciele, wśród świata, w królestwie ducha nieczystego. Potrójny wróg opasał nas murem pożądliwości, i zwyciężyć go tem trudniej, że w nas samych ma dzielnego sprzymierzeńca. Wywiązuje się zatem zaciekła walka i straszliwie niebezpieczna głównie dlatego,

że upadki w niej najczęściej bywają śmiertelne i prędzej niż gdzieindziej przechodzą w grzeszne nałogi. Walka to osobliwa, jedyna w swoim rodzaju: zwycięża w niej zazwyczaj ten, kto najprędzej się cofa i umyka.

A walczyć jednak trzeba i koniecznie trzeba zwyciężyć! Każdy powinien zachować czystość, stanowi jego właściwą, bądź zupełną, bądź małżeńską, albowiem: »Jawne są uczynki ciała, które są: porubstwo, nieczystość, niewstydliwość, wszeteczeństwo... Którzy takowe rzeczy czynią, Królestwa Bożego nie dostąpią« (Gal 5, 19. 21). Zwyciężyć trzeba, czystość zachować trzeba choćby ceną najcięższych walk i wysiłków, albowiem tylko ludzie czystego serca Boga oglądać będą.

Niema zatem żadnych wątpliwości: wezwawszy Marję na pomoc, musimy chwycić się oręża, który Ona nam wkłada do ręki i nie dopuszczać do siebie wroga czystości. Jest to naszym świętym obowiązkiem. Czy go jednak spełniamy? Gdy się patrzy uważnie dokoła, widzi się samo niemal zepsucie obyczajów, straszną demoralizację. Tak zwane pożycie »na wiarę« stało się dziś zjawiskiem dość powszechnem nie tylko w miastach, ale i po wioskach; skandale małżeńskie, rozwody również do rzadkości nie należą. Młodzież myśli tylko o zabawach; toteż urządza je tak gorliwie i tak często, jakby tylko dla zabaw żyła na świecie. A na tych zabawach zgorszenie rośnie z dniem każdym, i rozluźnienie obyczajów takie, że uczciwsi nieraz za głowę się chwytają, wołając ze zgrozą: »Nie! po młodzieży, która się tak bawi, nie można się spodzie-

wać dobrego w przyszłości!« Dzieci, co zaledwo odrosły od ziemi, już brudne śpiewają piosenki, już zdążyły nieraz zajrzeć złu w same oczy. Współcześni ludzie nie wstydzą się zawiesić w salonie lub w oknie wystawowem obrazu czy ryciny, dla której i na strychu nie powinnoby być miejsca; bez skrupułu kładą na stole do oglądania książki i widoki, któreby dawno spalić należało; niewiasty zaś nasze nie wstydzą się przywdziewać na się strój gorszący, obliczony na budzenie niskich namiętności. Że tak, jak mówię, bywa w wielu miejscach, to pewna; czy tak jest i u nas, to wy lepiej wiecie ode mnie. Ale że tak być nie powinno, że to zabija cnotę czystości i otwiera naoścież drzwi występkom wręcz tej cnocie przeciwnym, temu oczywiście nikt zaprzeczyć nie zdoła.

Wierny czciciel Przeczystej Marji dołoży wszelkich starań, by zło i zgorszenie usuwać ze świata. Niech każdy z nas robi w swem kółku co może, co uważa za potrzebne i stosowne; niech prosi, nalega, łaje, karze, byle w miłości, byle z Marją. Skutkiem takich namów niejedno da się poprawić w strojach gorszących, niejeden obraz zniknie z widoku, niejedna książka pójdzie do pieca, niejedna schadzka zostanie udaremniona — niejednej zatem duszy będzie ułatwiona walka, a może nawet zapewnione zwycięstwo.

Ale zaczynać trzeba przedewszystkiem od siebie i zaczynać natychmiast. Żadnych nie powinnio być wymówek, żadnych ustępstw, żadnych paktowań z pokusą. Znamy niebezpieczeństwo; mamy w Marji wodza niezwyciężonego; mamy w ręku wypróbo-

waną broń — modlitwę, czuwanie, umartwienie; mamy wreszcie zapewnioną nagrodę, która polega na oglądaniu Boga, — więc czegóż nam brakuje? Dobrych chęci i wytrwałości! Baczność! O wielkie rzeczy chodzi! Chodzi o nabycie cnoty, która nas równa z aniołami, a o pokonanie występków, które nas upadlają w oczach własnych i oczach bliźniego, które nas czynią bydlętami! Brak nam dobrych chęci? Bóg daje »chcenie i wykonanie« — prośmyż Go o nie, a otrzymamy. Polecajmy się Marji, tej »lilji między cierniem«, Pannie Przeczystej, Niepokalanej. Ona zaprowadzi nas na niebosiężne czystości pagórki, skąd zobaczymy »jako piękny jest czysty rodzaj z jasnością; nieśmiertelna jest bowiem pamiątka jego, gdyż i u Boga znajoma jest i u ludzi« (Mądr 6). Tam też, na tych pogórkach, ujrzymy coś nieskończenie piękniejszego — ujrzymy samego Boga, albowiem: »Błogosławieni czystego serca, gdyż oni Boga oglądać będą«. Amen.

NAUKA XXVIII.

Ubóstwo.

»Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie« *(Mt 5, 3)*.

I.

Nowy kwiat chcemy dziś uszczknąć z wieńca cnót Marji — prosty, nikły, niepozorny kwiatek ubóstwa.

Patrzcie na Marję. Może widzicie na Niej purpurę królewską? Może zdobią Ją drogocenne kamienie? Może szczerozłota lśni się na Jej skroniach korona? Przecież to wszystko słusznie Jejby się należało. Nie! Skromna szata, ubogi płaszcz, ledwo obute nogi, — to cały strój Marji, strój zwykłej niezamożnej niewiasty palestyńskiej. Może w pałacach mieszka? Może ma zastępy sług, przepych i bogactwa? I to nie. Mieszka w małym, niepokaźnym domku, gdzie oprócz ciesielskiego warsztatu Jej Oblubieńca zaledwo najniezbędniejsze znajdują się sprzęty; utrzymuje się wyłącznie z pracy rąk — z tych zwykłych zajęć niewieścich: szycia, przędziwa i tkania; służby nie ma żadnej, ale sama służy wszystkim. Więc aż na to zeszła Marja, ta Córa możnych wład-

ców Izraela, ta Matka Króla królów i Pana panujących? Tak, zeszła na ubóstwo, ubóstwo umiłowała, z ubóstwa się cieszyła, a ubóstwem swem była bogatszą od najbogatszych i najmożniejszych przodków swoich. Za swe dobrowolne ubóstwo Marja nabyła sobie królestwo niebieskie z całym jego przepychem, ze wszystkiemi skarbami, i ten bezmiar bogactwa nosiła w duszy od najwcześniejszej młodości do końca ziemskiego żywota.

Według podania rodzice Marji zostawili Jej znaczny majątek w spadku, ale Marja natychmiast rozdała go ubogim, zatrzymując dla siebie tylko tyle, ile było potrzeba na skromne ubranie i pożywienie (Objaw. św. Brygidy). Św. Józef, którego poślubiła, również miłował ubóstwo i nie dał Marji nic oprócz rąk, nawykłych do pracy tak, że św. Rodzina pędziła żywot w zupełnem ubóstwie, nie będąc jednak nikomu ciężarem — owszem, zarabiając tyle, że innych jeszcze wspierać mogła. Przyszła chwila Narodzenia Pańskiego, i wówczas to ubóstwo Marji zaznaczyło się najwyraźniej. Królewska Matka rodzi Króla królów, ale w stajence, ale na sianku; ubodzy pasterze Jej służą. Wprawdzie Mędrcy ze Wschodu niosą Jej bogate dary, ale Marji ofiara miła, nie dary. Ofiarą się ucieszyła, ale dary rozdała ubogim tak, że gdy nadszedł czas Oczyszczenia, Marja stanęła w rzędzie niewiast ubogich, z parą synogarlic zaledwo w ręku.

Patron wczorajszy, czcigodny Beda, opowiada, że po Wniebowstąpieniu Chrystusa Pana Marja, ażeby utrzymać się przy życiu, musiała korzystać ze wsparć, rozdawanych najbiedniejszym w gminie chrześcijańskiej; cieszyła się przytem, że aż do tego

stopnia wszystkiego, co ziemskie wyzbyć się mogła. Umarła zaś tak ubogą, że zaledwo parę sukien zostało po Niej, które Marja przeznaczyła dla ubogich niewiast. A więc i najnędzniejsi żebracy mają w Marji szczególniejszą swego stanu Patronkę, oraz wzór doskonały, jak mają znosić swą nędzę, z jakiem usposobieniem przyjmować jałmużnę.

Ubóstwo w tym stopniu i w tej formie, jak je praktykowała Marja, jest wyrazem najwyższej doskonałości, oraz warunkiem do jej nabycia. I dlatego Kościół zalicza dobrowolne ubóstwo do t. zw. rad ewangelicznych, do których zachowania zobowiązują się ślubem zakonnicy. Ogół wiernych, zwykłemi drogami kroczący do zbawienia, nie jest obowiązany iść za radami ewangelicznemi i wyrzekać się wszelkiego posiadania. Każdy wszelako chrześcijanin winien ulegać nakazowi Zbawiciela, zawartemu w słowach: »Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie«, czyli winien posiadać ducha ubóstwa. Ten zaś duch da się pogodzić nawet z miljonowym majątkiem, byle tylko serce człowieka nie lgnęło do dóbr tego świata, a pożądało dóbr wyższych, wiekuistych, podporządkowując im bogactwa niższe, ziemskie. Tego wymaga od nas Bóg, tego chce zdrowy rozum ludzki. Z tego względu i największy bogacz może mieć zasługę ubóstwa, jeżeli do swoich dóbr nie przywiązuje serca i jest gotów wyrzec się ich, jeżeli mu przeszkadzają do zbawienia; jak znowuż i najlichszy nędzarz dalekim jest od ducha i cnoty ubóstwa, jeżeli ze swym stanem się nie godzi, a pożąda bogactw lub bogaczom zazdrości.

II.

Są to ogólne, podstawowe zasady, takie — zdawałoby się — jasne, zrozumiałe i znane. A jednak cóż dziś rzadszego od stosowania ich w praktyce? Nie będzie przesady, jeżeli powiemy, że świat dzisiejszy tylko złotemu cielcu służy, tylko za bogactwy goni, tylko dla nich żyje. Nie wierzycie? Chcecie dowodów? Macie ich pełno dokoła. Zapytajcie bogacza, który krocie posiada, dlaczego taki niespokojny, dlaczego na skarbach jego lśni się łza pokrzywdzonych, dlaczego tak się miota i drży? Odpowie wam, że drży o swe bogactwa, by mu ich nie wydarto przypadkiem, a miota się dlatego, że go pożera straszna gorączka, pragnienie złota, że to, co ma, wydaje mu się niczem w porównaniu z tem, coby chciał posiadać. Zapytajcie tak zw. paskarza, czyli spekulanta: dlaczego naraża się na wielką odpowiedzialność przed władzami, dlaczego nie żałuje trudów i zdrowia, dlaczego nie skosztuje nigdy słodkiego wypoczynku, a wciąż tylko kupuje, odsprzedaje, chowa, wydobywa i przemyca? Odpowie wam, że chęć zysku, rychłego wzbogacenia się pcha go do tego, i on za tą chęcią idzie choćby nawet z krzywdą bliźniego i własnej duszy. Idźcie do nor występku i rozpusty, zajrzyjcie do tajnych gorzelni, a przekonacie się, że to żądza złota wprawia je w ruch. Spójrzcie na graczów, uprawiających hazard; co ich przykuwa do stołu na całą noc albo i na dłużej, co wykrzywia wstrętnie im twarze, co zapala im w oczach straszne, nieludzkie ognie? Ach, to kupa tych brudynch, poszarpanych banknotów, co leży

przed nimi, od której oni oczu oderwać nie mogą. Zapytajcie wyrobnika, dlaczego ciężką pracą znieważa dzień święty, dlaczego nie pamięta ani o mszy św., ani o wypoczynku? On wam wyzna, że i jemu udzieliła się ta powszechna gorączka, to pożądanie bogactw bez względu na sposób i uczciwość ich nabycia. Zapytajcie robotnika, dlaczego na widok majętności swego pracodawcy kurczowo zaciska pięści, zgrzyta zębami, dlaczego z oczu strzelają mu wściekłe, złowróżbne błyski? On wam powie, że trawi go żądza dostatków i wygodnego życia. Zapytajcie zresztą siebie samych, jakie uczucia rodzą się w waszej duszy, gdy patrzycie, że bliźni wasz ma więcej od was, że żyje wystawniej? Są to złe uczucia — zazdrość i chciwość, uczucia, które wam mącą spokój, wrogo usposabiają do bliźniego i kłócą was z życiem i ludźmi.

Z tego pobieżnego przeglądu wynika, że choć dziś na świecie wiele nędzy i ubóstwa, ale mało cnoty i zasługi, bo mało ducha ubóstwa. Żyje on po zakonach katolickich, ożywia szlachetniejsze jednostki, które i dziś jeszcze umieją się wyrzec swych dostatków z miłości ku Bogu i bliźniemu, ale są to, niestety, już tylko nieliczne jednostki. Ogół wiernych znalazł się całkowicie pod tchnieniem ducha tego świata, dla ogółu wiernych pieniądz dziś panem i bogiem! Objaw to smutny, bracia! Duch bowiem świata — zatruty i zgniły, co nie ożywia, a zabija, co nie buduje, ale w gruzy rozwala!

Podnieśmyż raz jeszcze zawstydzone oczy na Marję i błagajmy Ją, by w nas innego tchnęła ducha — ducha wyrzeczenia się dóbr ziemskich, ducha ofiar-

ności, ducha ubóstwa. Niech wleje nam do serc pragnienie dóbr wyższych, których »ani mól ani rdza nie niszczą, których też złodzieje nie wykopują ani kradną« (Mt 6, 20). Gdy tym dobrom nieprzemijającym nauczymy się podporządkowywać dobra doczesne, staniemy się ubogimi w duchu, a tacy ubodzy — to najwięksi bogacze, albowiem ich jest królestwo niebieskie. Amen.

NAUKA XXIX.

Dobra intencja.

»Chociaż jecie, choć pijecie, choć co innego czynicie, wszystko ku chwale Bożej czyńcie« *(I. Kor 10, 31).*

I.

Jest w duszy każdego człowieka pewien czynnik, co cudowną posiada moc: może sprawy ludzkie uzacniać i podnosić do nadprzyrodzonej wartości. Czynnikiem tym — dobra intencja, czyli pobudka.

W duszy naszej wielorakie działają sprężyny, które czynnościom naszym nadać mogą najrozmaitszy kierunek i cenę. Weźmy przykład: pości jeden, bo chce spełnić przykazanie kościelne i przypodobać się Bogu; pości drugi, bo mu tak kazał lekarz i chodzi mu jedynie o zachowanie zdrowia; pości trzeci, bo nie może dostać mięsa, ale gdyby mógł, toby napewno nie pościł. Czynność we wszystkich trzech wypadkach jednakowa, ale pobudki czynności są rozmaite; ciało to samo, ale duch różny je ożywia. Któż nie widzi, że o ile pierwsza pobudka — uległość Kościołowi i chwała Boża — jest piękną i doskonałą, o tyle druga — nakaz lekarza — jest dla zbawienia

obojętną, a trzecia — niemożność uczynienia inaczej — jest poprostu złą, a przynajmniej bezwartościową? Te sprężyny może poruszać tylko nasza wolna wola; znaczy to, że pobudki czynów naszych całkowicie od nas zależą i żadna siła nas nie zmusi, byśmy chcieli tego, czego nie chcemy, lub chcieli inaczej, niż chcemy. Z tego wynika, że wartość naszym czynnościom my sami nadajemy, kładąc im za podłoże tę lub ową, dobrą lub złą pobudkę. Według nauki Chrystusa Pana, dobra pobudka, o ile jej towarzyszy stan łaski, uzacnia nie tylko dobre czyny nasze, ale nawet obojętne, nawet te nasze zwyczajne czynności, jak spoczynek, rozrywkę, branie posiłku, pogawędkę i t. p. podnosi do nadprzyrodzonej wartości i czyni zasługującemi na żywot wieczny. I odwrotnie: pobudka zła, grzeszna, może nawet największe bohaterstwo obedrzeć z zasługi i uczynić karygodnem. Nawet śmierć męczeńska, poniesiona jedynie dla próżnej chwały, nie byłaby Bogu miłą. Tylko wówczas choćby najlepsza pobudka nie poprawi i nie uzacni czynu, jeżeli ten czyn jest zły sam w sobie, i dlatego nie wolno dajmy na to kłamać, choćby za cenę jednego drobnego kłamstwa można było nawrócić grzesznika.

Najlepszą jest ta pobudka, która płynie ze źródeł nadprzyrodzonych — z wiary, nadzieji i miłości. Kto spełnia swe czynności dlatego, że tak rozkazał Bóg, że chce zaskarbić sobie Jego łaski, że Boga miłuje i chce przysporzyć Mu chwały, ten działa z pobudek nadprzyrodzonych, a więc najlepszych, i może się spodziewać sowitej od Boga zapłaty. Zapewnił nas o tem sam Zbawiciel, gdy nauczał, że nawet ku-

bek wody, podany spragnionemu w imię Jezusowe, nie pozostanie bez nagrody (Mt 10, 42). Wobec tego całkiem zrozumiałemi wydają się nam słowa św. Pawła Ap.: »Chociaż jecie, choć pijecie, choć co innego czynicie, wszystko ku chwale Bożej czyńcie«. Właściwie wszystkie nasze czyny choćby i największe, małemi i lichemi są w oczach Boga; wywyższyć je może jedynie serce nasze, tj. dobra intencja, bo Bóg tylko w serce patrzy i tylko serce ceni.

Jakże powinniśmy dziękować Bogu, że dobrą pobudkę uczynił dla nas kluczem do skarbnicy łask i pociech niebieskich! Unikając czynów złych, możemy co dzień, co godzinę, co chwilę pomnażać się w łasce i zasłudze, spełniając najzwyczajniejsze codzienne czynności nasze Bogu na chwałę, a duszy naszej na pożytek, czyli właśnie uświęcając je nadprzyrodzoną pobudką. I jakże chętnie, jak skwapliwie powinniśmy wszystko tylko w dobrej czynić intencji, skoro postępując w ten sposób najlichszy żebrak prędzej może wysłużyć niebo, niż potężny król, który na pobudki nie ogląda się wcale!

Tak właśnie postępowała Najśw. Marja Panna: wszystkie swe czynności uświęcała nadprzyrodzoną intencją. Rzecz prosta, Marja jako Niepokalanie Poczęta, to jest wolna od zmazy pierworodnej i złych pożądliwości, nie miała złych intencyj czyli pobudek i mieć nie mogła. Ale tego nie dość. W ciągu całego miesiąca rozważaliśmy Jej świątobliwy żywot we wszystkich jego przejawach i nigdzieśmy nie mogli dostrzec choćby najdrobniejszej czynności, którejby Marja nie odnosiła do Boga. Wszędzie i zawsze — przy modlitwie, pracy i wypoczynku, w domu i po-

dróży, przy świetle dnia i w ciemnościach nocy, nawet we śnie — »uwielbia Pana dusza Jej«; od przyjęcia codziennego posiłku, aż do zaszczytu Zwiastowania, od Oczyszczenia w świątyni aż do Kalwaryjskiej Ofiary, Marja jawi się zawsze jako Służebnica Pańska, posłuszna tylko woli Bożej, dbała tylko o Bożą chwałę. Nadprzyrodzona pobudka, niby pieczęć, leży na wszystkich Jej czynach i myślach.

II.

Nie tylkośmy w ciągu całego maja rozważali żywot Marji — myśmy przecież i własne badali życie; i do jakże odmiennych dochodziliśmy wniosków!

Oto naprzód jasnem nam się stało, że współczesny człowiek żyje tylko dla ziemi, że pociąga go tylko to, co doczesne; życie zaś wyższe, życie łaski, życie nadprzyrodzone, o ile go nie odrzuca zupełnie, jest mu w większości wypadków obojętnem. On utracił zmysł nadprzyrodzoności. Sami sobie podcięliśmy skrzydła i samochcąc obniżyliśmy wzloty duszy ku przybytkom Boga Najwyższego. Z orłów staliśmy się płazami. Ta przemiana nie może się nie odbić na czynach naszych i pobudkach do czynów.

Jakoż rzeczywiście dziś prawie mowy niema o intencjach nadprzyrodzonych, czyli o tem, by o czynach naszych rozstrzygać miały względy wyższe, sięgające tam, gdzie wzrok nie sięga — poza doczesność, w krainę wiary i łaski.

W najlepszym razie kierujemy się w życiu pobudkami przyrodzonemi. Ten rodzaj pobudek wypływa z rozumu i szlachetnego serca, bez względu

jednak na Objawienie Boże. Nie są one grzeszne, bo nie stoją w sprzeczności z wolą Bożą, ale nie uprawniają czynów naszych do zasługi nadprzyrodzonej, bo nie zmierzają wprost do Boga; są poprostu obojętne dla zbawienia. Takiemi pobudkami rządzą się zazwyczaj ci, którzy czynią coś dobrego, np, modlą się, poszczą, dają jałmużny dlatego tylko, aby wzamian za spełniony czyn otrzymać od Boga jakieś dobro doczesne: zdrowie, urodzaj, powodzenie w życiu, czy coś podobnego. Złego w tych pobudkach, powtarzamy, niema nic, ale niema też i nic nadprzyrodzonego; wolno się niemi posługiwać, zawsze jednak o tyle, o ile dobro, o które prosimy, nie sprzeciwia się woli Bożej.

Większości jednak ludzi dziś nawet i na takie nie stać pobudki. Zamiast tego, by czyny same w sobie obojętne, jak np. zabawy, czytanie, spoczynek, przyjmowanie posiłku przez nadprzyrodzoną intencję skierowywać do Boga i zbierać za to nieobliczalne zasługi, my nieraz nawet dobre skądinąd czynności psujemy i na niekorzyść duszy obracamy przez to, że podsuwamy im pobudki złe i grzeszne. Ileż to razy stawaliśmy do modlitwy dlatego, by nas chwalono i o nas mówiono; ile razy szliśmy do kościoła w tym tylko celu, by kogoś zobaczyć lub w jakikolwiek sposób zaspokoić swą ciekawość i próżność; ile razy umniejszaliśmy zasługę pożytecznej pracy, szukając w niej tylko siebie, nie Boga, mając na względzie tylko swą chwałę i materjalne zyski! W tych i podobnych wypadkach moglibyśmy stosować do siebie gorzkie słowa Proroka Aggeusza: »Sialiście wiele, a zwieźliście mało; jedliście, a nie najedliście

się... a kto zyski zbierał, kładł je w dziurawy mieszek« (Ag 1, 6). Zaprawdę, zyski swe w dziurawy kładliśmy mieszek; rozsypały się wszystkie po ziemi, a przed Sędzią z próżnemi staniemy rękami!

Trzy są najważniejsze źródła złych pobudek: pożądliwość ciała czyli zmysłowość, pożądliwość oczu czyli chciwość i pycha żywota czyli wygórowana miłość własna. W ciągu całego miesiąca mieliśmy aż nadto sposobności, aby się przekonać, że i w naszem życiu działają nieustannie wszystkie te trzy sprężyny. Czają się one gdzieś na dnie duszy naszej i usiłują opanować nie tylko czyny nasze, ale i myśli, i uczucia, i pragnienia. Musimy je wytropić i wykorzenić, bo inaczej popsują nam wszystko: pozbawią łaski i zasługi, odwiodą od Boga, a rzucą w objęcia szatanowi. Natomiast przyzwyczajajmy się wszystko spełniać z pobudek dobrych, nadprzyrodzonych; niech każda nasza czynność nosi na sobie pieczęć Bożą. Ażeby to osiągnąć, miejmy zawsze Boga w pamięci i wpatrujmy się w Marję, jako w Mistrzynię dobrej intencji. Pamiętajmy, że od pobudki zależy wszystko, że dobra pobudka jest kluczem do nieba, tak samo jak pobudka zła, grzeszna — kluczem do piekła. Nie ociągajmy się w pracy. Zacznijmy od dziś, tu u stóp Marji, gdyż czas ucieka — wieczność czeka, a ta wieczność będzie taką, jaką my ją sami uczynimy. Amen.

NAUKA XXX.

Wytrwanie w dobrem.

»A dobrze czyniąc nie ustawajmy« *(Gal 6, 9)*.

I.

Smutny widok przedstawia budynek, mający choćby najmocniejsze fundamenta i najmisterniej wzniesione ściany, jeżeli mu brakuje dachu; smutniej jeszcze wygląda dusza ludzka, w której założono wprawdzie podwaliny dobrego życia i nawet poczęto układać z poszczególnych cnót ściany gmachu, co do nieba miał sięgać, ale nagle zaprzestano roboty i budowaniu nie dano pokrycia. Tak w pierwszym, jak w drugim wypadku »napróżno pracowali, którzy budują« (Ps 126, 1); żadnego bowiem pożytku nie przyniesie budowanie, nie wrócą nawet wydatki, i będzie tylko ruina i pośmiewisko. Czem jest dach dla budowy materjalnej, tem dla cnoty jest wytrwałość. Coś zaczął dobrze, dobrze skończ; co wzniosłeś na fundamencie pokory, to buduj wytrwale przez całe życie, nie zważając na żadne trudności, nie ulegając zniechęceniu, nie opuszczając rąk ani na chwilę, abyś, gdy przyjdzie twa ostatnia go-

dzina, mógł ujrzeć, że budowanie twoje już w niebo się wzbiło i że je chwała nieśmiertelna wieńczy.

Wytrwać w dobrem trzeba koniecznie, bośmy żołnierzami na tej ziemi, a życie nasze ustawiczną walką: »bojowaniem jest żywot człowieka na ziemi«. Jeżeli przed czasem broń złożymy i opuścimy plac boju, czeka nas sromotne pohańbienie i wieczna zguba, bo wróg nasz jako lew ryczący z całem okrucieństwem rzuci się na nas i w niewolę podbije i zaprzęże do jarzma grzechu i zawlecze nas tam, gdzie »będzie płacz i zgrzytanie zębów« (Mt 22, 13), a skąd już przez całą wieczność nie będzie żadnego wyjścia.

Wytrwać w dobrem trzeba koniecznie, bo »kto wytrwa aż do końca, ten zbawion będzie« (Mt 24, 16). Zbawienie duszy, szczęście wiekuiste, któremu niema ni miary ni granic, którego my tu na ziemi nie tylko ogarnąć, ale nawet pojąć nie możemy, połączenie się z Bogiem — możeż być nad tę doskonalsza do wytrwałości zachęta i pobudka?! O, jakże wielkim musi czuć się człowiek, który, gdy »czas rozwiązania jego nadchodzi«, może zawołać wraz ze św. Pawłem: »Potykaniem dobrem potykałem się, zawodu dokonałem, wiarę zachowałem. Naostatek odłożony mi jest wieniec sprawiedliwości, który mi odda Pan, Sędzia sprawiedliwy, w on dzień; a nie tylko mnie, ale i tym, którzy miłują przyjście jego« (II. Tym 4, 7. 8). Bez walki niema zwycięstwa, bez wytrwałości niema zapłaty.

Wytrwać w dobrem trzeba koniecznie, bo inaczej przestalibyśmy być dziećmi Marji. Nikt z synów ziemi nigdy nie miał tyle powodów do folgowania sobie, ile ich miała Marja. Była przecież Nie-

pokalanie Poczętą; skruszyła głowę węża piekielnego; była łaski pełną, więc nie potrzebowała o łaski walczyć. A jednak nikt z synów ziemi nie pracował tyle nad swojem zbawieniem, ile pracowała ta »Córa Adamowa«. Sześćdziesiąt trzy lata, które spędziła na ziemi, to jedno nieprzerwane pasmo błogosławionych wysiłków i ciągłego wzrastania w świętości i zasługach przed Bogiem. Nie zniechęciło Jej do cnoty ani ubóstwo, ani poniżenie; nie osłabiły Jej męstwa, ani boleści, ani podeszłe lata; nie złamała Jej wytrwałości nawet Ofiara Kalwaryjska; nie umniejszyła Jej czuwania nad sobą nawet ufność w nieskończone Syna zasługi. Wszystko przetrwała, — i smutki i radości, — owszem, we wszystkiem, co Ją spotkało, widziała tylko nową zachętę do pracy i cnoty. Czyż zatem my mielibyśmy odwagę nazywać Marję Matką naszą, gdybyśmy nie chcieli iść za Jej przykładem, a przerywalibyśmy ledwo rozpoczętą pracę, ulegając zniechęceniu i gnuśności?

Nie! Stanowczo wytrwać musimy; ale jak?

II.

Różne są środki do nabycia wytrwałości. Oto najważniejsze:

1) Trzeba obrzydzić sobie grzech, a gorąco umiłować cnotę. Grzech jest największem złem i szkaradą, co zabija duszę i czyni ją obmierzłą i Bogu i ludziom. Cnota zaś — to duszy ozdoba i największy skarb, który nigdy nie ginie i ma nieskończoną wartość w oczach Boga; cnota — to nasz honor największy, brata nas bowiem z niebianami i zapewnia nam

miejsce obok Bożego tronu. Trzeba ją zatem umiłować ponad wszystko na świecie — ponad sławę i dostatki, ponad samo nawet życie. A miłość cnoty zapewni nam wytrwałość w pracy nad jej osiągnięciem, bo »miłość cierpliwa jest; miłość wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko wytrwa« (I. Kor 13, 4. 7). Miłość kruszy wszystkie przeszkody; miłość i najsłabszego czyni bohaterem. Ale gdzie miłości niema, tam oczywiście nie będzie i wytrwałości, bo poco mam pracować, trudzić się, mozolić i walczyć o to, czego nie pragnę, na czem mi nie zależy?

2) Chcesz być wytrwałym — nie oglądaj się na świat i jego ponęty. Nie warte są tego, a jednak niebezpieczeństwem grożą. Świat to, rzekłbyś, jedno wielkie trzęsawisko; kto w nie wpadnie, niełatwo się wydobędzie na stałą i pewną drogę. Skoro więc tknęła cię, bracie, łaska Boska, i uczułeś w sercu pociąg ku dobremu, choćby nie wiem jak silne pokusy do dawnego cię życia odciągały, nie oglądaj się wstecz, nie odejmuj ręki od pługa, bo mówi Zbawiciel: »Żaden, co przykłada rękę swą do pługa, a ogląda się wstecz, nie nadaje się do królestwa Bożego« (Łk 9, 62). Może cię świat obrzuci szyderstwy, może cię nawet prześladować będzie, nie zważaj na to. Boga się bój, słuchaj sumienia i rób swoje. Miałżebyś zważać na ujadanie świata i dla złośliwości ludzkiej małodusznie opuszczać szeregi Chrystusowe? »Biada wam, synowie-zbiegowie, mówi Pan zastępów, abyście czynili radę, a nie ze mną« (Iz 30, 1). Strasznem »biada!« grozi Bóg tym, którzy idą raczej za radą świata, niż za radą Bożą.

3) Walcząc ciągle nie ufaj jednak sobie, nie przeceniaj sił swoich. »Kto stoi, niech patrzy, aby nie upadł«. Siły nasze są nikłe, a nieprzyjaciel mocny i zdradliwy, dlatego wzywaj pomocy Bożej i wzrok miej utkwiony w niebo, bo »z nieba jest siła!« (I. Mach 3, 19). Ta siła spływa na duszę w godnem przyjmowaniu sakramentów św., zwłaszcza Przenajświętszego Sakramentu, który jest »chlebem mocnych«, a ten, »kto pożywa tego chleba, żyć będzie na wieki« (Jan 6, 52). Bez umocnienia, płynącego do duszy z Sakramentu Ołtarza, niepodobna wytrwać w dobrem, bo ciągła walka nuży i osłabia; jeśli jednak sam Chrystus połączy się z nami w komunji św., wówczas oczywiście żaden wróg nas nie przemoże i sama walka wyda się nam mniej trudną. Do sakramentów św. dołączmy modlitwę. Polecajmy się zwłaszcza Najśw. Marji Pannie, aby nas umacniała w świętej wytrwałości. Św. Filip Neri zwykł był taką dawać radę swoim penitentom: »Moje dziecko! Jeśli chcesz otrzymać łaskę wytrwałości, módl się często do Najświętszej Marji Panny«.

I my tę łaskę mieć chcemy — idźmyż więc po nią do Skarbniczki łask Boskich Marji. Przez cały długi maj uczyła nas Marja ze szczególniejszą pilnością cnót wszelakich, łożyła wiele trudów i zachodów około wyrugowania z duszy naszej grzechów i wzniesienia w niej gmachu cnoty i doskonałości. Byłażby daremną Jej praca? Mieliżbyśmy my sami Jej dzieło zrujnować? Uchowaj nas Boże od tego! Więc idźmyż naprzód, wciąż naprzód! Drogę znamy, znamy środki, i mamy zapewnioną pomoc. Reszta od nas zależy, od naszej wytrwałości. Amen.

NAUKA XXXI (konkluzyjna).

Czem jest dla nas Marja i czem my dla Niej być powinniśmy?

»Kto mię znajdzie, znajdzie żywot i wyczerpnie zbawienie od Pana« *(Przyp 8, 36).*

A więc już koniec!

Ostatnia dobiega godzina...

Za chwilę kornie schylimy czoła do stóp Niepokalanej i ze smutkiem głębokim w duszy błagać będziemy: »Marjo, pobłogosław!«

Zanim jednak Marja nas opuści, podnieśmy na Nią łzą nabiegłe oczy raz jeszcze, raz ostatni, i dołóżmy wszystkich starań, by Jej święty wizerunek pozostał nam w duszy na zawsze. On nam umili życie, osłodzi trudy i zagrzeje do walki.

Kogóż to żegnamy dzisiaj? Czemże jest dla nas ta słodka Dziewica, którą witaliśmy miesiąc temu z wielkiem w duszy weselem, dla której zbieraliśmy się codziennie w świątyni, i którą teraz z takim smutkiem mamy już pożegnać? Czemże jest dla nas Marja?

Zadrżyjcie, serca, drżeniem radosnem; wzrośnijcie, dusze, w dumę świętą, bo ta, której służyliśmy,

jest Królową i Panią świata całego! Niebo Jej pałacem, ziemia nóg Jej podnóżkiem, a piekielne moce na samo Jej imię truchleją z przerażenia. Straż Jej przyboczna — to Aniołów chóry; dworzanami Jej — nieprzeliczony poczet świętych Pańskich; a tron Jej obok tronu Syna stoi. I króluje Marja światu całemu, wszystko Jej władzy ulega: i słońca i gwiazdy, i niebios przestworza, i padoł ziemski i głębiny oceanów niezmierzone, i wszystko, co jest na ziemi i na niebie. Pod Nią wszystko, ponad Nią — tylko Bóg!...

Ale Marja króluje łaskawie. W królestwie swojem Bóg Jej przeznaczył wydział miłosierdzia. I miłosierdziem Marja szafuje bez miary i granic. Przez Jej ręce płyną na ziemię niepowstrzymanym potokiem morza łask i darów Boskich; w Jej ręku klucz do skarbnicy błogosławieństw, a skarbnica to niewyczerpana, Skarbniczka — niestrudzona.

Czemże więc my powinniśmy być dla Marji? Wiernymi Jej sługami i poddanymi. O, taka służba to najwyższy zaszczyt, a takie poddaństwo — to królowanie! Wiemy, pod czyim znakiem jesteśmy, więc tego znaku brońmy, więc Królowej naszej cześć oddawajmy — cześć po Bogu największą. Spieszmy na Jej powitanie, gdy w kościele na Anioł Pański dzwonią, odmawiając pobożnie pozdrowienie anielskie; nie opuszczajmy Jej świątek i pamiątek, a garnijmy się do Jej tronu w dnie poświęcone szczególniejszej Jej czci i uwielbieniu. Nośmy Jej znaki i herby na sobie, bo to jest wyrazem poddaństwa; herbem Marji — Jej szkaplerz. Nauczmy się władać Jej mieczem — Różańcem św., który pokonywa

wszystkich wrogów Marji. Miejmy dla Marji szczególne nabożeństwo, przestrzegajmy Jej postów i nowenn, odmawiajmy litanję i modlitwy, na Jej cześć przez Kościół zatwierdzone, a nadewszystko brońmy Jej świętego Imienia i chwały. Niech nikt nie poważy się w naszej obecności znieważyć naszą Królową! Gdy to wszystko wiernie spełniać będziemy, Marja po królewsku wynagrodzi nasze poddaństwo, zleje na nas zdroje miłosierdzia i odwróci od nas grożące nam nieustannie klęski i nieszczęścia.

Czemże jest jeszcze dla nas Marja? Jest najlepszą Matką. — Ona nas zrodziła w Chrystusie i dla Chrystusa; wykarmiła łaskami Bożemi; przyodziała białą szatą niewinności; wychowała nas nauką Zbawiciela, wypieściła na własnem łonie. Dała nam wszystko czego potrzeba do życia, a jednak potem nie spoczęła ani na chwilę i ani na chwilę nie spuszcza nas z oka. Gdyśmy w biedzie — Ona przy nas, by pocieszyć; gdy błądzimy — Ona nas szuka i prowadzi na drogi właściwe; gdy upadamy — Ona nas podnosi i krzepi. Gdyśmy ściągnęli na siebie słuszny gniew Boży, Marja nas zasłania matczynym swym płaszczem i wyprasza nam przebaczenie. To Matka nad wszystkie matki; czuła i troskliwa, jak żadna, i jak żadna — potężna, bo z dobrocią Matki łączy moc Władczyni świata.

Więc my — dziećmi Marji. A dzieci winne swej matce największą po Bogu miłość i przywiązanie. Gdy pytano razu pewnego św. Stanisława Kostkę, czy miłuje Marję, odpowiedział ze łzami: »Wszakże to moja Matka!« Św. Bernard skarży się miłośnie,

że Marja mu serce porwała,a św. Alojzemu Gonzadze na samo Marji wspomnienie twarz płonęła ogniem miłości.

Tak Marję miłowali święci. Czyż nie tak samo i my Ją miłować powinniśmy? Ale jeżeli nie zdołamy wyrównać świętym, postarajmy się przynajmniej, aby miłość wzrastała w nas z dniem każdym. W tym celu często myślmy o Marji, bo dobre dzieci o matce myślą zawsze; wyrywajmy się ku Niej pragnieniem serca i patrzmy, byśmy Marji nie zasmucili nigdy grzechami. Niech serca nasze czyste będą, a wnet zapłoną miłością ku Marji, bo ta miłość — to kwiat, który tylko na czystym rośnie gruncie. Zwłaszcza w niedoli, w doświadczeniu bolesnem biegnijmy do Marji, a Ona nas nauczy, jak cierpieć mamy, by z cierpienia była zasługa, oraz doda nam sił, by krzyż mniej dolegał. Nie traćmy nigdy ufności i pamiętajmy, że Marja zawsze z nami przebywa: »a kochanie moje być z synami człowieczymi« (Przyp 8, 32).

Czemże jest jeszcze dla nas Marja? Jest wzorem i Mistrzynią doskonałości. — Bóg chce, abyśmy byli doskonali, jako i On doskonały jest. Ale my Boga nie widzimy; jakżeż tedy moglibyśmy Go naśladować? Zesłał nam wprawdzie Bóg Syna swego, aby będąc samą doskonałością, do doskonałości nas prowadził. Ale Chrystus stał się człowiekiem nie przestając być Bogiem, i dlatego doskonałością swoją jakby słońce przed nami rozpalił. A blask słońca zbyt jest silnym, słabe oczy znieść go nie mogą. Bóg to wziął w rachubę w od-

wiecznych swych planach i dał nam wzór inny — taki, co nie oślepia, nie pali, a tylko świeci jasnością najdoskonalszą i jest wiernym słońca odblaskiem. Tym wzorem — Marja, kość z kości naszej i krew z naszej krwi, prawdziwa Córa Adamowa, podobna nam we wszystkiem oprócz grzechu. Niema stanu, niema takiego położenia w życiu naszem, na które nie mielibyśmy wzoru w życiu Marji. Niema więc i wymówki żadnej, któraby mogła usprawiedliwić przed Bogiem naszą opieszałoś! na drodze cnoty.

Skoro więc Marja naszym wzorem i Mistrzynią, my jesteśmy Jej uczniami i powinniśmy nieustannie kroczyć w Jej ślady. Na żadne nie zważajmy trudności: Ta, która uczy, daje też i umocnienie.

Zanim pożegnamy Marję, chcielibyśmy od Niej jeszcze słów kilka usłyszeć i wziąć z Jej ust naukę na drogę żywota. I Marja chętnie spełnia nasze życzenie. Oto mówi (Przyp 8, 32 —37):

»Teraz tedy, synowie, słuchajcie mię: błogosławieni, którzy strzegą dróg moich«. Drogi Marji są drogami cnoty.

»Słuchajcie ćwiczenia, a bądźcie mądrymi, a nie odrzucajcie go«. Prawdziwa mądrość, do której wzywa Marja, polega na bojaźni Bożej, mówi bowiem psalmista: »Początek mądrości — bojaźń Pańska« (Ps 110).

I dalej mówi Marja: »Błogosławiony człowiek, który mię słucha i który czuje u drzwi moich na każdy dzień i pilnie u podwojów drzwi moich«. W tych słowach Marja wskazuje niezawodny środek do strzeżenia dróg cnoty: czuwanie i modlitwę. Kto

czuwa na każdy dzień i modli się gorliwie — nie zbłądzi.

Ale powiedz nam, o Marjo, jakaż będzie zapłata za wszystkie trudy i znoje, poniesione na Twoich drogach? Słuchajcie: »Kto mię znajdzie, znajdzie żywot i wyczerpnie zbawienie od Pana«. Nagrodą naszą — żywot wieczny i łask obfitość, a nagroda ta zbyt jest wielką, byśmy się o nią nie mieli starać.

»Ale kto przeciw mnie zgrzeszy, obrazi duszę moją. Wszyscy, którzy mię nienawidzą, kochają się w śmierci«. Oto ostatnie słowo Marji: Kto Jej nienawidzi, kocha się w śmierci. Tak, Br! Brak miłości ku Matce Marji smutne daje o duszy świadectwo; dowodzi bowiem, że taka dusza jest śmiertelnie chorą, że już nic nie miłuje oprócz grzechu.

Wybierajmyż: Czy z Marją iść do nieba, czy wbrew Marji toczyć się do przepaści... Ach, nie! Tu nie może być wyboru! Chcemy iść za Marją, chcemy wiernie wstępować w Jej ślady na wąskiej i trudnej cnoty ścieżynie; to Jej dziś ślubujemy u ołtarza.

Maj się kończy w przyrodzie; w duszy zaś naszej kwitnąć on będzie nieustannie.

Przez cały miesiąc szukaliśmy Marji; a teraz całem dalszem życiem okażmy, żeśmy Ją znaleźli, bo kto Marję znajdzie, »znajdzie żywot i wyczerpnie zbawienie od Pana«. Amen.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

			Str.
Nauka wstępna.		O nabożeństwie majowem . . .	5
Nauka	I.	Wiara	12
»	II.	Nadzieja	17
»	III.	Miłość Boga	23
»	IV.	Pamięć na obecność Bożą . . .	29
»	V.	Modlitwa	36
»	VI.	Marja w Kanie Galilejskiej uczy nas modlitwy	43
»	VII.	Nabożeństwo kościelne	47
»	VIII.	Msza św.	54
»	IX.	Święcenie niedzieli	61
»	X.	Oświecanie się w rzeczach wiary i moralności	68
»	XI.	Miłość bliźniego	75
»	XII.	Jałmużna	81
»	XIII.	Jałmużna moralna	88
»	XIV.	Zgorszenie	94
»	XV.	Obmowy i oszczerstwa	100
»	XVI.	Obowiązek uległości prawowitej władzy	106
»	XVII.	Obowiązki pracodawców i przełożonych	113
»	XVIII.	Obowiązki sług i podwładnych .	120
»	XIX.	Rodzina. — Zawieranie związków małżeńskich	127
»	XX.	Rodzina. — Stosunki rodzinne .	133

Str.
» XXI. Obowiązek unikania grzechu . . 140
» XXII. O potrzebie życia skupionego . . 145
» XXIII. Praca 150
» XXIV. Pokora 158
» XXV. Pokora (ciąg dalszy) 164
» XXVI. Łagodność 169
» XXVII. Czystość 177
» XXVIII. Ubóstwo 183
» XXIX. Dobra intencja 189
» XXX. Wytrwanie w dobrem 195
» XXXI (konkluzyjna). Czem jest dla nas Marja i czem my dla Niej być powinniśmy? 200

REV. I. A. WOJCIECHOWSKI

F.F. FRANCISCAN FATHERS O.M.C.
MISSION HOUSE
ELLICOTT CITY, MD.

FRANCISCAN FATHERS, O.M.C.
MISSION HOUSE
ELLICOTT CITY, MD.